

WARSZAWA WOŁYNIOWI



1917.

JAN FRUZIŃSKI

NAJWIĘT WORNIEJSZE:

KAKAO, CZEKOLADA i CUKRY DESEROWE

Skład główny w domu własnym Marszałkowska 75.

Filje: MARSZAŁKOWSKA № 133, WIERZBOWA № 8.
KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE № 5 (róg Traugutta).



SKŁAD BRONI

p. f. J. SOSNOWSKI

Egz. od 1861 r.

wł. Cz. Lisowski

Warszawa, Hotel Europejski.

poleca: naboje śrutowe pierwszorzędných firm zagranicznych; niemieckich, belgijskich i angielskich.

Warsztaty reperacyjne na miejscu.

WARSZAWSKIE TOWARZYSTWO AKCYJNE Handlu Towarami Aptecznymi

DAWNIEJ

ZJEDNOCZENI APTEKARZE

LUDWIK SPIESS i SYN

W WARSZAWIE

Skład główny i kantor: ul. Daniłowiczowska (róg Hypotecznej)

SKLEPY DETALICZNE:

PLAC TEATRALNY 18,
MARSZAŁKOWSKA 140,
MARSZAŁKOWSKA 99,
MIODOWA 8,

w Łodzi: ulica PIOTRKOWSKA Nr. 107.

POLECAJĄ:

Produkty Chemiczno-Techniczne

Wszelkie materiały apteczne i nawozy sztuczne.

DR LUDWIK ZIELIŃSKI

Skład Maszyn i Narzędzi Rolniczych

Warszawa, Al. Jerozolimska 37.

Poleca z pierwszorzędných fabryk krajowych i zagranicznych:

Plugi, Kultywatory, Siewniki, Sieczkarnie, Parniki, Karto-
flarki, Grabiarki, Garnitury parowe młocarniane, Bukow-
niki, „Favorite”, Elevatory, Prasy do słomy i siana, Plugi
parowe i motorowe, Lokomotywy drogowe, oraz wszelkie
narzędzia wchodzące w zakres gospodarstwa rolnego.

BIURO TECHNICZNE

Dr. LUDWIK ZIELIŃSKI

Warszawa, Al. Jerozolimska 37.

**RUBEROID — NAJLEPSZY, NAJTRWALSZY I NAJTAŃSZY
MATERJAŁ DO KRYCIA DACHÓW I IZOLACJI.**

TINOL — MASA DO LUTOWANIA.

PRZEWODNIKI I KABLE ELEKTRYCZNE.

„POLONIA-PALACE-HOTEL”

Wprost Dworca Wiedeńskiego

Adres telegraficzny: Polonia — Warszawa.

HOTEL wykwintnie urządzony. Apartamenty pojedyncze i podwójne ze wszystkimi [nowoczesnymi] wygodami. W każdym pokoju ciepła i zimna woda, telefon, zegar elektryczny.

Centralne ogrzewanie, dźwigi, sygnalizacja świetlna zamiast dzwonek.

Piwnice win, koniaków, likierów i wódek.

Sprzedaż hurtowa i detaliczna przeniesiona ze sklepu frontowego do obszernego lokalu w podwórzu w gmachu Hotelu wprost bramy.

Restauracja i kawiarnia I-go rzędu.

Kuchnia pod kierunkiem wykwalifikowanych kucharzy. Wielki wybór pism. Codziennie od godz. 7½ wiecz. koncert pierwszorzędno kompletu smyczkowego. W dni świąteczne five o'clock.

Zakład fryzjerski.

Pralnia pośpieszna mechaniczna.

Ceny wyjątkowo niskie.

Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń od ognia

„SNOP”

Przyjmuje do ubezpieczenia od ognia wszelkiego rodzaju budowle i ruchomości wiejskie, miejskie i przemysłowe.

Towarzystwo oparte na zasadach współdzielczości.

Kapitały zapasowe i rezerwy wynoszą, podług bilansu z dnia 30-go Czerwca 1916 roku, rb. 980522 kop. 23.

Reprezentacje w Warszawie, Lublinie i Łodzi.

Agentury we wszystkich powiatach.

Magazyn Ubiorów Męskich

STEFANA PROSIŃSKIEGO

w Warszawie, Ś-to Krzyska 26, telefon 285-09.

Przyjmuje zamówienia z własnych i powierzonych materjałów.

Wielki wybór gotowych ubiorów i materjałów na składzie.

ROBOTA SOLIDNA.

CENY KONKURENCYJNE.

ZAŁOŻONA W 1840 ROKU, PIERWSZA W KRAJU

FABRYKA FARB, LAKIERÓW I PRODUKTÓW CHEMICZNYCH

„J. A. KRAUSSE”

W W A R S Z A W I E

FABRYKA I KANTOR: **UL. BONIFRATERSKA 9.**

SKŁAD FABRYCZNY: **UL. MIODOWA 3.**

BANK PRZEMYSŁOWY WARSZAWSKI

WARSZAWA, WIERZBOWA II.

Oddziały miejskie: Hotel Europejski,
Marszałkowska 124.

Oddział w Płocku.



ZAŁOŻONY w R. 1890
ZAKŁAD ARTYSTYCZNY
GRAWERSKI
STANISŁAWA LIPCZYŃSKIEGO
DOSTAWCY INSTYTUCJI SPOŁECZNYCH
i TOWARZYSTW SPORTOWYCH.

WARSZAWA
MARSZAŁKOWSKA N° 149

Kantor Ekspedycyjno-Przeprowadzkowy

W. ZABORSKI i S^{ka}

Krakowskie Przedmieście N° 60

Telefon N° 4-08.

Przeprowadzki miejskie, zamiejskie, opakowanie mebli, przechowywanie w składach widnych i suchych, ekspedycje na kolej i t. p. zlecenia załatwia solidnie po cenach umiarkowanych.

W. LIPOWSKI

Magazyn jubilerski

Warszawa, ul. Trębacka 9.

POLECA DUŻY WYBÓR WYROBÓW ZŁOTYCH I BRY-
LANTOWYCH.

CUKIERNIE

DAWNIEJ

G. G. LARDELLI

obecnie WSPÓLPRACOWNICZKI FIRMY

polecają, znane ze swej dobroci wyroby.

Sklepy **tylko: Boduena 5 i Nowy Świat 27.**

TEATR ARTYSTYCZNY

„MIRAŻ”

Nowy Świat 63

ŚPIEW, HUMOR i TAŃCE

w wykonaniu najlepszych artystów
teatrów Warszawskich.

Bank Towarzystw Spółdzielczych

W WARSZAWIE.

Towarzystwo Akcyjne z kapitałem dwa miliony rubli. □ Adres Telegraficzny: Warszawa, Towbank.

HOTEL EUROPEJSKI

W WARSZAWIE

w śródmieściu (Krakowskie Przedmieście № 13).

WSZELKIE WYGODY. □ □ □ CENY PRZYSTĘPNE.

□ □ □ ZNAKOMITA RESTAURACJA. □ □ □

„Nowy Salon Sztuki”

w Warszawie, przy ul. Wierzbowej № 7.

□ Wystawa obrazów i rzeźb najwybitniejszych malarzy polskich. □

Karol Machlejd

Browary parowe, Słodownie i Fabryka wód gazowych. Rok założenia 1869.

Warszawa, Chłodna 45.

Ciechanów, gub. Płocka.

F FRANCISZEK

BAYTEL

LUSTRA. SZYBY.

Nowy-Świat № 27.

Dyamenty szklarskie etc.
Przedsiębiorstwo robót szklarskich.

**Skład Futer
i Konfekcyi Futrzanej**

H. SCHOLL

b. długoletni współpracownik firm B. Herse i P. Sorokoumowski z S-mi
Warszawa, ul. Królewska № 1, róg Krak.-Przedm. Telefon № 411-78.
Składy na letnie przechowanie futer.

Skład win

P. A. KRZYMIŃSKI

założony 1829 r.

Dyplom uznania za wina

WIŃA STARE

Warszawa, 15 Trębacka 15.

A. ŻELISŁAWSKI i Syn

firma egzystuje od 1876 r.

FABRYKA I MAGAZYN JUBILERSKI
w Warszawie, Krakowskie-Przedm. № 15.

FUTRA

A. PAWEŁEK

3 Królewska 3.

Krawiec Męski
Maksymiljan Gumkowski

Krakowskie-Przedmieście № 67, I^o piętro

vis a vis budki tramwajowej.

Wykonywa wszystkie robo-
ty, wchodzące w zakres
krawiectwa. Wielki wybór
gotowych materiałów. Ro-
bota solidna. Ceny przy-
stępne.

Warszawskie Tow. Wzajemnego Kredytu

Plac Warecki 7.

T. CZARLIŃSKI i K. SWINARSKI

Warszawa, Nowy Zjazd 5 (naprzeciw Zamku).

Wobec **zmniejszenia się zapasów i produkcji** fabryk narzędzi rolniczych, a **zwiększania się zapotrzebowań**, radzimy

zawczasu zaopatrywać się w narzędzia,
których brak zupełny jest nieunikniony.

Odnosi się to głównie do **Amerykańskich narzędzi i maszyn**, a z tych posiadamy jeszcze na składzie

Niezastąpione pługi „MOLINE“

do **głębokiej orki** i do przykrywania zielonych nawozów, które w ciągu tylko kilku miesięcy zdobyły sobie u nas **zasłużony rozgłos**.

Słynne żniwiarki „ADRIANCE“

Żniwiarki „Adriance“ posiadają jeszcze **nieświadomych** stanu obecnego rzeczy **przeciwników**, którzy znali typ dawny z przed lat kilkunastu lub kilkudziesięciu, z czasów kiedy nie było jeszcze **trustu żniwiarkowego**. Ponieważ fabryka „Adriance“ **nie przystąpiła do trustu**, utworzonego później, chcąc walczyć skutecznie z tak **silną konkurencją**, musiała **przeciwstawić** tylko **doskonalenie swych maszyn** i dziś doprowadziła maszyny żniwne „Adriance“ do **nieporównanej doskonałości** tak, że stoją one w **rzędzie najlepszych maszyn żniwnych**.

Ponieważ skład główny na Europę i Rosję znajduje się w Hamburgu **oryginalne części zapasowe mamy zawsze na składzie**.

Udoskonalone Bukowniki „MONITOR-SAMSON“

młóące zarówno dobrze **mokrą**, jak i suchą koniczynę, w porównaniu do typu dawnego zostały nie tylko **ogólnie wzmocnione** bez zasadniczej zmiany konstrukcji, lecz zaopatrzone też w samosmary i inne nowoczesne ulepszenia przy młocarniach.

„URANJA”

BRACKA 18.

MEBLE SZKOLNE—uznane przez WPP. lekarzy za najlepsze.

MAPY i obrazy poglądowe.

OKAZY przyrodnicze. ———

PRZYBORY wycieczkowe, szkła laboratoryjne, mikroskopy i przybory do prac naukowych. Materjały piśmienne. —————

STAŁA WYSTAWA WSZELKICH POTRZEB SZKOLNICTWA.

KOSZTORYSY i PLANY CAŁKOWITYCH URZĄDZEŃ
OCHRON, SZKÓŁ, UCZELNI i PRACOWNI NAUKOWYCH.

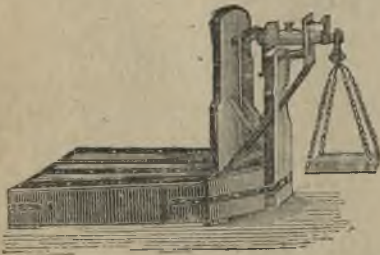
Istniejąca od 1856 roku.

Fabryka Wag

Stanisława Ks. Lubomirskiego

dawniej „Juljusz Sperling”

w Warszawie, Leszno № 90. Telefon № 18-91.



Wykonywa wagi stołowe, dziesiętne, wozowe i wagonowe, różnych typów, oraz uskutecznia wszelkie reparacje.

Z powodu podrabiania wag naszych, uprasza się o zwracanie uwagi na oryginalność firmy.

WARSZAWA WOŁYNIOWI.

W A R S Z A W A W O Ł Y N I O W I

WYDAWNICTWO ZBIOROWE NA POWIĘKSZENIE
FUNDUSZU PRZY GŁ. KOMITECIE RATUNKOWYM
W LUBLINIE DLA WYSIEDLEŃCÓW WOŁYŃSKICH.



KOMITET ORGANIZACYJNY: IGNACY BALIŃSKI,
HENRYK JUSZKIEWICZ, MARTA HR. KRASIŃSKA,
JÓZEF MŁODECKI, MICHAŁ PODLEWSKI, WŁADY-
SŁAW ST. REYMONT, PELAGJA HR. WIELHORSKA
— I MARGRABINA ELIZA WIELOPOLSKA. —

WYDAWCA MICHAŁ PODLEWSKI.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI
GEBETHNERA I WOLFFA. ADMINI-
STRACJA: WARSZAWA, SZPITALNA 9.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 <http://moneta.org.pl>
Tel. 28-68-63



24.278

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
<i>Baliński Ignacy.</i> Wojna (wiersz)	30
<i>Cierniewski Manswet.</i> Aforyzm: Przez prawdę do jedności . . .	145
<i>Ch. P.</i> O działalności Rady Głównej Opiekuńczej w okupacji Niemieckiej	158
<i>Czetwertyński Ks. Włodzimierz.</i> Po Irtyszu i Obi w 1866 r. (Kilka kart rękopiśmiennych ze wspomnień Wołyniaka) . . .	168
<i>Dołęga Z.</i> Wołyń podczas okupacji	148
<i>Ejsmond Julian.</i> Mogiła bohatera (wiersz)	40
<i>Frenkiel Tadeusz.</i> Pierrot idzie w świat. Z cyklu „Pierrot Mou- rant“ (wiersz)	105
<i>Hnatkiewiczówna Irena.</i> Spotkamy się (wiersz)	43
<i>Idzikowski Zygmunt Zenon.</i> Rodzinnemu miastu (wiersz)	39
<i>Jelska Ory.</i> Na traktach	94
<i>Juszkiewicz Henryk.</i> Wstań, słońce (wiersz)	106
„ „ „ Ku niskim nędzy progom... (wiersz)	110
<i>Karski Michał.</i> Pójdziem my, pójdziem... (wiersz)	54
<i>Korzon Tadeusz.</i> O Wołyniu, (pogadanka historyczna)	5
<i>Kozikowski Edward.</i> Młodości! (wiersz)	47
<i>Krajewski Radostaw.</i> Stosunki gospodarcze i społeczno - rolne w okupacji niemieckiej Królestwa Polskiego	153
<i>Kraushar Alexander.</i> Pamięci zasłużonego Wołyniaka (z powodu zamierzonego wydania nieznanymi pamiątek Szy- mona Konopackiego 1790—1884)	61
<i>Lange Antoni.</i> Z poetów włoskich: (Guido Cavalcanti) I	32
<i>Lipińska Jadwiga.</i> Skarga (wiersz)	138
<i>Lubińz Bolesław Zygm.</i> Cmentarz Wolczeski (wiersz)	42
<i>Lubomirska Ks. Natalja.</i> Lwica (wiersz)	139
„ „ „ Dzwon (wiersz)	140
<i>Łozińska Konstancja.</i> Lekcja historii powszechnej (ze wspom- nień autentycznych)	44
<i>Łubiński hr. Roger.</i> Budżet Wydziału Wojny Królestwa Polskiego	112
<i>Marylski Antoni.</i> Tajemnica (wiersz)	32
<i>Miriam.</i> W jesieni (wiersz)	51
<i>Młodecki Józef.</i> Skarby przeszłości	33

	<i>Str.</i>
<i>Morsztynowa hr. Marja.</i> Urywki z pamiętnika	109
<i>Nowaczyński Adolf.</i> Pułaski w Ameryce	67
O działalności Gł. Kom. Ratunkowego w okupacji austriackiej	163
<i>Orwicz Jerzy.</i> Do Polski odrodzonej (wiersz)	49
<i>Pilecki Antoni.</i> Zastygłe dusze (wiersz)	51
<i>Podlewska Marta Kazimiera.</i> Jesienny dzień dżdżysty i łzawy... (wiersz).	141
<i>Podlewski Michał.</i> Aforyzmy i paradoksy	145
" " Słowo wstępne	1
<i>Radliński Ignacy.</i> Kobieta a mężczyzna w przeszłości przeddziejowej, w prawodawstwie pierwotnem oraz w bliższej przyszłości.	55
<i>Reymont Władysław St.</i> Dola	26
<i>Rundbaken Jan.</i> Południe wiejskie (wiersz)	53
<i>Seidlerowa Zofja.</i> Karta pocztowa (fragment z noweli)	137
<i>Sienkiewicz Henryk.</i> List z Ameryki	120
<i>Stonczyńska Anna.</i> O mocy życia, bądź pochwalona! (wiersz)	48
<i>Staniszewski Wł.</i> Uwagi w sprawie odbudowy wsi polskiej	121
<i>Szczesny Aleksander.</i> Sumienie (wiersz)	56 ³
<i>Walewska Cecylja.</i> Na Starem Mieście.	106
<i>Walewska hr. Marja z hr. Przeździeckich.</i> Sylwetka Wołyniaka	142

OD WYDAWCY.

SZANOWNY CZYTELNIKU!

Gdy ze zwykłą krytyczną ciekawością zbliżać się będziesz do kartek tej książki i w jej drobnych urywkach szukać zaczniesz strawy dla Twego na wzorach wielkich i potężnych mistrzów kształconego ducha, przedtem obudź w sobie ducha Twoich wielkich przodków, którzy w gorącym umiłowaniu rodzinnego zagonu szli na kresy kraju, z kąd dziś wołanie o pomoc przychodzi, bronić z zaparciem tego, co im pokolenia całe w spuściźnie narodowej przekazały. Tam też często potężne głowy swoje w obronie kościoła, narodu i całej chrześcijańskiej ludzkości składali, znacząc obficie kośćmi swemi wiecznie żywe granice naszej sławy i naszej wielkości!

A gdy tak Czytelniku w jedno z ubiegłymi pokoleniami złączony, większy i silniejszy na duchu, pełen wiary i ufności w wielkość, nieśmiertelność i jedność naszej Ojczyzny weźmiesz się do czytania tej książki, wtedy i Ty przeżyjesz z nami chwilę unii duchowej, a ta chwila stokrotnie wynagrodzi ci te braki, jakie Twój krytyczny umysł w tej książce odnaleść potrafi.

Nie siłą bowiem wyrazu i charakteru poszczególnych utworów w tej książce zawartych, ma o doniosłości wydawnictwa i celu decydować, lecz raczej siłą rzeźwego ducha narodowego bijąca z kart całego wydawnictwa mówi o pełnej żywotności trosce narodu idącego w lepszą, jaśniejszą przyszłość.

Główne pobudki, jakie skłoniły nas do wydania tej książki były następujące:

Gdy wskutek operacji wojennych w czerwcu roku 1916, a z niemi związanego przesunięcia frontu bojowego na zachód od Łucka i innych ruchów strategicznych wojsk, pozostała cała masa dobrowolnych i przymusowych uciekinierów i wysiedleńców, którzy pozostali bez jakichkolwiek rzeczy, środków, a często nawet najpotrzebniejszego ubrania, w najokropniejszych warunkach, poza linią „wąskiego terenu działań wojennych“ t. j. za rzekę Bug i tam rozlokowani w zniszczonych wsiach powiatów hrubieszowskiego, tomaszowskiego i chełmskiego. Wreszcie znalazły się ich tysiące w guberniach lubelskiej, piotrkowskiej, kieleckiej i radomskiej.

Ponieważ rusińska ludność, w większości wypadków, razem z Rosyanami opuściła Wołyń, udając się na oddaloną, niepewną tułaczkę, tak, że zaledwie 40% dawnych mieszkańców pozostało na miejscach, a w tej liczbie przeważnie polacy.

Nic więc też dziwnego, że klęska tego przykrego położenia dotknęła w pierwszym rzędzie naszych rodaków.

I ci biedacy, między którymi spotykano często ludzi z inteligencji, obywatelstwa, lub mieszczaństwa prowincjonalnego, na pastwę losu, cierpieli niedostatek, nędzę!

Tak trwało parę miesięcy!

Dopiero, gdy ilość tych nieszczęśliwych wzrosła do kilkunastu tysięcy i gdy oni swą mnogością i biedą budzić zaczęli współczucie w okolicach im na mieszkanie przeznaczonych, wtedy instytucje obywatelskie w okupacji austriac-

kiej, jakimi są komitety Ratunkowe powiatowe, poczęły myśleć o doraźnej pomocy.

Na zjeździe Głównego Komitetu Ratunkowego w Lublinie dn. 12 sierpnia 1916 r. Delegaci Komitetów Obywatelskich Włodzimierskiego i Kowelskiego na Wołyniu przedstawili potrzeby naglące wysiedleńców i uzyskali na „fundusz dla wysiedleńców“ kwotę 30 tys. koron, a jednocześnie mianowano księdza Jana Maciejskiego z Hołub na Wołyniu delegatem - opiekunem ludności ewakuowanej z Wołynia na terenie okupacji Austro-Węgierskiej.

W ten sposób więc pozornie załatwiono sprawę wysiedleńców!

Ponieważ jednak kwota powyższa, jako nieskończenie drobna, gdyż nie wynosząca nawet rubla zapomogi na głowę wysiedleńca, wyczerpała się b. prędko i dziś jest potrzebą nagłą, ze względu na straszne położenie tych nieszczęśliwych, zaapelować do całego społeczeństwa, by ono, w swej nieskończenie hojnej ofiarności, grosz wdowi i na ten cel ofiarowało i tam też na Kresach dla ratowania swego narodowego przedmurza z czujną pomocą pospieszyło.

Po za tą jednak ściśle materyalną pomocą ewakuowanym, której rezultat niestety może być b. ograniczony, następną ważną pobudką, która nas skłoniła do wydania książki niniejszej było takie same gorące poczucie nierozzerwalnej łączności narodowej i jedności z Kresami, jak i to, które kierowało i Poznańskiem w tak hojnym okazaniu pomocy Królestwu!

• Wreszcie trzeci motyw: Nienormalne warunki społeczne i polityczne poderwały podstawy naszego życia kultural-

nego. Ruch wydawniczy, a co za tem idzie i piśmienniczy, ograniczył się do minimum.

Uważamy więc, że dziś bezwzględnie każda książka wydana spełnia podwójne zadanie: daje stawę duchową współczesnym ich uczy, pokrzepia i nadzieją lepszej przyszłości ożywia, a dla przyszłości stanowić będzie ciekawy dokument historyczny.

W nadziei więc głębokiej, że powyższe pobudki właściwie ocenionemi i zrozumiałemi zostaną przez Szanownych Czytelników tej książki, ośmielam się jeszcze na tym miejscu wyrazić gorące podziękowanie wszystkim, którzy takowe już zrozumieli i w ich istotę wniknąć zechcieli, a przede wszystkim panom Autorom i paniom Autorkom, którzy chętnie i bezinteresownie nadesłali nam swe prace, a także Szan. Kom. Organizacyjnemu, który łaskawie podjął się obowiązków zbierania materyałów oraz rozpowszechnienia wydawnictwa.

O WOŁYNIU.

POGADANKA HISTORYCZNA.

Kiedy nerwami naszymi wstrząsają echa lub huki ognia huraganowego na rozległych powierzchniach, miny wybuchające z pod ziemi, bomby rzucane z areoplanów; wypełzające z okopów obłoki trucizn i płomienia; kiedy setkami tysięcy trupów zaznacza się przemiana wytworzonych przed wiekami organizmów politycznych, na jakieś nieodgadnione dotychczas nowe typy: czy ma coś do powiedzenia Warszawa Wołyniowi?

Zdawałoby się, że po długich wiekach pobratymczego współżycia cywilizacyjnego musiał nagromadzić się skarb wspomnień i myśli, i pragnień: więc jakaś repetycja historyczna powinna ułatwić nam orientację w zaburzeniach dzisiejszych. Poszukajmy jej.

I.

Zapytajmy naprzód: czym jest Wasz Wołyń w dziejach rodzaju ludzkiego?

Geografowie, np. Antoni Rehman, upatrują w nim część niziny Poleskiej i płaskowyżu czarnomorskiego. Słynne błota poleskie były zdawien dawna, od czasów lodowcowych, pokryte roślinnością rozległą bardzo, ale ubogą w gatunki, a płaskowyż na swem czarnoziemnem podścielisku obfituje w piękne dąbrowy i czarne grabiny obok nadających się do rolnej uprawy żyznych pól i pagórków. Archeologowie (np. Chwojko, Demetrykiewicz) wnioskują ze znalezionych kości mamutów, i z przedmiotów wyrobionych rękami, że w okresie pleistocenu żyli już ludzie w Kijowie i w okolicach Krakowa: toć musieli podobne pędzić życie i Wołyniacy owocześni, mie-

szkający w środku pomiędzy zlewiskami Dniepru i Wisły. Ale tych ludzi nie znamy i nie poznamy nigdy przy najostrożniejszej nawet przenikliwości uczonych naszych: ani ich mowy, ani oblicza. Nie domyślamy się do jakiej zaliczeni mogli być rasy.

II.

Słabe światło historii ukazuje się nad Wołyniem za ledwo w X wieku wśród szeroko rozsiedlonych plemion słowiańskich, trudniących się już rolnictwem, budujących sobie grody obronne, lecz uspołecznionych tylko więzami pokrewieństwa rodowego. Na pomienionym płaskowyżu dostrzegamy plemię Drewlan, zapewne zamieszkujących lasy i puszcze. Gród ich najdawniejszy zwał się Korosteń lub Iskorość. Okazali się niezdolnymi do obrony swych zagród w walce z wojowniczymi Waregami czyli Rusami (Ruosi), gdy ci drogą wodną od morza Bałtyckiego dotarli do Kijowa i zaczęli zakładać potężniejsze związki państwowe. Książę kijowski Igor panował nad nimi, pobierając daninę. Wybrawszy jedną należną, przyszedł po raz drugi i zażądał powtórnej: za to zdzierstwo został wszakże zabity, ale żona jego, mądra Olga, pomściła śmierć jego zamordowaniem starszych ojców i spaleniem Korostenia w 945 r. po nar. Chr. Imieniem nieletniego syna rządziła gospodarnie, ponieważ objeżdżając podwładne kraje, wskazywała granice powiatów, to znaczy: urzędowała administracye prowincjonalne.

Jej wnuk Włodzimierz Ś-ty Równy Apostołom zyskał te chlubne tytuły przez to, że się w ciągu swego długiego życia odróżnił od srogiego ojca, który tysiącami wiesział ludzi na szubienicach, wciągał skazańców na kół zastrzony, pozwalał swoim wojakom dla zabawy wbijać ćwieki w głowy współbiesiadników. Był i Włodzimierz wojownikiem: wojował na wschodzie z ludami tiurkскими, na południu z Grekami i na zachodzie z Polakami. Do walki z ro-

dzonymi dwoma braćmi o spadek sprowadził świeżą drużynę Rusinów. Ale najdonioślejszym wypadkiem stała się wyprawa jego wojenna po żonę, cesarzównę grecką, ponieważ następstwem zwycięstwa było przysłanie z Grecyi księży do udzielania chrztu ś-go. W Kijowie do rzeki wszedł Włodzimierz razem z tłumami posłusznego mu ludu (989 roku), a następnie tenże obrzęd był powtarzany przez Greków i Bułgarów po wszystkich grodach i siolach: więc i Drewlanie zostali ochrzczeni na całym Wołyniu aż do błot poleskich; otrzymali cerkiew w nowym grodzie Włodzimierzu i biskupa, ale w Turowie nad Prypecią powstała rezydencya innego biskupa i stolica innego księcia.

Nieco wcześniej, w 966 r., ochrzcił się wraz z ludem wielkopolskim książę Mieszko I Piast, ale sakramentu udzielił mu Czech, kapelan czeskiej księżniczki Dubrawki, podług obrzędu łacińskiego, rzymskiego. A jeszcze wcześniej o lat trzy, w 963 r., zaczął się rozbrat Kościoła Rzymskiego z Greckim czyli Wschodnim. Więc dla ochrzczonych teraz ludów słowiańskich religia stała się nie spójnią, ale czynnikiem rozterki duchowej, zwłaszcza, gdy dwa duchowieństwa wniosły różną oświatę z dwóch ognisk cywilizacyjnych: z Rzymu—łacińską i z Konstantynopola—grecką, w przykładzie na zrozumiałszą dla Słowian ustną i piśmienną mowę bułgarską.

Cały obszar posiadłości Włodzimierza—Waldemora zwany był Rusią; więc kraina Drewlan, przewana w onczas na Wołyn (nazwa nie wyjaśniona przez uczonych) stała się jedną z ziem ruskich, chociaż Russowie rychło zesłowiańszczyli się, zlewając się tak samo, jak we Francyi, Anglii, we Włoszech i w Grecyi z ludnością miejscową. Przyływ nowych wojowników z za morza Waregskiego ustał przed rokiem 1050. Ostatni raz sprowadził ich syn Włodzimierza Jarosław-Jarosleif, lecz pozostało po nich nazawsze imię ich jako organizatorów nad słowiańską „ziemszczyzną“ i prawodawcze ich pamiątki w „Ruskiej Prawdzie“ Jarosława Mądrego. Tu ceni się głowa zabitego Warega na 80 grzywien, to jest dwa razy drożej, niż głowa zamożnego gospodarza

(Słowianina) „ohniszczanina“, a bez porównania drożej od smerda i niewolnika.

Widział zapewne Wołyń hufy polskie, gdy Bolesław Chrobry, poraziwszy Jarosława nad Bugiem, szedł do Kijowa. Panował tu przez 11 miesięcy, ale śladów tego panowania nie zostawił. Cięciem szczerbca w „Złotą Bramę“ kijowską zaznaczył tylko potęgę swojego, nie-wareckiego państwa, które uczynił królestwem zachodniem, rzymsko-katolickiem. Pomimo różnicy wyznań zawiązały się częste stosunki pomiędzy Polską a Rusią skutkiem małżeństw, zawieranych przez członków panujących rodów. Wołyń w tych przymierzach i wojnach, w sprawach politycznych lub międzynarodowych nie brał udziału aż do okresu podziałów Rusi. Przy pierwszym podziale, nakazanym przez Jarosława, dostał się wprawdzie jednemu z synów jego (Igorowi) jako dzielnica, jako państwo książęce, ale na podstawie tegoż zarządzenia miał zostawać pod zwierzchnią władzą najstarszego z braci, kijowskiego wielkiego księcia (1054).

Wszakże zwierzchnictwo Kijowa nie było ani dość szanowane, ani dość silne, iżby mogło zahamować właśnie i utarczki orężne mnożących się z czasem członków rodu Ruryka. Więc Wołyń popadł w wir walk dzielnicowych, pociągający bliższych i dalszych sąsiadów i wałęsających się po stepach nomadów Turków, jak Czarne Kłobuki, Pieczeniegowie, Połowcy czyli Kumani. Dochodziło czasem do oburzających zbrodni. Tak np. syn Igora, Dawid wołyński, kazał wyłupić oczy swemu krewnemu (Wasyłkowi Rościsławiczowi). Osądzony za to na zjeździe wszystkich innych książąt w Lubeczu 1097 był pozbawiony księstwo przez lat parę i ukrywał się w Polsce, ale wrócił później. Zmarł bezpotomnie. Wołyń przeszedł pod władzę walecznego a posłusznego prawom pierworodztwa bohatera Włodzimierza Monomacha, który został wielkim księciem na wielu księstwach ruskich (1113—1125). Po jego śmierci Wołyń przechodził pod panowanie jego syna, wnuka, prawnuka, a wreszcie pra-prawnuka, Romana Mścisławicza, który sięgał po sławę założyciela wielkiej

monarchii w Rusi południowej, albowiem posiadłszy Wołyń po swym ojcu i dzięki opiece Kazimierza, księcia polskiego, a wuja swojego, nabył jeszcze w 1198 r. po wygaśnięciu linii Rościsławiczów opanował Kijów, wówczas wyludniony po strasznym pogromie od Monomachowego wnuka (Andrzeja 1169), wojował zwycięsko z Połowcami, imponował swoim Rusinom tak, że nazywali go „samodzierzą”. Ale potęgą taką cieszył się nie długo. Zażądał od Polaków odstąpienia mu ziemi Lubelskiej, jako wynagrodzenia za dostarczenie im posiłków i za ranę odniesioną w bitwie nad Mozgawą. Otrzymawszy odpowiedź odmowną, przyszedł zbrojnie nad Wisłę i stoczył bitwę pod Zawichostem 1205. w której poległ. Dwoma małoletnimi synami jego zaopiekował się Leszek Biały, książę krakowski.

Wojny, toczone w ciągu XII wieku wymagały chętniej i wiernej służby od drużyny. To też tacy wojownicy, jak Monomach byli dla niej hojni i zasięgali rady u starszyny, zwanej bojarami. Roman wszakże napotykał tyle nieposłuszeństwa i hardości albo przewrotności, że ich mordował, ze skóry żywcem obdzierał, do ziemi żywcem zakopywał, stosując zasadę barbarzyńskiej gospodarki owoczesnych pszczelarzy: nie można jeść miodu. póki się nie wydusi pszczół.

Młodszy syn jego, Daniel czyli Danił, nie tylko odzyskał posiadłości ojca, ale nabył jeszcze Chełm i Lublin i otrzymał koronę królewską od papieża w Drohiczynie na Podlasiu (1246), posyłał swe pólki aż do Czech, ale nie zdołał obronić się potędze Mongołów czyli Tatarów i uznał się hołdownikiem, albo raczej niewolnikiem hana.

III.

Przypomnijmy sobie, że od lat kilku (1237—1240) przerażały Europę straszliwe hordy Tatarów i Mongołów, że zniszczyły księstwa Wschodnio-ruskie ze stolicą wielkoksiążęcą Włodzimierzem nad Kłazmą (t. j. zaleskim, nie wołyń-

skim), w perzynę obróciły ostatek Kijowa, poraziły Węgrów, Polaków i niemieckich rycerzy na Śląsku pod Lignicą, przeszły przez część kraju czeskiego i usadowiły się na stepach południowych, zwłaszcza nad Wołgą, gdzie założyły rezydencję dla swego hana w Złotej Hordzie czyli Kipczaku. Wołyń widział tę ciżbę wiatronogiej konnicy, która biegła z niepraktykowaną dotychczas szybkością, trafnie wynajdując sobie drogi lądowe po działach wodnych i przeprawy na rzekach. Przez Wołyń przechodził właśnie jeden szlak ich (czarny). Książęta Rusi południowej, o ile nie uciekli do Polski, musieli jechać do hana z oświadczeniem poddaństwa i zlizywać kumys, spadający na grzywę końską z jego czaszy. Nieznośnem było upokorzenie takie dla Daniela halickiego: więc zaczął budować grody obronne, zamysławiając powstanie zbrojne, uderzył nawet na strażnika Zadnieprzańskiegogo stepu, Kuremżę, ale z pomocą pośpieszył zaraz drugi temnik, Burundaj, i zmusił buntownika do zburzenia wszystkich fortyfikacji. Tak więc Wołyń pozostał pod „jarzmem tatarskiem“ i opłacał daninę od każdej głowy podług spisu wszystkich mieszkańców.

Odtąd Wołyń tak samo, jak cała Ruś, podlegał rozkazom hanów przez lat sto z górą pod synem Daniela Lwem, jego wnukiem Juryjem, prawnukiem Andrzejem włodzimierskim, zmarłym 1322 i praprawnukiem po kądzieli, Bolesławem Juryjem II otrutym przez bojarów w 1340 r.

IV.

Nie poddali się Tatarom nigdy, a nawet zwyciężali ich w boju Litwini, poczynając od pierwszego ich króla Mindowga, który odniósł zwycięstwo pod Mogilną (1259) nad hordą, gdy przyszła karać go za pomoc, udzielaną Danielowi. Co dziwniejsza, syn Mindowga Wolstynik, ochrzciwszy się wedle obrządku greckiego i wykonawszy śluby zakonne w Pińsku, na Polesiu, oddał państwo swoje synowi Daniela

Swarnowi. Jeszcze dziwniejsze były czyny wojenne litewskich kunigasów w XIV wieku. Śledząc ich ruchy tylko po stronie wschodniej, dowiemy się, że Giedymin opanował kilka księstw ruskich aż poza Prypecią i Dnieprem, a syn jego Olgierd, wyszedłszy na step, stoczył walną bitwę nad Sinemi Wodami (rz. Siniuchą) z trzema wodzami tatarskimi (1362). A co najdziwniejsza: tacy wojownicy obchodzili się życzliwie i łagodnie z podbitymi lub sąsiadującymi chrześcianami, pozwalali chrzcic się synom swoim i wydawali córki za chrześcian. Tak Olgierd i kochany brat jego Kiejstut, poganie, mieli swe stolice w nowozałożonych przez Gedymina miastach Wilnie i Trokach, a jeden z młodszych braci, Lubart, ochrzczony podług obrzędu greckiego i ożeniony z Buczą, córką ostatniego Monomachowicza na Wołyniu, posiadał tę krainę w posagu i usadowił się w Łucku, obszerniejszym grodzie od Włodzimierza, dawniejszej stolicy.

Jednocześnie, w tym samym podobno roku zmarł bezpotomnie brat wołyńskiego, książę halicki Lew II, władca staro Halicza i niedawno założonego Lwowa. Pozostawała przy życiu tylko siostra Marya, zamężna za księciem mazowieckim Trojdenem. Jej dziedzictwo objął syn, Bolesław i zmienił to imię katolickie na Jerzego (Jurja), przyjmując zapewne wiarę grecką. Nie wyrzekł się jednakże całkowicie dawniejszej swej wiary, rad przyjmował księży katolickich, odbierał pisma od papieża, czem obudził zapamiętałą ku sobie nienawiść w sercach bojarów swoich. Zadali mu takiej trucizny, że ciało rozpekło się w trumnie.

Ofiarowali tron halicki wołyńskiemu Lubartowi, ale przeciwko temu zamachowi wystąpił Kazimierz Wielki, król polski, jako zwierzchnik wszystkich książąt mazowieckich, z krwi Piastów i jako mściciel dokonanej na krewnym zbrodni.

Wywiązała się teraz sprawa wielkiej wagi, której ciężar i doniosłość ocenimy, gdy się dowiemy, że w niej uczestniczyli popierający Lubarta Litwini — nie tylko Olgierd i Kiejstut, ale jeszcze czterej książęta, razem siedmiu panujących, Węgrzy ze swym królem sławnym Loisem, Tatarzy, dopóki

żył ich wielki han Uzbek i papież, wspierający wielokrotnie króla polskiego dziesięcinami z dochodów duchowieństwa, jako bohatera, walczącego z poganami i schyzmatykami, na przeciw lat 13 tu. Dawniej znaliśmy tylko gospodarność i zasługi rządu króla chłopków; w ostatnich dopiero latach dowiedzieliśmy się o wojennych czynach jego*). On właśnie zagał tę sprawę dziejową w 1340 roku podwójną wyprawą zbrojną do Lwowa, zabranie dwóch koron i tronu złocistego, ale przy obsadzeniu innych grodów i włości napotkał nienawistny wśród bojarów, którzy wzywali wołyńskiego Lubarta, a jeden „najgorszy z nich” starosta Daniel, czy Dymitr podług Hruszewskiego, czy Detko posłał doniesienie do hordy, że król zakazuje płacić daniny hanowi. Wnet wpadli Tatarzy, rozpuszczając zagony na 9 mil w szerz, ale za Wisłę przepawić się nie mogli, ponieważ nie przepuściły ich rozstawione przezornie po brzegach wojska polskie. Względem bojarów, duchowieństwa i ludu ruskiego obrał Kazimierz drogę pojednawczą dobrotliwej tolerancji, która okazała się nader skuteczną, ponieważ cała ta Ruś Halicka, zwana Czerwoną, stała się uległą, a nawet polszczyła się szybko.

Nie przyszło jednak do żadnego porozumienia w Lubartem. W r. 1349 Kazimierz wkroczył do jego księstwa z wojskiem konnym i pieszem, a machinami rozwalił fortyfikacje stolicy Wołynia, Włodzimierza. Później z polecenia królewskiego ksiądz Waclaw z Tęczyna, proboszcz a zarazem biegły, wykształcony we Włoszech inżynier, wybudował potężniejszy zamek we Włodzimierzu kosztem 3600 grzywien srebra, pracą dwuletnią 300 ludzi z dostateczną liczbą wołów i koni.

Wojna rozgorzała silniej, kiedy na pomoc Kazimierzowi przychodził jego siostrzeniec i mianowany już spadkobiercą

*) Nowe wiadomości znajdują się w Monumenta Poloniae Vaticana; Acta Camerae Apostolicae edidit Dr. Johannes Ptaśnik, Cracoviae, sumptibus Academiae Literarum Cracoviensis. 1913. Volumen II.

król Ludwik węgierski, a Lubarta bronili jego bracia i bratankowie — poganie przeważnie. Zachodziły rozmaite zdarzenia: Lubart był pojmany i w kajdanach trzymany, dopóki niewyjednał dlań wyzwolenia Kiejstut, przyjechawszy do obozu królewskiego; sam Kiejstut był też w niewoli, z której ratował się ucieczką; Ludwik węgierski o mało nie zginął uciekając przez Ruś z pod Bełza do swego Budzynia. Szczegółowego wykładu nie podejmiemy tutaj; zaznaczymy tylko, że po wyprawie 1366 z pospolitem ruszeniem Kazimierz zdobył ostatecznie część Wołynia z Krzemieńcem, pozostawiając Lubartowi tylko wschodni Wołyń z Łuckiem, a Kiejstutowi grody podlaskie z Brześciem. Na tej zasadzie zawarte zostały traktaty, aliści w 1369 r. niespodzianie i nagle wpadli „niewierni”, ludzie imali lub mordowali, kobiety gwałcili, kościoły profanowali i zburzyli cztery piękne zamki. Zasilony znowu dziesięciną od papieża miał je odbudować, lepiej ufortyfikować i stałemi załogami obsadzić. Byłato ostatnia jego troska przed zgonem.

Lubart nie dostał wprawdzie Lwowa, ani Halicza, ale na Wołyniu swoim, na swym Łucku, otoczonym murami do dziś dnia istniejącymi, pozostał panem i niebezpiecznym dla Polski sąsiadem. Żył jeszcze w roku 1382, przywołując Tatarów i Litwinów — pogan, robił jeszcze wrogie najazdy po śmierci Kazimierza 1370 i 1376 roku; w 1377 r. Ludwik przybywał z wojskiem węgierskim osobiście, i zmusił Lubarta do hołdownictwa. Potomstwo wołyńskiego księcia nie utrzymało się wprawdzie na tronie *), ale przetrwało do naszych czasów na stanowisku wielko-pańskim — Sanguszków.

Podobnie potomkowie innych Litwinów i dawniejszych książąt ruskich, jak np. turowskich z biegiem czasu przeistaczali się na właścicieli dóbr prywatnych, na możnowładców, wiel-

*) Data śmierci Lubarta i odebrania Łucka jego synowi Fedorowi przez Jagiellę nie dają się wyświetlić źródłowo (Hruszewski Hist. Ukrainy—Rusi tom IV, wydanie 2, 1907 str. 163.

możów i Wołyn stał się politycznem cmentarzyskiem książąt nie-panujących, jak Ostrogscy, Wiśniowieccy, Czartoryscy. Ale purpura monarsza nie wróciła nigdy do Wołynia: przeniesiona została do Polski.

V.

Córka Loisa a wnuczka Kazimierza Wielkiego, Jadwiga, wstąpiwszy na tron polski, zgodziła się oddać rękę Jagielle, synowi Olgierda, zrodzonemu z Rusinki, Wielkiemu Księciu Litewskiemu czyli, mówiąc ściślej, Litewsko-Ruskim. Pobudką do tego wiekopomnego małżeństwa był ratunek od podbojów Zakonu Niemieckiego Krzyżaków, następstwem zaś najbliższem była wyprawa apostolska Jagielly na Litwę w celu ochrzczenia pogan Litwinów podług obrządku Rzymsko-Katolickiego. Wołyn wówczas tego wielkiego przewrotu w duszach nie odczuł, gdyż był oddawna ochrzczony; zazdrościł tylko tych łask i swobód, jakie były katolikom udzielane. Odzywa się też niechęć do do nabożeństwa, języka i religijnych praktyk, odmiennych od kościoła greckiego. Wołynianie zarówno z innymi Rusinami usiłowali przeszkodzić przyobiecanej przez Jagiellę „inkorporacyi“, t. j. wcieleniu Litwy do państwa polskiego czyli do „Korony“. Widząc to, Polacy, doradcy Jagielly, wymyślili nowy, łagodniejszy sposób łączenia narodów, mianowicie: unię.

W r. 1410 gruchnęła po całej Europie sława niesłychanego zwycięstwa, nad Krzyżakami pod Grunwaldem—Tanenbergiem odniesionego przez wojska polskie, litewskie i ruskie, połączone pod dowództwem braci stryjecznych: Jagielly i Witolda. I oto niebawem po wypoczynku, w r. 1413 zjechali się dla ułożenia unii państw, wszyscy niemal dowódcy zwycięskich hufów w Horodle nad Bugiem, wprost granicy Wołynia. Dnia 2 października czytano i podpisywano wielki pergaminowy akt unii, ułożony czyli zredagowany przez kan-

clerza Wojciecha Jastrzębca, a przepisany czytelnie przez jego sekretarza, kanonika sandomierskiego, Ciołka. Po wstępie pobożnym teologicznym Jagiełło oświadczył, że „jako zawsze troskliwie starał się o dobro ziem litewskich i mieszkańców ich, Litwinów... tak i obecnie... zdejmując z ich karków jarzmo niewoli, którem dotychczas byli uciskani, nadaje im... wszystkie swobody, wolności, prawa osobiste i przywileje, jakich katolicy używać zwykli“. Powtarza następnie dawniej udzielone łaski w 1387 i 1400 r. o wolnem rozrzadzaniu majątkami odziedziczonymi po rodzicach, lub nadanymi, o wydawaniu dowolnem za mąż córek, siostr i powinowatych, o zapisywaniu żonom posagów na dobrach i wsiach tak, jak je w Królestwie Polskiem zapisują. Wreszcie, czego nigdy gdzieindziej na świecie nie było, Polacy, panowie chorągiewni w liczbie 47-u przybierają do uczestnictwa herbów i klejnotów szlacheckich Królestwa Polskiego 47 osób ze szlachty litewskiej, przyjmując je z rodzinami do braterstwa i rodu swego. Żadnej za to zapłaty, ani nagrody, żadnych podatków lub dóbr nie żądali; utworzyli urzędy wojewody i kasztelana dla Wilna i Trok, ale z zastrzeżeniem, że piastować je będą Litwini, nie Polacy. Uszlachetnieni w ten sposób Litwini pomalowali sobie godła polskie na dworach i na chorągwiach bojowych, jak prawdziwi chorągiewni panowie. Przywoływali się też polskimi zawołaniami jako krewni, jako stryjce herbowi: Leliwa, Lis, Topór i t. d.

Rusini wołyńscy przypatrywali się z za Buga tym scenom bratania się obojętnie, dowiedziawszy się, że to prawo służy tylko katolikom; wielkim też księciem był katolik Witold i władał dożywotnio Łuckiem, a srogim i dumnym był władcą i zamysłał o własnem królestwie, o koronacji w obecności zaproszonych okolicznych monarchów. Przyjechał też na tę uroczystość Jagiełło, lecz doczekał się tylko pogrzebu (1430).

Wobec trumny 80-letniego wojownika skupili się w Wilnie Rusini dokoła Swidrygiełły, czyli Switrygajłły dużo młodszego rodzzonego brata Jagiełły. Wszak oprócz przywilejów

pergaminowych ważyły jeszcze związki krwi i skłonności serca: więc pomimo zastrzeżeń wyłączności dla katolików panujący naradzali się i dzielili się władzą z Rusinami schyzmatykaami. I teraz tedy pokazało się, że Swidrygiełło ma licznych stronników — i to jako opiekun i zwolennik narodowości Rusinów, ponieważ z wyznania był katolikiem i na chrzcie w Krakowie otrzymał imię Bolesława. Miał też pretensye do godności wielkoksiążęcej, a przytem ruchliwość intrygancką i lekkomyślność. Poróżnił się od razu z Jagiełłą (zresztą nie po raz pierwszy, bo siadywał po lat kilka w więzieniach i na łańcuchu). Teraz on uwięził Jagiełłę w Wilnie z powodu, że na pierwszą wiadomość o zgonie Witolda biskup kamieniecki Paweł i starosta Hryćko Kierdejewicz oraz szlachcic Buczacki opanowali zamki podolskie: Kamieniec, Smotrycz. Skałę i Czerwonogród.

Tak wynikł bunt, który się rozrosł do rozmiarów kilkuletniej wojny Swidrygiełłowej. Polacy, ujmując się za swoim znieważonym królem, wysłali pospolite ruszenia. Jagiełło, wyzwolony, przyszedł z nimi pod Horodło latem 1431 r., a stąd pod Włodzimierz i Łuck, które to zamki zdobył. Nie chciał jednakże działać wyłącznie orężem i zarządził układy. Pełnomocnicy polscy, pomiędzy którymi znajdował się biskup Zbigniew Oleśnicki, odtworzyli projekt Unii narodów, dodając taką poprawkę, że wszystkie łaski, przywileje i klejnoty herbowe mają też być udzielane Rusinom. Odtąd przywilej horodelski nabrał poważnego znaczenia dla Wołynia i zaczął wywierać wpływ kojący, kojarzący na ludzi różnej mowy i wiary. Zaczęły się najprzód małżeństwa mieszane.

Swidrygiełłę zaczęli opuszczać jego Rusini; nie pomogło mu przybycie Wołochów na Podole, ani zamówiona pomoc od Tatarów, ani wkroczenie Krzyżaków, które najbardziej Polaków rozgniewało. Znalazł się ktoś godniejszy mitry wielkoksiążęcej: brat zmarłego Witolda, Zygmunt Kiejstutowicz. Urządzał on zasadzkę i rozgromił pod Oszmianą, przejeżdżającego Swidrygiełłę. Ten ledwo się uratował ucieczką

do Połocka swojego (w sierpniu 1432). Wojował za niego walecznie tylko Fedko nieświdzki w Braclawszczyźnie, ale poniósł też porażkę i Wołyń z Łuckiem poddał się Jagielle i koronie polskiej.

Niewyczerpany w intryganckich zabiegach Świdrygiello wciąż wyszukiwał wrogów dla Polski i dla Zygmunta. Sprowadził w 1437 mistrza Kawalerów Mieczowych z Inflant, lecz nie doczekał się Tatarów i Wołochów: więc wyprawa zakończyła się porażką. Zniecierpliwienie objawiło się nawet w dalekich wschodnich krainach: w Smoleńsku biskup prawosławny Herasim uknuł spisek przeciwko Świdrygielle i został ukarany śmiercią okrutną przez spalenie na stosie. Największy cios wymierzony był unii polsko-litewskiej w 1435 r. kiedy sam wielki mistrz krzyżacki Paweł Rusdorf dał się namówić do wyprawy i ogromne poczynił spustoszenia. Ale Zygmuntovi przyszedł na pomoc z 15,000 rycerstwa polskiego Jan Kobyłański i odniósł zwycięstwo, porównywane z grunwaldzkim, nad rzeką Świętą pod Wilkomierzem; poległ tu landmistrz inflancki Kerskorf i 13 kniaziów ruskich a 42 dostało się do niewoli.

Bitwa taka wywarła skutek stanowczy i krzyżacy zawarli pokój brzeski 1436, a Świdrygiello pojechał do Krakowa, żeby wyprosić u Polaków Wołyń z częścią zagarniętą Podola. Od tego czasu w spokoju bezsilnym spędził ostatnie lata życia swojego książę Wołynia. Jagielle już nie żył; zasada unii państw była ocalona i ożywiona dążeniem do Unii Kościołów Greckiego z Rzymskim, uchwalonej we Florencji 1439. Równouprawnienie schyzmatyków z katolikami zostało stwierdzone przywilejem króla Władysława III Warneńczyka 1443. Rusini tak samo, jak dawniej Litwini, upraszają każdego monarchę, aby ich obdarował i umocował w tych swobodach, jakimi się cieszą w Polsce prałaci, panowie i rycerstwo. Ten powab okazał się skuteczniejszym od bitew, toczonych nad brzegami Styru i Stochodu.

VI.

Za Kazimierza Jagiellończyka unia poszła w zaniedbanie, ponieważ on sam panował nad obu państwami w ciągu lat 45-ciu, a tyle miał szczęścia, że nabył Pomorze nadbałtyckie dla siebie i dwa królestwa, sięgające do Adryatyku dla syna swojego. Jednakże od strony północno-wschodniej utracił Nowogród Wielki i ksiąstewka nabyte niegdyś przez Olgierda i Witolda nad granicą wzmagającej się Moskwy; od strony zaś południowo-wschodniej ukazał się nowy arcy-niebezpieczny wróg: han Tatarów Mengli Gieraj. Przekonały się nareszcie obie strony z niszczących najazdów, jak szkodliwym było zniszczenie dzieła Jagiełły, gdy państwa otrzymały oddzielnych królów w osobach Jana Olbrachta i Aleksandra Jagiellończyków. Litwini wskrzesili unię w traktacie zawartym z Polakami 1501 r. Na pierwsze zawiadomienie o śmierci króla Olbrachta wysłali swoich pełnomocników na elekcję następcy i z wyboru wyszedł jeden pan Aleksander, i tak miało się dzieć zawsze w przyszłości. Poprawiono akt horodelski o tyle tylko, że zamiast wyrazów inkorporacyi, inwisceracyi wpisano: „jedno ciało, jeden ród, jeden lud, jedno braterstwo“.

Huf polski, przysłany w posiłku pod Kleck, umożliwił Glińskiemu zwycięstwo nad hordą tatarską synów Mengli Geraja. Była to ostatnia radosna nowina, otrzymana przed zgonem przez umierającego Aleksandra: więc nie czekając na wezwanie polskich panów, Litwini pośpieszyli obrać Zygmunta I już d. 20 października 1506 r. Obiór na króla polskiego odbył się dopiero 8 grudnia.

I oto dwa państwa znalazły się znowu zjednoczone pod jedną prawicą... ale przez wcielenie, incorporatio, inwisceratio, co Litwini odpychali ze wstrętem wzrastającym o tyle, że wyznawcy wiary greckiej uczuwali teraz pociąg do W. Księcia Moskiewskiego. Ledwo się zakończyła niepomyślna wojna Aleksandra, gdy Glińscy rozpoczęli swój bunt i zdradę przeciwko nowemu gospodarowi, a Wołyń poddał im kilka zamków. Inaczej postępował Konstanty Ostrogski, uznany za po-

tomka kniaziów pińsko-turowskich, największy pan na Wołyniu, bo hetmanił wojskom litewskim i uciekł z niewoli moskiewskiej na Litwę, wreszcie w połączeniu z Polakami odniósł świetne zwycięstwo pod Orszą 1514 r.; a jednak nie był dopuszczony do Rady Hospodarskiej dopóki król nie uzyskał dlań miejsca za zgodą sejmu litewskiego. Ku niepospolitej radości króla urodził mu się syn Zygmunt August d. 20 sierpnia 1520 r. Jako pan i dziedzic W. Księstwa podniósł go na stolicę wileńską w 1529 r., a nadto, co dziwniejsza, uzyskał u sejmu polskiego przyznanie mu natychmiast godności królewskiej i doprowadził do skutku koronację w 1530 r. Tym sposobem wytworzyła się niezwykle forma rządu z dwoma królami: młodym i „Starym“ Zygmuntem. i ta forma weszła w praktykę od r. 1544, kiedy młody został wysłany do Wilna z władzą sprawowania rządów.

Przebywając tu przez lat prawie pięć, młodzieniec wzył się w stosunki litewskie, zaprzyjaźnił się z Radziwiłem „Czarnym“, zakochał się w Radziwiłównie Barbarze, Gasztołtowej wdowie i przywiózł ją do Krakowa, jako żonę i królowę. Gdy zaś ta umarła i z następnej (trzeciej) małżonki nie spodziewał się potomstwa, całą myślą pogrążył się w trosce o nieochybne rozerwanie tyle korzystnego zjednoczenia dwu państw, całym sercem zapragnął utrwalić na wieki dzieło swego pradziada Jagielly... ale już przez dobrowolne umowy narodów, nie przez inkorporację, która z nim razem zstąpić miała do grobu.

Przy wysokiem wykształceniu włoskiem (po matce) i znakomitych zdolnościach politycznych zabrał się do przygotowań prawodawczych i do przebudowy społeczeństwa. Żeby zbliżyć Rusinów i Litwinów z Polakami pozwolił obierać na sejmach litewskich sędziów ziemskich (1559). Przerobić i uzupełnić kazał Statut Litewski, mądre dzieło Gasztołda z r. 1529; uzupełnienie zaś na tem zależało, że wprowadzoną została w drugim wydaniu (1564) ustawa o sejmikach, iżby Litwini tak samo, jak szlachta polska, mogli obierać posłów swych na sejmy. A nadania szlachectwa były rozdawane

hojnie takim nawet Rusinom, którzy nie postarali się o przyjęcie do jakiegoś rodu herbowego. Na razie jednak nie umieli tych przywilejów zużytkować ubożsi ziemianie, gdyż na sejmik zjeżdżało zwykle dwóch albo trzech panów (np. wojewoda, starosta, chorąży), ci spisywali uchwałę i rozsyłali następnie po dworach szlacheckich do podpisu, grożąc za opórkijami. W dodatku zrzekł się Zygmunt August 1566 r. wszelkich praw swoich gospodarskich, jakie jeszcze ograniczały własność dóbr ziemskich.

Nie polegając na samych pismach lub drukowanych ustawach, Zygmunt August chciał doprowadzić dwa narody do zgody za pomocą ustnego porozumienia; zaraz tedy po wielkim sejmie koronnym piotrkowskim zaprosił Koroniarzy i Litwinów na wspólny sejm do Warszawy.

To miasto, dawniej mazowieckie, nasunęło się teraz pod nasze pióro po raz pierwszy jako upatrzona stolica dla wzrastającego państwa zuniowanego, dla Rzeczypospolitej Polsko-Litewskiej. Zygmunt August ocenił trafnie dogodności geograficzne, a szczególnie skrócenie drogi dla Litwinów w porównaniu z Piotrkowem lub Krakowem. Przeszkodę dla nich stanowiła tylko Wisła, szeroka i wartka w swoim nurcie. Król zarządził dostawę ogromnych drzew z puszczy swoich grodzieńskich na budowę mostu, ale na wykonanie tak trudnej roboty zabrakło czasu.*) Sejm się nie udał. Podobnie bezowocną była podróż senatorów do Brześcia (1564) i do Parczowa (1565). Sejm brzeski zaznaczył się tylko zatwierdzeniem drugiej redakcji Statutu Litewskiego. A Warszawa owoczesna nie posiadała takiego inżyniera, jak ów

*) Most ów został ukończony dopiero w 1582 r., jak świadczy napis Anny Jagielonki na tablicy metalowej, przechowywanej w magistracie warszawskim, w tej chwili wszakże znajdującej się na wystawie Towarzystwa Miłośników Historii. Rysunek, tekst i objaśnienie były ogłoszone w czasopiśmie krajoznawczem: „Ziemia” 1911 r. № 27; przedruk tekstu u T. Korzona „Listy otwarte, Mowy, Rozprawy, Rozbiory“, tom. II, s. 53.

mistrz Jarosław, który niegdyś zbudował dla Jagiełły most w Kozienicach dla wojsk zmierzających pod Grunwald. Zygmunt August przysłał jakiegoś nam nieznanego Niemca w r. 1558 z poleceniem, aby most wystawił, ale woli jego nie stało się zadość dla powodów nam nieznanych. Tyle tylko wiemy, że wypadło wyznaczyć na sejm uniowy już nie Warszawę, ale miasto największe, na dużym szlaku handlowym położone, Rusinom dobrze pamiętne—Lublin.

Teraz wszakże ukazała się inna, trudniejsza do pokonania przeszkoda w jednoczeniu: opozycja wielu Litwinów, która udaremniała dotychczasowe próby i zabiegi królewskie. Mianowicie, d. 21 grudnia 1568 r. zebrała się przy granicy koronnej w Wohyniu i uzyskała od króla zapewnienie, że w razie, gdyby unia nie przyszła do skutku, wolno będzie im bez przeszkód odjechać z powrotem. Termin otwarcia sejmku przypadał na dzień 23 grudnia, ale zjazd senatorów i posłów odbywał się tak opieszale, że witanie króla przez marszałka poselskiego, Czarnkowskiego, odwlekło się aż do 10 stycznia 1569 r. Gdy zaś przybyli Litwini, wnet zaczęły się spory o zasady i granice unii. Były to spory uporczywe, nigdy podobno nie wyczerpane, ale pokonywane przez cierpliwość Zygmunta Augusta, „do wierzenia trudną”. Mamy je spisywane dzień po dniu w dwóch dyaryuszach mniej lub więcej dokładnie, mamy do uzupełnienia i objaśnienia listy przechowane i ogłoszone później w Archiwach rodowych: *) więc możemy gruntownie ocenić zasadność i wartość tych głosów. Nie będziemy ich przytaczali szczegółowo, żeby nie wystawiać na próbę cierpliwości dzisiejszego czytelnika. Scharakteryzujemy tylko momenty i ustępy zwrotne.

W ciągu pierwszych sześciu tygodni spierano się o to, czy unia ma się fundować na uniach dawniejszych, czyli na

*) Skąd powybieirał je Oskar Halecki w rozprawie swojej p. t. „Przyłączenie Podlasia, Wołynia i Kijowszczyzny do Korony w roku 1569”. Kraków, nakładem Akademii Um. 1915.

akcie nowym, któryby przywrócił Litwie wszystkie zagarnięte przez Polaków ziemie od czasów Swidrygiełły albo i Jagiełły. Sprawa miała pójść pod głosowanie d. 1 marca, ale przed świtem panowie litewscy Wołłowicz, Radziwiłł, Chodkiewicz wyjechali, zabierając z sobą większą część posłów litewskich. Oczywiście usuwali się od układów, zrywali sejm w sposób grubijański. Król wypowiedział urazę swoją z tronu, że „nie uważyli mej osoby pańskiej, zaś odjechali bez wiadomości mej, insalutato hospite“ (niepożegnawszy gospodarza). Oświadczył przytem, że unię przywiedzie do skutku temi drogami, jakie mu wskaże prawo. Więc Polacy zaczęli się domagać, aby król spełnił daną niegdyś (przez Kazimierza Jagiellończyka) przysięgę o przywróceniu Koronie ziem przez Litwę posiadanych nieprawnie.

Ztąd wywiązała się druga faza układów: o przyłączenie do Korony Podlasia, Wołynia i Kijowszczyzny.

Najłatwiejszą była sprawa Podlasian, bo ci dopraszali się sami inkorporacyi i wyzwolenia „z niewolstwa litewskiego“. Byli to zresztą przeważnie wychodźcy z Mazowsza, co przerabiali się łatwo na szlachtę zagonową mazurską.

Najważniejsza w tym momencie rola przypadła Wołyniowi już powiększonemu o całe województwo Brasławskie. Wszak w środku prawie tej żywej krainy wznosił się potężny zamek z pięknie zbudowanemi basztami, Ostróg, którego władca podpisywał się wówczas w listach: „z łaski Bożej książę na Wołyniu“. On jednakże nie uciekł z Lublina, nie okazywał nieprzejednanego oporu unii i owszem tak z dóbr wołyńskich, jak z urzędów kijowskich złożył rychło przysięgę królowi i Koronie, bo do Polski nie żywił żadnej niechęci, będąc mężem Tarnowskiej. Ta córka najznakomitszego w Europie nowoczesnej hetmana nie namawiała znakomitego Rusina swego do polonizacyi i napominała nawet, aby swego książęcego rodu nie poniżył, a jednak do polonizacyi przyczyniła się zapewne przez tę właśnie wstrzeźliwość i troskliwość. Wojewodą wołyńskim był Aleksander książę Czartoryski, który przyniósł Zygmuntowi do

pokazania list do cesarza Karola V pisany i pogonią litewską zapieczętowany; Zygmunt August zapewnił mu używanie takiej pieczęci nadal na dowód uznanego pokrewieństwa z rodem wielkksiążęcym. Z podobnemi obawami poniżenia rodu odzywali się inni Rurykowicze lub Gedyminowice jak Sanguszko Roman, ozdobiony świeżem zwycięstwem pod Ullą i zdobyczą 4-ch prezentowanych sejmowi armat, Zbarascy, Koszyrscy, Wiśniowieccy. Otrzymywali jednak zaspakające wyjaśnienia, ale Wołowicz został pozbawiony przez króla starostw i urzędów na Podlasiu z powodu niezłożenia przysięgi, a dwaj towarzysze jego ucieczki, Radziwiłł i Chodkiewicz ujrzeli możliwość utraty swoich też posiadłości i łask. Spory zaostrzały się i znaleźli się jacyś dwaj tacy Litwini, którzy chcieli już Tatarów na poparcie swoich pretensyi sprowadzić. Ale nie wykonali haniebnej pogróżki Tymczasem panowie dowiadywali się, że szlachta wcale im nie sprzyja i unii pragnie: więc zaczęli wracać do Lublina i przed królem uniewinniać się (od 5 kwietnia).

Po wielu naradach i poprawkach zostały ułożone i przyjęte dwa przywileje przywrócenia do Królestwa Polskiego: 1) Podlasia w d. 5 marca 2) Wołynia 26 maja 1569. Zajrzyjmy do tego ostatniego *)

„My Zygmunt August.. za pokazaniem dostatecznem przywilejów i tak jasnej sprawiedliwości, za pozwoleniem Wszech Panów Rad naszych duchownych i świeckich i Posłów Ziemijskich i wszystkiej Rzpltej Koronnej, ze wszystkich Rad naszych duchownych i świeckich, Xiążąt, Panów, Szlachty i wszego Rycerstwa onej Wołyńskiej Ziemi, wzięwszy na siebie ich przysięgę, którzy byli oni ku Wielkiemu Xięstwu Litewskiemu od niemałego czasu obowiązani, warujemy im... że to im i potomstwu ich nic i niwczym nigdy nie ma szkodzić wiecznemi czasy. 2. A już tę przerweczoną Ziemię Wołyńską to jest Województwo Wołyńskie Brasławskie... ku

*) Volumina Legum II, fol. 752₉₉.

Królestwu Polskiemu jako równych do równych, wolnych do wolnych ludzi, a jako własny a prawdziwy członek ku pierwszemu własnemu ciału a głowie... przereczonej Koronie, abo Królestwu Polskiemu... przywracamy i złączamy, w tytuł Korony Polskiej przywodziemy i ku jednemu ciału nieróżnemu i nierozdzielnemu wracamy, wszczepiamy, wpojamy czasy wiecznemi: także na potym od tego swego właściwego, prawdziwego a prawego ciała i od głowy Korony Polskiej tak we wszem całe, jakoteż jakiejkolwiek części swojej nigdy oderwana, ani odłączona żadnym sposobem ani kształtem nie może być czasy wiecznemi. I tych wszystkich Stanów a obywatelów Ziemi tej... każdego wedle powołania swego stanu dostojęństwa i obejścia wszystkich przywilejów, wolności, swobód Królestwa Polskiego. Zarówno używać znajdujemy i czyniemy. Jakoż już tego wszystkiego społecznie mieć, używać i z tego się weselić na wieczne czasy, oni i ich potomkowie mają i będą. 3) Służba wojenna, 4) nienaruszanie granic powiatów ziemi 5) Podatki wedle praw koronnych 6) Zwolnienie od egzekucyi dóbr królewskich 7) We wszelkich sądach obowiązywać ma Statut Litewski 8) Pozwy, wpisywanie do ksiąg, akta, dekreta, listy nie jakim innym, jedno ruskiem pismem pisane i odprawowane być mają wiecznemi czasy. 9) Hufy na wojnę wedle obyczaju koronnego 10) Przy dawnych herbach orła znaku koronnego używać.

Kończy się przywilej zapewnieniem królewskim, że opisanym tu swobodom i wolnościom „żadne statuta ani konstytucye sejmowe koronne nie będą nic mogły, ani mogą szkodzić i niwczym ubliżać wiecznemi czasy“.

Snadź wystarczyło to wszystko na uspokojenie obaw i zarzutów, wysuwanych dotąd przez opozycję, bo senatorowie i posłowie zaczęli przybywać licznie, szczególnie od 19 maja do składania przysięgi, stwierdzonej własnoręcznym podpisem. Szli „na górę“ i wykonywali tę ceremonię przez cały tydzień, a znajdowali się też kunktatorowie, którzy ją przedłużyli poza ostatni termin. Ale też był to moment prze-

łomowy. Bez trudności i sporów załatwiono się z przywilejem kijowskim, gdy Wasili Konstanty Ostrogski podpisał się bez oporu jako wojewoda kijowski. Potem toczyły się obrady około ziem dalszych ruskich i litewskich, około formy unii dla całej Rzplitej. Matejko pięknie odmalował jedną tylko ostateczną scenę unii d. 1 lipca 1569, kiedy się urodziła jedna Rzeczpospolita, w której „król się nie rodzi“, lecz miał być zgodnymi głosami obierany.

A cóż się stało z Wołyniem?

Znikł jako mocarstwo rzekomo wielkiego samodzierżcy Romana Mścislawicza i Wasili Konstantyn Ostrogski nie podpisywał się już po 1564 roku z łaski Bożej księciem Wołynia. Wszyscy książęta i kniaziowie musieli poprzestać na tytułach dygnitarzy i urzędników, ale za to „wcielić się“ mogli i weselili się ze swobód polskich.

A co się stało z Warszawą?

Niebawem, od r. 1572, stała się miejscem zebrania sejmiku konwokacyjnego i wszelkich późniejszych ordynaryjnych lub extraordynaryjnych aż do ostatniego, czteroletniego 1788 — 1792, a więc widomą rezydencją tej zuniowanej Rzeczypospolitej, przyjęła wszystkie uchwały lubelskie szczerem sercem i nigdy tymże nie uchybiła, przypuściwszy Wołyn do najbliższego braterstwa jako część Prowincyi Małopolskiej, wyznaczywszy dlań miejsca w obu Izbach sejmowych na zamku, oraz w szopie senatorskiej i w kole rycerskim podczas elekcyi królów, co było najwyższym i najcenniejszym dla Polaka zaszczytem.

Tadeusz Korzon.

Warszawa, 19/XI 1916.



DOLA.

Jesień szła późna, mokra i przesmutna. Niskie niebo skłę-
bionemi runami burych chmur, zwisało ciężkim, ołowi-
nym całunem. Szary, przemglony dzień październikowy, dy-
gotał udręczeniem; rozpacz łkała w poświściach wiatru i szme-
ry deszczów były jakby szelestem nieustannych i nieutul-
nych niczem łez. Bowiem gdzie tylko dosięgły oczy, tam
leżały rumowiska wiosek, żalosne szczątki rozstrzelanych la-
sów, ruiny kościołów, czarne szkielety popalonych sadów.
Wojna stratowała żelaznemi stopami cały kraj, iż wszystkie
ziemie stały się jakby jednym cmętarzyskiem, nad którem
jeno tu i owdzie wznosiły się czerwone kominy jak grobowe
kamienie ociekające żywą jeszcze krwią. Nawet pola leżały
shańbione, podarte, pełne plugawych resztek mordów, zgliszcz
i pożarów. Nawet powietrze przesycaly trupie zapachy roz-
kładów i spalenizny. Śmierć wyła na trupach i ruinach we-
selną pieśń potęgi. A na wschodniej stronie jeszcze widać
było czarne obłoki dymów zwieńczone krwawemi błyskawi-
cami pożarów. Paliły się tam jakieś wsie, jakieś miasta, ja-
kieś dwory i wiatr przynosił głuchy, monotony i dziki sko-
wyt rozwścieklonych armat. Zaś szeroką drogą, wijącą się
pokrętnie wśród omglonych pól, niby błotnistą, czarną rzeką,
uciekały oszalałe tłumy. Ciągnęły wozy naładowane dobytkiem
i dziećmi, ryczały krowy ciągnięte na postronku i wy-
ły zblakane psy. Spływali z miedz, z rumowisk, z lasów
i nor nieskończoną procesyą i uciekali we wszystkie świat,
byle dalej. Niekiedy wpadał na nich oddział kawaleryi, prze-
latującej gdzieś na oślep. Niekiedy tratował z przerażającym
rykiem samochód. Rozpierzchali się na chwilę i gdy minęło
niebezpieczeństwo, znowu ruszali naprzód. Przygięci pod
tobołami do ziemi, śmiertelnie znużeni, obdarci, głodni, prze-

mykali się w trwożliwym i ponurem milczeniu. Twarze mieli skamieniałe w męce przerażenia i rozpaczki. Byli, którzy już od całych tygodni uciekali bez wytchnienia i pamięci. Sy-piali po rowach, po rozwalinach i opuszczonych okopach, żywiąc się czem się dało; czasem nędznymi resztkami zapa-sów, czasem znalezioną padliną, zaś najczęściej zgniłym kar-toflem, wydartym z marznącej ziemi gołemi pazurami. Huragan wojny wymiółł ich z siedzib odwiecznych i niby garść zwiedłych liści, pędził przed sobą w dzikim zamięcie strachów, na zatracenie. Naraz, jakby na przekór tej niepo-wstrzymanej fali, jakiś duży pies, kształtem przypominający wilka i jak wilk o rudej, gładkiej sierści, potężnych kłach i trójkątnej głowie, wyskoczył z uciekających szeregów, za-wył przeciągle i popędził z powrotem. Myślano, że się nagle wściekł. Nikt go nieznał i nikt niezatrzymywał. Przybłądą był niewiadomo z kąd. Kilka psów popędziło za nim, ale wkrótce wróciło pokornie. On zaś gnał jak oszalały. Po-niosło go jakieś wspomnienie mocniejsze nad wszystko. Leciął szukać swojej wsi, swojej budy i swoich gospodar-zów. Po jakimś czasie przysiadł nad drogą, rozglądał się przekrwionemi oczami. Obce mu było wszystko: obce te splugawione pola, obce drogi, obce ruiny, a tak jakoś straszne, że porwał się na nogi i z nosem przy ziemi, pędził ku wschodowi, ku polom walki, z kąd słychać było huk armat i z kąd jeszcze wciąż uciekali ludzie. Poleciał na przełaj, omglonemi polami.

I dnie całe przechodziły mu na daremnym węszeniu. Krążył w promieniu paru mil, zdeptał wszystkie drogi, obwą-chał wszystkie spalone wsie, przystawał do gromad obozu-jących po lasach, włókł się za obozami, węszył po polach bitew, głuchy już na strzały i wrzaski, obojętny na niebez-pieczeństwa. Czasem litościwa ręka dzieliła się z nim krom-ką chleba, częściej jednak, na pokorne skowyty, dostawał kopnięcie. Wychudł straszliwie, zdziczał i z głodu już nie gardził żadnem pożywieniem. Widziano jak chleptał ludzką krew i domyślano się jeszcze straszniejszych sprawek, więc

kiedy się zbliżał do ludzi, witały go kamienie i kamienie leciały w jego ślady. Wzgardził przeto niemi, omijając zdaleka ocalałe wioski. Nie zbliżał się nawet do dzieci wołających na niego. Wciąż i niestrudzenie szukał swoich. Aż w jakiejś chwili wpadł na znajomy ślad, właśnie na tej samej drodze był ją odnalazł, którą uciekał wraz z ludźmi, tylko wyżej o parę mil. Zaszczekał radośnie i biegł ostatkami sił. Pamiętał, że zaraz za wzgórzem leży ta jego wieś. Pamiętał rozstaje dróg, gdzie w cieniu wielkich drzew stał krzyż, a za nim rozciągały się rzędy białych chałup. Dopadł wreszcie pola i pod krzyżem przysiadł zmartwiały: nie było już białych chat, nie było lasu za rzeką, nie było wielkiego domu w środku wsi, nie było nawet pól opadających do rzeczki — były jeno kupy rumowisk, żółte, nieskończone groble piachów, kałuże, kikuty spalonych sadów, resztki obłamanych kominów i stado wron kraczących na złomach i ruinach. Mokre mgły niby lachmanawi spowijały wszystko i zalewały pluszczące, nieustanne deszcze. Ale pies, pomimo tych zmian straszliwych, poznał wieś swoją. Oblatywał każdą osadę z osobna, węszył, naszczekiwał, szukał w rumowiskach, w każdym obejściu, w każdym dole, za każdym ludzkim śladem leciał i niepotrafił nawet odszukać miejsca, gdzie stał dom jego gospodarza. Jakby trzęsienie ziemi przewróciło całą wieś na nice. Wszędzie ciągnęły się głębokie rowy, sieć kolczastych drutów, zwały belek, stosy cegieł, kupy przegniłej słomy, szeregi mogił nastroszonych niskimi białymi krzyżami, wygasłe dawno ogniska, jakieś okropne, przekrwione strzępy szmat i żelaza. A nigdzie ani śladu życia, ani śladu człowieka, ani śladu schronienia. Coś, jakby obłądny strach nim zatargał. Zgiął się w pałąk, zjeżył, ogon podwinał pod siebie i zawył. Wył długo, rozpaczliwie i okropnie. Padał w błoto, darł pazurami ziemię i skowycząc żałośnie tarzał się w jakiejś straszliwej, niepojętej męce. Kilka wron, mających go na uwadze, gdy wreszcie wyzbyty z sił leżał jak nieżywy, spłynęło z drzew i ostrząc dzioby, jęły zmierzać ku niemu krzywemi podskokami. Otaczały go

zwolna groźnie nastawionemi dziobami. Już najśmielsze podfrwały z rozwartemi pazurami; już przykrył go obłok rozchwianych, czarnych skrzydeł, drapieźnych szpon, zakrzywionych dziobów; krótkie, chrapliwe krakania były coraz niżej nad nieszczęśliwym. Zerwał się jeszcze w porę i uciekł na rozstaje pod krzyż, w gąszcze cierni i suchych badyłów. Wrony pognały za nim i obsiadłszy krzyż i czuby drzew, czekały cierpliwie. Pies leżał zgoła już bez sił i zdawał się prawie płakać, krótki, urywany, żaloszny skowyt wyrwał mu się z gardzieli. Beznadziejna rozpacz brzmiała w tym głosie. Nie mógł się poruszyć z miejsca i głód skręcał mu wewnątrzności. Nie miał już gdzie lecieć, nie miał czego szukać.

Śmierć krążyła nad nim, wrony całym stadem obsiadły cierniowe krzaki.

Tak przeszły długie godziny, gdy naraz doleciał go zapach dymów i ludzi, wyskoczył na drogę i poczołgał się za wiatrem. Jakoż w pośrodku wsi, pod złomem kościelnej ściany, odpoczywali jacyś nędzarze. Wielki ogień palił się przed szalaszem przypartym do murów i uczynionym z desek i gałęzi. Zapachniały pieczone kartofle. Na barłogu tuliło się kilkoro dzieci, parę kobiet siedziało zapatrzonych w ogień, a jakiś stary człowiek żelaznym prętem wygrzebywał z ogniska kartofle, rzucał je dzieciom i sam jadł z wilczą żarłocznością. Pies przyczołgawszy się do ogniska zaszkomlał cichutko.

— Poszedł precz! Warknął człowiek grożąc pogrzebaczem. Pies odskoczył na stronę, ale potęga głodu i niezwalczona potrzeba zbliżenia się do ludzi, przywiodły go z powrotem. Nawet nie skomlał, jeno łzawemi oczami żebrał o miejsce przy ogniu, o jedno łaskawe człowiecze słowo. Wtem człowiek spojrział na niego tak jakoś szczególnie, że pies zatrzymał się na miejscu i patrzył mu w oczy podejrzliwie.

— Naści piesku! Nie bój się głupi! Manił podrzucając na przynętę kartofel, a zarazem obmacując głodnemi oczami jego grzbiet potężny. Pies jakby rozumiejąc to jego drapieżne spojrzenie, zaczął się ostrożnie wycofywać od ognia.

— Dzieci, wołajcie psa! Jakiś mądrała! I cmokał na niego jak mógł najpieściwiej.

Nic jednak nie pomogło, żadna zachęta. Pies ciężko dyszał, piana szła mu z pyska, szczekał zębami, dygotał, lecz miał się na ostrożności. Wszystkie oczy wpijały się w niego żarłocznie i wszystkie ręce zdały się wyciągać do jego gardzieli. Trwało to krótką chwilę, aż człowiek trzasnął go znie-nacka prętem przez grzbiet, lecz nim zdarzył cios powtórzyć, pies pognał we świat ze straszliwym skowytom bólu. Stado wron poleciało za nim i obsiadło ciernie pod krzyżem, gdzie się był zaszył i zdychał w męczarniach.

Deszcz padał wciąż, pluskał w gałęzie i strugami spływał po krzyżu. Blasany Chrystus w cierniowej koronie, nagi, pełen świeżych ran od kul i szrapneli, zdawał się podnosić oczy na świat straszliwie smutny, zbroczony krwią, splamiony mordami, i szeptał:

— Panie, Panie! Czemuś mnie opuścił.

A z głębin niewiadomych biły armaty głucho, nieustannie — jakby młoty nieubłagane zabijające trumnę wszystkiego żywota.

Władysław St. Reymont.

6 — I — 1917.

WOJNA.

Więc cię poznałem, o Wojno! Tyś wielka, tyś straszna,
Wojno!

Jak nawałnica, spadasz na ziemię spieczoną i znojną.

Jak Tajfun, morzem i lądem wstrząsa twa moc i kolebie,

Gdzie stąpisz, nic się nie oprze, nic nie ostoi prócz ciebie.

Czoło twe w chmurach, z chmur grotów ognistych deszcz
strąca,
Głęboko w ziemi twe stopy ryją bruzd sznury bez końca,
Krzyże twych ramion stalowych wszerek rozpostarte, jak krata,
Spięły i skuły świat cały od krańca po kraniec świata.
Przed tobą groza i popłoch, jak mrok co zmysły zasłania,
Za tobą zgliszcza, i dymy, i męki wyczekiwania...

* * *

— Więc cię poznałem, o Wojno! Tyś wielka, tyś straszna,
tyś mocna!
Przedtem zdawałaś się ludziom jak złuda, jak zmora nocna,
Gdy dzień twój nastał i w okół zorzą zatoczył się krwawą,
Tamto już snem, a ty jedna — rzeczywistością i jawą.
Ty jedna — pługiem potężnym, co rolę zakrzepłą kruszy,
By w ludach doorać się prawdy, a w każdym człowieku —
duży...

* * *

— Ale przy tobie, jak zawsze, tych dwoje: mąż i niewiasta.
Niewieście z ramion para szkarłatnych skrzydlisk wyrasta,
Naprzód górą szybuje, miecz z laurem w rękę, jak świeca,
Usta wołaniem rozwarłe, w iskrach i ogniach — żrenica...
Mąż kroczy dołem, milczący, jak siewca z spuszczoną głową,
Jak siewca nad skibą rolną, dłonią porusza miarowo;
Chylą się przed nim zastępy, czy pierzcha kto — czy zwy-
cięża...

.....
Imię niewiasty to Sława, a Śmierć imieniem jest męża!..

Ignacy Baliński.

(Transkrypcja ze Swinburne'a).

Z POETÓW WŁOSKICH.

GUIDO CAVALCANTI.

(W. XIII).

Ujrzałem oczy w których Amor grot swój mieści,
Tak iżem się przestraszył: gdyż na mnie patrzyły
Oczy te jakbym przykry im był i niemiły:
Ażem czuł rozdwojone me serce w swej treści.

I gdyby nie jej uśmiech co mi niebo wieści
Wolałbym (tak rozpacze w sercu mi się wiły):
„Ach, okrutny jest Amor, gdy chce dowieść siły,
Bo srodze się zwycięstwem nad mą duszą pieści“.

Lecz gdy raczyła spojrzeć na mnie owa pani,
Jakiś duch się poruszył w niebieskiej otchłani
I w głębi usadowił się mego marzenia.

I całą mi odsłania miłości istotę,
Bo ukazał mi wszystką owej pani Cnotę —
Tak jak gdybym jej serce przeniknął do rdzenia.

Tłumaczył A. Lange.

TAJEMNICA.

Rozmaicie kobiety noszą tajemnice:
Najczęściej jak okrywkę, rzadko jak spódnice.
Mężczyźni?... Raz dyskretni, prawdę tają skrycie,
To znowu kłamstwa głoszą, za nie dając życie.

Antoni Marylski.

SKARBY PRZESZŁOŚCI.

A więc posiadamy nareszcie w Warszawie Muzeum, instytucję, poświęconą zbieraniu i przechowywaniu tych skromnych resztek z magnackiego stołu, jakie tu i owdzie, *nafragio erepta*, w kraju pozostały. Magnacką bo ucztą dla miłośników i badaczy sztuki były wnętrza dawnych rezydencji polskich, owe zamki, pałace i dwory, obficie ozdobione tem wszystkim, co w zakresie sztuki czystej i rękodzieł artystycznych Włochy, Francja, Niemcy i Flandrja wydały.

Co pozostało z tego? Nie zupełnie — na szczęście, — ale — prawie nic. Niemal do końca XVIII stulecia nasz stan posiadania w omawianym zakresie trwał prawie bez zmiany. Wprawdzie w okresie „rebelji“ kozackich i najazdu szwedzkiego wiele cennych zabytków sztuki i skarbów bibliotecznych uległo zniszczeniu, lub też rabunkowi, lecz zato następna epoka, zwłaszcza czasy Stanisława Augusta, przy całym ich politycznem nieszczęściu i ogólnym umysłowym zastoju społeczeństwa, pod wpływem jednak silnie, choć powierzchownie nurtującego wśród górujących warstw narodu prądu kultury francuskiej, zabłysły szerszem i wyższem niekiedy przez te ostatnie pojmowaniem prawdziwych celów i walorów kulturalnych i wielu cennymi nabytkami w artystycznym i bibliotecznym zakresie kraj nasz wzbogaciły.

Nieszczęsny koniec wieku XVIII i na tem polu klęskę nam zgotował. Nie sposób tu wyliczać owych masowych i częściowych konfiskat, owych niezliczonych rabunków, nieoszczędzających prywatnych rezydencji i mieszkań, a nawet kościołów.

Dzięki tej zawierusze, przy całej wojennej bezwzględności i bezprawiu XVIII stulecia, nie normowanych jeszcze

wówczas żadnymi traktatami, ani późniejszym humanitaryzmem, dziś sprawy nawet dokładnie z tego co posiadaliśmy nie zdajemy sobie.

Przepiękne dzieła wielkiej i małej sztuki podziwiamy w publicznych i prywatnych zbiorach zagranicznych, nie domyślając się nawet, że jednak wiele z nich naszą było własnością, że od nas one, niestety, pod obce wywędrowały witryny.

Badania w powyższym zakresie winny być przedmiotem specjalnego wydawnictwa, któreby zdołało możliwie dokładnie zinwentaryzować zabytki kultury artystycznej w Polsce od okresu romańskiego po wiek XVIII włącznie, nie ograniczając się jednakże materiałem w kraju pozostałym, lecz opracowawszy historję i losy tych zbiorów, galerji, bibliotek, wreszcie pojedynczych zabytków, które w ten czy inny sposób uległy rozproszeniu i przepadły dla kraju. Poza naukową doniosłością takiego wydawnictwa, praktyczna wartość jego byłaby nieocenioną, ułatwiając naszym badaczom i kolekcjonistom odszukanie, zbada nie, a może i odzyskanie wielu nieznanych lub zapomnianych zabytków polskich.

Następny okres politycznego upadku narodu, jego materialnej ruiny i moralnej depresji nie mógł być oczywiście korzystnym, chociażby dla utrzymania tego, co z ogólnej ruiny ocalić zdołano. Lata 12, 31 i 63—to początki okresów o najsmutniejszych dla omawianej kwestji wynikach. Płynęły zabytki polskie masowo i pojedynczo. Konfiskaty, wywłaszczenia, lub poprostu rabunki funkcjonowały nadal przy łada sposobności. Wyzbywano się za bezcen pamiątek rodzinnych, owych niemych i dumnych lepszej przeszłości świadków. W latach ucisku i gwałtu, przy rosnącej depresji moralnej i apatji narodowej szacowne zabytki przeszłości niejednemu wydać się mogły przedmiotami „nieprawomyślnymi“, których i wyzbyć się lepiej, aby samemu nie wpaść w podejrzenie. Ruina materialna była tu oczywiście czynnikiem dominującym, a nieuctwo społeczeństwa w rzeczach archeologii i sztuki dopełniało dzieła zniszczenia. To też przerażająco szybko wy-

próżniały się wnętrza naszych pałaców i dworów, kościelne skarbcze i biblioteki klasztorne, pomnażając publiczne i prywatne zbiory kulturalniejszych, lub tylko szczęśliwszych niż nasze społeczeństw i napełniając złotem kieszenie zagranicznych handlarzy „antykwów“ i ich pośredników miejscowych. Ci ostatni, istni piraci i rabusie pamiątek narodowych, bez wszelkiej oczywiście znajomości rzeczy i specjalnego wykształcenia, orjentując się jedynie owym kupieckim „nosem“, co to wie co „idzie“ i co ma cenę, gotowi byli i są wyprzedzić najcenniejsze zabytki, niemal relikwie narodowe dla byle zysku, czy prowizji.

Cóż w takich warunkach pozostać w kraju mogło? Nieliczne magnackie rezydencje i cenniejsze ich zbiory, znikome szczątki świetnych niegdyś i bogatych skarbców kościelnych, wreszcie rozproszone tu i owdzie pamiątki rodzinne i nader nieliczne większe prywatne kolekcje.

Wszystkie te jednak straty w ciągu ostatniego półtora-wiecza poniesione nie zdołały obudzić w społeczeństwie żywszego zainteresowania dziełami czystej i stosowanej sztuki lat minionych i wytrzebić typowej na tem polu obojętności i ignorancji naszej.

Na tle tej ostatniej w połączeniu z naszą przeczuloną, często egzaltowaną naturą rozwinął się dziwny i śmieszny objaw przeceniania wielu pseudo-zabytków przeszłości, złączonych z mocną wątpliwą zazwyczaj i niesprawdzonej autentyczności legendą, czy też anegdotą. Z jakąż to skwapliwością kolekcjonują się u nas najpospolitsze nieraz przedmioty z tytułu ich jakoby przynależności do różnych naszych i obcych wielkości historycznych. Dalekie to echa nieborowskiej Arkadji, czy gotyckiego domku w Puławach, gdzie z rozbijającą naiwnością ckliwo-sentymentalnej epoki figurowały obok prawdziwie cennych dzieł sztuki pantofle pani de Maintenon, lub szczypta popiołów Abelarda i Heloizy.

Ale nie śmiejmy się: nie przebrzmiały jeszcze echa rapperswilskiej sprawy, a wszak Puławom właśnie zawdzię-

czamy jedno z najbogatszych muzeów polskich — Ks. Czartoryskich w Krakowie.

Z tem większem uznaniem podkreślić należy szlachetne i dzielne wysiłki nielicznych u nas jednostek, które całym sercem oddawszy się ukochanej sprawie, z ogromnym nakładem silnej woli, pracy i środków materialnych ocalić i zgromadzić zdołali poważne kolekcje cennych zabytków ojczyństw. Ale najdzielniejsze wysiłki jednostek nie ocalą sprawy, wymagającej jaknajszerszego uświadomienia i zbiorowej akcji społecznej.

Przodując pod wieloma względami innym dzielnicom polskim, Królestwo w zakresie omawianej sprawy pozostało w tyle, wyprzedzone na polu ratowania od zagłady, kolekcjonowania i naukowego opracowania zabytków ojczyństw przez dzelnice mniejsze i uboższe, lecz zato znajdujące się w znacznie pomyślniejszych dla wszelkich poczynań kulturalnych warunkach niż Królestwo, gdzie wszelka myśl, wszelka akcja, wnosząca jakikolwiek walor do naszej kultury narodowej, tępiona była w zarodku.

Wszystkim nam znanych skarbów Krakowa, dotyczących kulturalnej przeszłości naszej, przypominać nie trzeba, a przecie i mniej szerszemu ogółowi znane i dostępne magnackie rezydencje w Galicji również mnóstwo cennych zabytków przeszłości w murach swych przechowują. Lwów też się już pod tym względem obudził do życia i z zapalem gromadzi pamiątki historyczne i dzieła sztuki w dawnej kamienicy Sobieskich, w Miejskiem Muzeum Przemysłowem i Galerji, które w ostatnich czasach wzbogacone zostały cennymi zbiorami nieodżałowanej pamięci Łozińskiego, zakupionymi przez miasto w tak szerokiem i chlubnem zrozumieniu swych kulturalno-narodowych zadań.

Poznańskie nawet tak pochłonięte i zaabsorbowane realną treścią życia, że niesłusznie — ze względu na okoliczności — za polską uchodziło Beocję, posiada kilka poważnych i pod względem muzeologicznym dobrze urządzonych kolekcji i wprost bezcenne zbiory Gołuchowskie.

Jedynie Warszawa nasza, stolica Kraju, największe i najbogatsze miasto polskie, nie posiadała do niedawna instytucji gromadzenia zabytków wielowiekowej kultury naszej w możliwie wszechstronnym zakresie służącej. Piętnując wszakże społeczną obojętność i niezaradność naszą, nie można pominąć oczywiście wielu innych decydująco ujemnie, a niezależnie od nas działających powyżej wspomnianych czynników, które realizację omawianej sprawy znacznie opóźniły.

Nie sposób pominąć na tym miejscu tak owocnej i wszechstronnej działalności instytucji, nie poświęconej wprawdzie wyłącznie i bezpośrednio celom muzealnym, lecz działającej w zakresie o wiele szerszym, bo obejmującym działalność ratunkową i konserwatorską w stosunku do wszelkich cennych ruchomych i nieruchomych zabytków przeszłości, zwłaszcza — architektonicznych. Warszawskie Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości w krótkim stosunkowo czasie swej egzystencji wśród tak niepomyślnych warunków materialnych, społecznych i politycznych zdążyło już jednak dokonać bardzo wiele, budząc w społeczeństwie uświadomienie i zainteresowanie zabytkami ojczystymi, ocalając wiele z nich od zagłady, stwarzając obejmującą kraj cały organizację o tak doniosłych dla nauki i kultury naszej dążeniach do ocalenia przed niszczącą działalnością czasu i wandalizmu tego wszystkiego, co daje nam plastyczny i wymowny obraz naszej kultury i życia w przeszłości. Powyższy zakres działalności, określony zresztą samą nazwą—Towarzystwa opieki nad zabytkami przeszłości, nie zawiera jednak w liczbie swych głównych zadań tego, co jest wyłącznym niemal celem instytucji czysto muzealnych, a mianowicie: kolekcjonowania, tworzenia zbiorów i brak takiej właśnie instytucji w Warszawie najdotkliwiej uczuwać się dawał.

Muzeum Narodowe m. st. Warszawy usuwa tę rażącą lukę i pozwala nam z uczuciem ulgi i otuchy mieć radosną nadzieję, że *les beaux restes* naszych pamiątek historycznych i skarbów sztuki ulegnie lepszemu losowi, niż olbrzymia ich większość bezpowrotnie dla nas stracona.

Warszawskie Muzeum Narodowe, dzięki zapisom: Lachnickiego, Sobańskiego, Meyeta i in. wraz z okazałą galerią miejską, i należącymi do niej zbiorami rozporządza bardzo już poważnym materiałem muzealnym, z którym zleją się — miejmy nadzieję — i inne w prywatnym będące posiadaniu zbiory i pojedyncze zabytki, czy w charakterze darów, czy — depozytów chociażby. Iluż posiadających cenne kolekcje zbieraczy drży o dalsze losy tych owoców swych wieloletnich wysiłków, często za cenę wielu prywatacji zdobytych. Ileż to takich zbiorów, rozproszonych w drodze sukcesji i działań ocalićby mogła poważna i pewna instytucja muzealna. Wszystkie te jednak argumenty błędą wobec tych, których każdy dzień niemal dostarcza nam w bolesnych wieściach o zrabowaniu lub zniszczeniu stylowych dworów naszych, pałaców i świątyń, zawierających w swych sędziwych murach tyle cennych dzieł sztuki, tyle pamiątek historycznych i skarbów bibliotecznych. O ileż mniej byłoby tych najdotkliwszych, bo bezpowrotnych strat, gdybyśmy posiadali przed wojną wzorowo urządzone instytucje muzealne, a w społeczeństwie — szerokie uświadczenie obywatelskiej konieczności przekazywania im i uprzyśtępnienia w ten sposób całemu narodowi tego wszystkiego, co świadczy o naszej wysokiej kulturze w przeszłości.

Otóż temu pięknemu, a tak wielkiej doniosłości celowi służyć ma Muzeum Narodowe miasta stołecznego Warszawy. Otrząśnijmy się więc z dotychczasowej na tem polu bierności i nie pozwólmy pozbawić się tych nielicznych już dowodów realnych polskiej przeszłości kulturalnej, ku czemu bezwiednie i w szybkim tempie zdążamy. Wprawdzie antykwariusze zagraniczni przestali uważać nas za rodzaj egzotycznych dzikusów, oddających złoto i kość słoniową za lada błyskotkę, gdyż prawie wszystko co cenniejsze wywieźć już zdążyli, lecz czujność ich nie ustaje, zwłaszcza, że jest w stałym kontakcie z miejscowymi pośrednikami, skwapliwie informującymi ich o każdej świeżo znalezionej „perle“.

A więc *periculum in mora!* Zdając sobie sprawę z doniosłości świeżo powołanej do życia instytucji, szanujmy i prze-

chowujmy posiadane jeszcze zabytki ojczyste, aby z obywatelską ofiarnością dorzucić pojedyncze chociażby cegielki do wszystkim nam służyć mającego gmachu.

Muzeum Narodowe w Warszawie — to silne zaakcentowanie poczucia naszej dziejowej wartości, to pewna i skuteczna broń w walce o urzeczywistnienie kulturalnych aspiracji i ideałów naszych.

Józef Młodecki.

Z NIEZNANYCH PISM ZYGmunTA ZENONA IDZIKOWSKIEGO. RODZINNEMU MIASTU.

Płakuje serce moje — kiedy chadza
po tych dzielnicach rodzinnego miasta:
oto na murach śni przypomnień sadza —
zieleń w kamieniach czołga się trawiasta...
Kiedyś przeżyłem tutaj lata june —
i tu ojcową pochowałem trunę...

U gzemsów białych jaskółcze znam gniazda,
święgotu pełne bywały południa
O jeśli w Polsce jest takowy gazda
co te schroniska ptaszęce wyludnia
bodaj mu było i ginąć ze szkodą!
Ach porzuciłem gniazdo moje młodo.

I oto braciom w ciche patrzę lice
i sny młodzieńcze między braci dzielię

O jeszcze w Polsce rosna szubienice
o rosna jeszcze — jak trujace ziele
i kwiat wytryska u szubienic pono
Młodości moja — ciebie krwią pojono!

Patrzę przez szyby i rękomi się dziwię
co rozlamują chleb i do ust niosą:
tyle krwawniku jest na polskiej niwie
że się krwawnikiem białe stało proso
a na przedmieściach wyrosła kalina — — —
W krwi złożysz Matko zimne serce syna.

Zygmunt Zenon Idzikowski.

MOGIŁA BOHATERA.

Tam na górze rośnie kwiecie,
gdzie stał ułan na pikiecie...

Tam na górze wśród gęstwiny
dzikie róże i jaśminy
rozkwitają...

Czasem zdala
wicher z zachodniej krainy
przyłeci i pozapala
rumieńcem różane kwiaty,
że zapłoną, jak rubiny...
A jaśminy z lęku zbledną
i będą pytać o jedno
„Skąd lecisz, gończe skrzydlaty,
zali z Polski?“

Czasem zdala
przyfrunie wędrowny ptak
i zasiądzie na mogile...

Czasem tęczowe motyle
obsiedą różany krzak.

A kiedy z polskiej krainy
wicher przyniesie złe wieści, —
jeżeli piosnka ptaszyny
bezmierną wzbierze rozpaczą
i zmieni się w hymn boleści, —
wówczas dzikie róże płaczą
i płaczą śnieżne jaśminy . . .

Milkną wtedy wichru jęki,
ptak przerywa przerażony
smutne tony swej piosenki
i dziwi się cały świat:
„Czemu stąd odeszła radość?
czemu się gęstwiny mroczą?
czemu płacze każdy kwiat?
Te róże krwią dzisiaj broczą,
te jaśminy mają błądź
trupów . . . “

A gdy wiatru wiew
radośnie z zachodu wieje, —
zielenią się liście drzew,
słodko brzmi ptaszęcy śpiew,
wszystko szczęściem promienieje . . .

Wiatr łagodny, wiatr pogodny
wiarą i nadzieją wzbiera . . .
pieści zielone gęstwiny
i strząsając kwiaty z drzew
sypie róże i jaśminy
na mogiłę bohatera . . .

Juljan Ejsmond.

CMENTARZ WOŁCZESKI.

Na cmentarzu wołczeskim są drzewa,
błyskawice wierzchołki ich parzą; —
Żniwo śmierci w okopach dojrzewa;
Tutaj trupy się z ziemią kojarzą;
Tam w spiekocie bitw głuche okrzyki,
Słysząc rwące się: „hurra!“ Moskali...
...Tutaj słońce w rozpryskach łni miki,
na kamieniach grobowców się pali...
Na cmentarzu Wołczeskim są sosny,
Z wzgórze widzą rozległe obszary
Pnie mocarne. Pęd siły radosnej
lecz... i zwiśle, ranione konary.
Na cmentarzu wołczeskim są drzewa,
czemuż ciężkie pnie w niebo się wznoszą...
Na cmentarzu ptak żaden nie śpiewa
od dni kilku... Szrapnele je płoszą...
Na cmentarzu potworny trup leży:
— zdruzgotane na drzazgi granatem
olbrzym — drzewo, trup — symbol, trup świeży; —
ziemi, matki swej drzewo jest katem!
Przywaliło mogiły i krzyże,
w gleby wilgotne zaryło się łono,
zamiast wolno wyrastać we wyże,
orze piasek rozprysła koroną.
A gdy bitwy ustana łoskoty,
niosą trumny przez bramy cmentarza;
czyjeś dumne skończyły się loty...
czyjeś życie skosiła moc wraża...
Kopią piasek... Zgrzyt suchy łopaty,
Niebo szare koloru mundura,
Zrzadka błyszczą czerwone rabaty,
Częściej dojrzyysz płaszcz szary piechura...
Zgrzyt... Z drzew sypie się wonne igliwo...

Żołnierz — grabarz uderzył o kamień,
Piasek zakrył rozwartych ócz szkliwo...
... Życia kres — kres nadziei — omamień!
Ksiądz poświęcił — a więc salwa kolegów!
Ceremoniał skończony! Nic więcej!
Krwawy ścieg wśród wiążących się ściegów!
Nowy krzyż pośród krzyży tysięcy!
... Łza — być może!? Lecz oczy są suche...
Błyski luf, gdy się oddział oddala,
Wojna łamie, niweczy, co krusze,
Wolę męską, hart w piersi rozpała...
Na cmentarzu wołcheskim są drzewa...
ciężkie łez nieplakanych Golgotą;
Krwawych jęków nawisła ulewa,
lecz nie spadnie...
Zórz płonie wkrąg złoto...

Bolesław Zygm. Lubicz.

SPOTKAMY SIĘ.

Spotkamy się po latach z chłodnym „Panie“, „Pani“...
I nie zadrzą w uścisku, tak jak dawniej dłonie.

Tylko głowy się schylą w głębokim ukłonie

I siądziemy przy sobie cisi, zadumani —

„Tak dawno“ — „Lata całe“ — „A cóż Pan?“ — „A Pani?“

Upadnie z ust banalne przy spotkaniach słowo

I spojrzymy na siebie z krytyką surową

Obojętni, czy wzrok nasz drugiego nie zrani

I, jak trupa na chłodno rozbierzem bez drżenia

Skalpelem trzeźwej myśli sen jasny, skrzydlaty

I śmiesznem nam się wyda, co niegdyś, przed laty,

Jedyną treścią było naszego istnienia.

Irena Hnatkiewiczówna.

LEKCJA HISTORJI POWSZECHNEJ.

(ZE WSPOMNIEŃ AUTENTYCZNYCH).

- A czy to będzie zabawne, co wujaszek nam opowie?
— Osądźcie sami...
— I ja i ja... wujaszku, prawda?
— Taka smarkata! jeszcze czego!
— Nie kłóćcie się, bo nic nie opowiem.
— Widzisz, Julek, to przez ciebie!
— Nie — to przez ciebie!
— Nieprawda!
— Milcz, scyzoryku!
— Niech raczej być cicho panna gaska!
— Czy skończycie? bo ja chciałbym zacząć...

Parę kuksańców, jedno niedyplomatyczne ujawnienie języka w całej naturalnej rozciągłości, dyskretnie, lecz z temperamentem pod stołem „skrobana marchewka“ i wreszcie wujaszek począł mówić, gładząc jasną główkę najmłodszej latorośli.

— Mieliśmy więc nauczyciela historii, rosyjanina, z powierchowności głupiego i złego człowieka. Zaznaczył się odrazu tem, że ścigał nas poza lekcjami na korytarzach, na schodach, gdzie się dało, podsłuchując, czy rozmawiamy w nakazanym języku, czy też po polsku. „Wyżeł“, bo tak przewaliśmy go wkrótce — wyrastał jakby z pod ziemi w chwili, kiedy najmniej spodziewać się tego należało.

Raz nawet, jeden z moich kolegów otwierając drzwi pewnej ubikacji uderzył go w ostry nos, który długo potem czerwieńił się jak rozkwitły mak. Rzecz naturalna, że sympaty naszej nie posiadał i odplacał nam podobną monetą. Nie było tygodnia, aby kilku z nas w kozie za „polski“ nie siedziało. Wyżeł na lekcji historii karmił nas łłowajskim,

we własnym poprawniejszym opracowaniu. Polska według niego, była to „gubernia“ przez Ruś Świętą zawojowana oddawna, przez nią ochrzczona, ale niewdzięczna, złożona ze zgrai wrogów ojczyzny — to jest świętej Rusi. Język polski zaś był narzeczem wytworzonym przez „miałieżników“, więc ci, co nim mówili musieli być skazani na pomstę niebios i Cara.

Mieliśmy wreszcie dość tej całej elokwencji dwunożnego potwora, postanowiliśmy zatem dać mu nauczkę z kolei, bez względu na następstwa, jakie musiała pociągnąć za sobą. I stało się.

Nadszedł dzień egzaminu historyi, w asystencji inspektora, który parę razy w roku odwiedzał nasze gimnazyum. Baliśmy się go jak ognia, tem większą więc musiała być nasza determinacya, skoro nawet lęk przed tym zapiętym na wszystkie guziki, łysym, a błyskającym ostrymi zębami — jak wilk — gościem — nie powstrzymał nas od wykonania uknutego planu.

... Bolesław Chrobry, mówił więc głośno i dobitnie najmłodszy z naszej klasy, Antek, wjeżdżając do Kijowa uderzył potrzykroć mieczem w Złotą Bramę na znak wyższości, męstwa i zwycięstwa. Ciemna Ruś ugnąć się przed jego potęgą musiała...

Głośne „A!“ przerwało potok wymowy mojego kolegi. Wybiegło ono z piersi Wyźła o zbielalej twarzy, w którą wpił się zimnym jak sztylet wzrokiem — pan inspektor.

— Dowolno! wycedził i z kolei wyrwał mnie, wzywając do tablicy. Nie czekając zapytania jałem mu opowiadać epizod o uwięzieniu cara Szujskiego i jego braci, o hołdzie, jaki ukoronowany więzień składał Zygmuntowi III na zamku warszawskim, dostawiony tam przez Żółkiewskiego...

Nie przerywano mi wcale, jakaś grobowa cisza zawisła nad naszymi głowami, a ja zapatrzony w twarz Wyźła podniecałem się jej widokiem. To nie było oblicze człowieka, ale raczej maska przypominająca wyrazem rysy dziecka ćwiczonego publicznie. A gość nasz słuchał i patrzył nie na

uczni, nie na mnie, ale również na ten biedny łachman zwany istotą ludzką, owo coś, co kurczyło się w mękach trwogi i bezradnej rozpaczy. Po mnie odpowiadało jeszcze trzech — wszyscy jednakowo przygotowani, bodaj na śmierć, lecz nie zachwiani ani na chwilę w powziętym zamiarze. Wreszcie powstał inspektor, a zwracając się do dyrektora, który wyłękły i zmieszany, nie mniej od Wyżła — tłumaczyć się zamierzał — przerwał mu jednym słowem: „Mołczat“, poczem dodał ciszej już parę słów syczących jak gwizd nahaja i... całe nasze grono t. j. uczniowie polacy — znaleźliśmy się w „karcerze“.

— I? i co, wujaszku?

— Nazajutrz odbyła się rewizya w wielu domach, zesłano kilka osób, w tej liczbie był mój ojciec—nam zaś wręczono „wilcze“ bilety.

— A Wyżeł?

— To wujaszek już się potem nie uczył? nie chodził do szkoły?

W zapytaniu tem brzmiała nietylko ciekawość, ale też jakby cień nienazwanej zazdrości...

— A Wyżeł? zapytał ponownie Julek.

— Po wielu, wielu latach, kiedym wrócił do kraju — jako skończony chemik — otrzymałem posadę w jednej z cukrowni na Ukrainie. Wysłany w sąsiedztwo w sprawie fabrycznej, zaproszony zostałem na uroczysty jakiś obiad do domu administratora i właściciela jednej z największych fabryk cukru w okolicy. Dom był więcej niż zamożny, więc i obiad wystawny z szeregiem lokai i kamerdynerów. Uwagę moją jednak zwrócił kucharz ubrany białą, podający potrawy mięsne ułożone na półmiskach kunsztownie, fachowo. W wielu bowiem rosyjskich domach zwyczaj sankcjonuje obecność mistrza kuchennego przy stole. Przyszła kolej na mnie. Mistrz ceremonii zbliżył się ze wspaniałym rozbefem. Wówczas oczy moje spoczęły na jego twarzy i oderwać się od niej nie mogły. Fala wspomnień buchnęła mi pod czaszką. Twarz ta była mi przecie znajomą, w jednej chwili ujrzałem

siebie w mundurku czwartoklasisty, w ów pamiętny dzień, kiedy opowiadałem dzieje upokorzeń Szujskich. I gdy nie widząc już ani stołu, ani otoczenia, wracałem myślą w te dziecinne lata — tuż przy mnie zabrzmiał głos pani domu skierowany do mistrza: „Iwanie, Iwanyczul“

Nie miałem już wątpliwości — to był nasz dawny wychowawca, urabiacz serc naszych — Iwan Iwanycz Tieleśnikow — Wyżeł!

Dowiedziałem się później, że służył już w tym domu jako kucharz lat dwadzieścia i że nikt lepiej od niego nie przyrządzał baraniny i prosięcia z chrzanem!

Tak — teraz Wyżeł był na swoim miejscu...

— A on poznał wujaszka?

— Prawdopodobnie, bo ostry nos i ręka dziwnie mu drżały, gdy kładł mi rozbeł na talerz.

— To wcale nie śmieszna historia, szepnął nieśmiało Julek...

A, gdy wujaszek zajrzał w oczy Zośki — dostrzegł w nich coś, co bardzo wzruszenie przypominało i jeszcze coś, jakby — błysk radości...

Konstancja Łozińska.

MŁODOŚCI!

MŁODZIEŻY POLSKIEJ.

Młodości! Uderz gromem w pochylone czoła,
porwij zuchwałą pieśnią obumarłe serca
nad zgłiszczca polskich wiosek, nad spalone siola,
po których wichy hula, pijany szyderca.

Tchnij świeży powiew życia do ciemnej mogiły,
gdzie blade twarze więdną nad pracy warsztatem,

gdzie lica drobnych dzieci bez słońca, bez siły
nie płoną nigdy jasnym rumieńca szkarłatem...

Zerwij z rąk pęta hańby i wyprostuj karki,
które długa niewola zgmiotła i schyliła, —
rozjaśnij uśmiechami nędzy zakamarki
i powiedz, że na świecie wiosna znów odżyła...

Młodości! wiarę obudź i słońce nadziei, —
w ciszę nocy się wkradnij tą pieśnią radosną,
że z dżdżystych dni jesiennych i śnieżnych zawiei
słońce Polskę zbudziło rozspiewaną wiosną.

Edward Kozikowski.

O MOCY ŻYCIA

BĄDŹ POCHWALONA!

O Mocy Życia, co z ruin ołtarza
głosisz nadzieję i nowy gwiazd połów—
i gdy się ludzkość o los twój przeraża

... jak feniks wstajesz z popiołów!

O Mocy Życia, spokojna wśród zgliszczy,
ufna, choć kosa tve płony roztrąca —
młodością, której bieg czasu nie niszczy
nad śmiercią — tryumfująca!

Że w twojem łonie tkwi iskra płomienna
Ogniem Wszechtwórczej Potęgi wzniecona —

O Mocy plenna
Bądź pochwalona!

O Mocy Życia, która prochów urny
budzisz, by kiedyś w ekstazie radosnej
wzniesić niemi toast wśród nocy pochmurnej
... na chwałę Słońca i Wiosny!..

O Mocy Życia, pewna siebie w bojach,
jedyna, której nie zraża dzień klęski,
bo wiesz, że z czasem, na jutro podwojach
zatkiesz swój sztandar — zwycięski!
Iż z każdej próby wychodzisz nietknięta,
choć tysiąc hasel na oczach twych kona...

O Mocy święta
Bądź pochwalona!

Oto świat we łzach, a ludzkość w boleści,
rozdarte ziemie, spienione krwią wody,
świętynie, które pożoga bezcześci
mękom wydane — narody,
cały ład dziejów, rodzony na nowo,
cała ta przeszłość, co w gruzach się grzebie...
milczeniem więcej wymownem niż słowo —
wierząc, wołają do Ciebie:

U dróg zagłady, na falach rozbicia,
Ty, która w przyszłość wyciągasz ramiona —
O Mocy Życia
Bądź pochwalona!

Anna Słonczyńska.

DO POLSKI ODRODZONEJ.

Arko, tyś żadnym nie złamana ciosem
Póki Cię własny twój lud nie znieważy...
(Z pieśni Wajdeloty). *A. Mickiewicz.*

○ Polsko, Polsko, Ty umiłowana,
Za której szczęście krew oddam i życie,

Teraz mnie żadna nie zaboli rana,
Bom Ci zaprzysiągł każde serca bicie;
Dziś mnie już tylko jedna myśl udręcza:
Oby nie przysła wierzeń moich tęcza.

Gdybym Cię ujrzał splugawioną trądem,
Sprzedajną służką — Ciebie — kwiecie białe,
Tobym Cię przeklął i przed krwawym sądem
Sam był Ci katem, ogniem ziejąc cały.
Dla Ciebie boska, przepiękna i harda
Jednobył tylko miał słowo: pogarda...

Dziś, gdy mi powie kto: „Próchno, zgnilizna,
„To, co czcisz święcie Aureola?... marność...
„Najczystsze imię zbrukane: Ojczyzna,
„Gdyż niem szafuję kłamność i bezdarność“.
Natenczas jeno plwam w bagnistą ciemność,
Aby potworną potępić nikczemność!

O! nigdy Ciebie serce me nie wini;
Lecz w Twojej dłoni radbym widzieć z duszy
Bicz Chrystusowy, którym ze świątyni
Gnał precz kupczących i faryzeuszy!
O, rzeknij Polsko: „to nie moje syny,
Co imię matki hańbią przez swe winy“...

Chciałbym Cię widzieć taką, jak przed laty,
Piastową Polską, hartowną, bez skazy.
Kapłanko biała, Ty orle skrzydlaty,
Przeszłości jasne niech wskrzeszą obrazy.
O! bądź wciąż Arką niezłamaną ciosem
I świat zdumiewaj fenikсовym losem!...

Jerzy Orwicz.

W JESIENI.

Pod ziemię idzie życie,
Narodzin przyszłych siew.
Znasz te koleje w bycie,
Lecz serce drga ci skrycie,
Gdy słyszysz śmierci śpiew.

Oh, śmierci smętny śpiew!
Wiatr łka o szarym świecie,
Krań słońca tonie w krew,
Liść pada cicho z drzew,
Z chmur płyną łzy obficie.

Niech płyną łzy obficie!
Choć nowy wzrośnie krzew,
Nie ten wszak, co na gnicie —
Dziś w ziemi legł powicie
Ten minął jak mdły wiew.

Miriam.

ZASTYGLĘ DUSZE.

O wiosna przyjdzie... O! wiosna zapłonie
Ogniem serc żywych — w zórz jasnej koronie...
Odżywczej woli przyrody wysłucha,
Posieje kwiaty na grobach boleści,
Odrodzi ziemię... Lecz w głębi grób ducha
Nic, prócz popiołów bezpłodnych, nie mieści...
Nic, prócz popiołów — i kwiaty żywota
Zwiędły na zawsze — świat zwiędłemi miota.

Wiosna nadchodzi i rzuca swe siły
Na pola nasze i nasze mogiły...
Wznosi do góry lat młodzieńczych czarę —
Lecz próżno staje nad duchem człowieka:
Serce zamarło — widmo wspomnień szare
Mroczne mgły ciemnej całuny obleka —
To widmo rzuca nam wielkie pytanie:
Zastygła dusza — czy z grobu powstanie?

Wiosennej nocy przyszedł księżyc błądy,
Spytał: gdzie serca szumiące kaskady?
Gdzie czary wiosny, pragnienia, tęsknoty?
O! daj mi, piewco, swą duszę w ramiona!
Niech w niej odrodzę promień światła złoty,
Niech przed nią spadnie wieczności zasłona.
Niechaj ku górze wzleczą skrzydła wieszczel!
Daj mi swą duszę, o! daj mi raz jeszcze!

Spoglądasz na mnie smutnemi oczyma,
Iskry uniesień i czarów w nich niema...
Wokół woń kwiatów — wszak te same kwiaty
W młodości twojej u stóp ci się słały,
W dni wiosny bujnej, tej wiosny skrzydlatej,
Co niosła z sobą krwi gorącej szały...
O, w duszach żywych tylko chwasty rosną —
Już nie odrodzisz serc martwych, o wiosno!

Wy, co żyjecie w uczucia kościele,
O wy nieznani, których jest tak wiele,
Rzućcie na drogę wiosennych pól kwiecie!
Odsłońcie dusze, żywe dusze braci —
I nieście czary miłości po świecie!
Niech się ta ziemia sercami zbogaci!
I niechaj wiosna znów serca przenika
Wonią bzów rajska i pieśnią słowika!

Antoni Pilecki.

POŁUDNIE WIEJSKIE.

Słońce tęsknot żarami upija,
złotych mgławic warkoczem oplata,
snem pustyni twarz bladą zapala — — —
Pójdę tam gdzie słomiana lśni chata,
gdzie lenistwo czarami zabija,
gdzie przelewa się światło, jak fala...

Dziwny jest mój archanioł skrzydlaty!
z kościelnego odwionął witraża:
skrzydła jego na polach tęczą — — —
Klękam cicho na progu mej chaty,
gdzie słoneczna pustota się tarza,
gdzie błękity od blasku wirują — — —

Płowowłosa dziecina z ugorów
zbiera skrzydła spalonych motyli:
cicho stąpa w szafirach, szkarłacie...
Mój archanioł do wody się chyli,
tęczę skrzydeł na czarną twarz borów
zarzucił —

Południe gra w chacie —

Jan Rundbaken.

SUMIENIE.

Spójrz jak słońce wybucha wracające z nocy,
A przygasa po wodach przed ludzkimi snami,
Jak niewidzialne ręce z okręconej procy
Poprzez nieba granaty miotają gwiazdami...

...Owo źródło skąd wyszło całe tve istnienie,
Przestrzeń, skąd do kołyski spływa baśni wieczność,
— Zwierciadłem jest, z którego odbierasz — sumienie,
Abyś widział w niem myśli lęk i ostateczność.

Jako symbole światów tętniących w harmonji
Urasta ono w tobie między mgłą a jaśnią,
Wejrzenie na świat cały bierzesz z jego toni
I sądzonyś jest przez nie ze swych uczuć waśnią.

...Abyś w bólu i trwogi krwawiące godziny
Mógł jak ze starszym bratem pójść drogą niezłomną,
I, między niem a sobą rozstrzygnięte winy,
Zapomnieć, — mimo innych, którzy — nie zapomną.

Aleksander Szczęsny.

PÓJDZIEM MY, PÓJDZIEM...

Pójdziem my, pójdziem pustemi drogi,
pójdziem, gdzie pożar tylko co zgasł,
pójdziemy nowe budować progi
na nowe życie, na nowy czas.
I przed tym wielkim naszym mozołem
jedną modlitwę wzniesiemy wraz, —
a z nami modlić się będą społem
i sad zniszczony i ścięty las
i nieobsiane polne rozłogi
i ów samotny mogilny głąz
kryjący tego, co w pierwszy dzień
swych się serdecznych dosłuchał drzeń
i z licem jasnem, z wzniesionem czołem
ruszył, daleko odbiegłszy nas.

Oto modlimy się dzisiaj połem,
oto za Polskę modlim się wraz.

.

Pójdziem my, pójdziem pustemi drogi,
pójdziem, gdzie pożar tylko co zgaśł,
pójdziemy nowe budować progi
na nowe życie, na nowy czas.

Michał Karcki.

**URYWKI Z DZIEŁA PRZYGOTOWANEGO DO DRUKU
POD TYTUŁEM:
KOBIETA A MĘŻCZYŻNA W PRZESZŁO-
ŚCI PRZEDDZIEJOWEJ, W PRAWODAW-
STWIE PIERWOTNEM ORAZ W BLIŹSZEJ
PRZYSZŁOŚCI.**

I.

W celu podniesienia we własnych swych oczach człowieczeństwa rodzaju ludzkiego, cofamy w jak najbardziej oddaloną przeszłość przeddziejową zawiązanie rodziny, jako podstawy porządku społecznego. Wyznać atoli zawsze musimy, że, jakkolwiek ta przeszłość była bardzo oddalona, zawsze ją poprzedzała inna, jeszcze bardziej oddalona, w której tylko kobieta, jako rodzicielka, matka, wskutek niezłomnych praw przyrody, była wiadomą.

Pomyślnie zdzieranie zasłony z bytu ludów pierwotnych, zarówno na drodze rozumowania jak i wgłębiania się również w byt szczątkowych pozostałości tych ludów, odkryło nam

początek wyłaniania się rodzaju ludzkiego ze wszechistnienia, a w tem wyłanianiu się — pierwszy jego stopień. Był nim tak nazwany matryarchat.

Matryarchat rozpoczyna więc pochod rodza ju ludzkiego do człowieczeństwa.

Na tym pierwszym stopniu uczucie matki dla dziecka, uczucie, które jedyną i prawdziwą nazwać możemy miłością, gdyż była zupełnie bezinteresowną, a wymagała tylko ofiar i poświęcania się ze strony kobiety, jako matki, stało się punktem zwrotnym, ostatecznie stanowiącym o kierunku i jakoby celu owego wspianalego i uroczystego pochod u. Kobieta bowiem, zostawszy matką, poczęła wyrażać swe uczucia macierzyńskie dłuższem opiekowaniem się swem potomstwem, niż to się spotykało w otaczającym ją świecie zwierzęcym.

Stanowczo przeto wyrzec możemy, że na losach przyszłych pochod u do człowieczeństwa rodzaju ludzkiego, tak samo zaważyło i na zwrot wskazany wpływ wywarło owo poczucie w kobiecie tkliwszej i silniejszej, niż poprzednio, miłości jej do swego potomstwa, jak tylekrotnie wzmiankowane poczucie w mężczyźnie konieczności panowania nad sobą i swemi żą dzy...

Miłość kobiety do swego potomstwa, wciąż się z czasem potęgująca, zabezpieczała i warunkowała istnienie samego potomstwa, jako materiału na przyszłe człowieczeństwo. Panowanie nad sobą mężczyzn, wpływając na rozwój i wzmaganie się stałe uzdolnienia umysłowego, dało możność wytworzenia z tego materiału, przez uspołecznianie go, owego człowieczeństwa.

Uczłowieczona miłość macierzyńska w kobiecie dokonała tyle, ile człowieczym rozumem opanowywanie popędów w mężczyźnie. I pochod ku człowieczeństwu wyruszył w nieznaną przyszłość i śmiało w nią bez wytchnienia i, krzepmy się nadzieją, bez niepokonanych i nadal, jak dotąd, przeszkód kroczyć nie przestanie...

I nie tylko w rozwoju społecznym rodzaju ludzkiego matryarchat stanowi punkt zwrotny. Takież same ma on

znaczenie i w rozwoju ekonomicznym. Rozwój ten bowiem wielu badaczy przeszłości stawia obok społecznego, jako współrzędny ruch postępowy.

Mężczyzna poluje, łowi rybę, odpędza wrogów zewnętrznych, ściera się z wewnętrznymi o osobiste wpływy, przewodnictwo, władzę. Kobieta, czy to podczas wędrówek, czy też względnej osiadłości, opiekując się potomstwem swem, chociażby nawet najmniej licznem, dostarczając mu pożywienia, zdobywając je, musi pozostawać jakby na miejscu, tuż obok, gdzie to potomstwo na czas jakiś pomieścić zdołała. Mamy więc początek jakby ogniska, któremu nazwy rodzinnego, domowego, odmówić jednakże pomimo wszystko nie możemy.

Chociaż, jak utrzymują badacze, totemizm dopiero jedynie pod ochroną tabu wprowadził hodowlę zwierząt domowych, nauczył uprawy roślin, ten właśnie totemizm, który miał położyć kres matryarchatowi, jednakże przez lat tysiące konieczność wykarmiania rosnącego pokolenia, pozostającego na opiece matek, wymagała od nich pewnego zagospodarowania już celowego. Zagospodarowywanie to w miarę osiedlania się poczęło stanowić zarodek ogniska domowego i ów zarodek stopniowo rozszerzało, wpływy i znaczenie jego wzmagало, przyszły postęp w niem umożliwiało i przygotowywało, a kobietę na twórczynią jego i panią wynosiło i jej to zaszczytne stanowisko, obok tylu innych, zapewniało...

II.

Pamiętamy wyrocznie Jehowy wygłoszoną do pierwszego człowieka: „proch jesteś i w proch się obrócisz“. Wszakże nie tylko on sam, jako istota śmiertelna, więc znikoma, miał się w proch obrócić. W proch się obracają wszystkie dzieła rąk jego, nie wyłączając i tych, które się obrócić, naturalnie tylko do czasu z przyczyny swej trwałości, jeszcze nie mogą.

Cały dorobek rodzaju ludzkiego materialny i umysłowy (o ile umysłowy nie wchodzi w myśl ludzką i już jako pojęcie, jako wiedza i sąd, nie przechowuje się w umyśle, tylko pozostał związanym z materiałem, czy to jako książka z papierem, czy to jako obraz z kamieniem, czy też w inny jaki sposób) idzie do ziemi i w niej na podobieństwo geologicznych warstw się układa. Stawszy się pokładem geologicznym, warstwą skorupy ziemskiej, jak ona podlega wykopywaniu i, od czasu do czasu, w postaci wykopaliska z ziemi się wydobywa...

W większości wydarzeń przypadek jedynie odkrywa takie wykopaliska. Przeto dzieje rodzaju ludzkiego podlegać muszą rozmaitym niespodziankom, zależnym od ilości i jakości tych wydobywanych wykopalisk. Wykopaliska tylko bowiem mogą świadczyć o przeszłości zarówno przeddziejowej jak już i dziejowej. Jakoteż wydobyte wytwarzają nawet zwroty w tych dziejach. Wytwarzając zwroty, rozpoczynają okresy.

Koniec średniowiecza położyły szczątki kultury greckorzymskiej, wydobywane z pokładów ziemi i nastąpił okres **o d r o d z e n i a** nauk i sztuk, rozpoczynający dzieje nowożytne.

W XIX-tym stuleciu podwakroć wykopaliska przygotowały i dokonywały także **o d r o d z e n i a**. We środku jego wydobywanie z warstw ziemi szczątków kultury egipskiej, babilono-assyryjskiej, perskiej oraz innych ludów mniej znanych, cofnęły początek dziejów powszechnych o kilka tysięcy lat. To cofnięcie nie miało jedynie chronologicznego znaczenia. Nastąpiło nowe odrodzenie, przewyższające w skutkach poprzednie ze średniowiecza.

Pod koniec tegoż stulecia wykopaliska, złożone z okazów kultury przeddziejowej i szczątków człowieka pierwotnego, wykazały naukowo powstawanie rodzaju ludzkiego we wszechbycie, oraz odsłoniły stan jego społeczny i umysłowy w czasach wyjścia pochodu jego do człowieczeństwa. Nieprzenikniona poprzednio tajemnica poczęła się odrazu wyjaśniać. I to, co nastąpiło wskutek tych wykopalisk, nie było

tylko już odrodzeniem nauk, lecz raczej, zupełnym przewrotem w naukach. Odkryta przeszłość przeddziejowa zaciążyła nad dziejową nie wyłącznie długością swego trwania, przekraczającego tamto kilkadziesiąt razy, lecz wykazaniem swego istotnego znaczenia dla dziejowej.

W przeszłości rodzaju ludzkiego tak nazwanej dziejowej w porównaniu z przeddziejową nic się w istocie rzeczy nie zmieniło. Pochód jak kroczył naprzód tak i kroczyć nie przestawał, a nawet nie zmieniał kierunku, tylko najwyżej, natężenie jego stawać się mogło silniejszym. Podział wprowadza jedynie zmiana materiałów do odtworzenia owej przeszłości prowadzących. Przestają nim być, jak były wyłącznie poprzednio, narzędzia i wyroby rąk ludzi pierwotnych, lub, zresztą, podania oraz byt ludów szczątkowych, obecnie jeszcze istniejących. Stają się nim, jakby odrazu, pomniki piśmienne.

Jak w życiu pojedynczej jednostki, pomiędzy zdobyciem przez nią sztuki pisania a rozpoczęciem uwydatniania za pomocą pisma płodów swego umysłu, upłynąć musi długi względnie okres dojrzewania tej jednostki naukowego i społecznego, tak też się zdarzyło i w dziejach rodzaju ludzkiego.

Badając przeszłość przeddziejową rozstaliśmy się z rodzajem ludzkim jako młodzieńcem, wyjątkowo wprawdzie wielce w przyszłości rokującym, z gwiazdą geniuszu na czole, mającą mu już stale na drodze, ku tej przyszłości prowadzącej, przyświecać,—młodzieńcem, który pracą swego umysłu zdołał już być dociec różnicy pomiędzy zadaniami mężczyzny a kobiety i w obrazie allegorycznym drzewa wiadomości dobrego i złego te zadania wykazać, przytem z wykazania wyciągnąć odpowiednie wnioski; lecz tylko młodzieńcem. Przechodząc do pomników piśmiennych, zwłaszcza w naszych specjalnie celach prawodawczych, my tego młodzieńca poznajemy już w postaci męża dojrzałego.

Jako mąż już dojrzały pokrywa on ściany swoich świątyń i pałaców znakami piśmiennymi, tworzącymi dzieje swego narodu, ujęte w ramy oddzielnych panowań swych królów.

Podania ze swej przeszłości przeddziejowej przedstawia w obrazach poetycznych, które zdumione współczesne nam pokolenie krytyków nie waha się mieścić obok płodów geniuszu greckiego. A przytem — wylewa w hymnach i psalmach swe uczucia tkliwe i wzniosłe, którym wdzięku i prawdy już nie dodać nie mają wieki następne ich rozwoju. Lecz oto, co najwspanialsze stanowi odkrycie, gdy jeszcze do końca ubiegłego stulecia, za najdawniejszy zabytek prawodawczy uchodziło w chmurach i grzmotach zesłane żydom z Synai Dziesięcioro boskich przykazań; gdy zaledwie drobne szczątki oderwane, i to głównie nie w tekstach samych, tylko w opowiadaniach o nich, prawodawstw dwóch tych praworządnych narodów starożytnych, greckiego i rzymskiego, dla nas, za pośrednictwem późniejszych dziejopisarzy się przechowały; oto wśród wykopalisk wydobywanych spoczywał ryty na kamieniu Kodeks prawny związany z osobą króla babilońskiego, którego istnienie samo, jak i imię dotychczas były nieznane. Imię to brzmi Hammurabi. Król ten panował w Babilonie w 23-iem stuleciu przed erą naszą. Kodeks więc związany z jego imieniem, w podobny sposób jak z Napoleona francuski z zeszłego stulecia, poprzedza prawodawstwo Synajskie o 8—7, Likurgowe — o 14, Solonowe — o 17, rzymskie — XII tablic o 19 wieków.

Jak ów młodzieniec w przeszłości przeddziejowej staje się już w dziejowej mężem dojrzałym, tak też początek rodziny podczas matryarchatu, któryśmy w tej przeszłości poznali, przeistacza się w dziejowej w rodzinę patryarchalną, w zupełnym jej rozwoju, obwarowanym prawami cywilnymi i karnymi, wszechstronnie i całkowicie. Ta rodzina zaś w owoczesnem społeczeństwie na tak wielkie znaczenie i poważanie zasługuje, tak ważne sobie stanowisko zdobyła, że na całość kodeksu w tej postaci, w jakiej go poznajemy (§§ 1—282) prawie czwarta część jego (§§ 127—195) jest poświęcona tej rodzinie.

Kodeks Hammurabiego nazwać możemy darem nieznannej ludzkości przeddziejowej, gdy ona pogrążyć się zaczęła

w mrok zapomnienia, złożonym dziejowej, gdy ta powstawać próbowała.

Kodeks Hammurabiego jest to kodeks przeważnie karny. Pomimo to, artykuły zabezpieczające prawa mężczyzny jako głowy rodziny, męża i ojca, kobiety—jako żony, matki, córki i właścicielki mienia pewnego i regulujące spadkobranie synów i córek przedstawiają wyjątkowy materiał do odtworzenia bytu rodziny, jakiego późniejsze źródła dziejowe już nie dostarczają...

Ignacy Radliński

PAMIĘCI ZASŁUŻONEGO WOŁYŃNIAKA.

Z POWODU ZAMIERZONEGO WYDANIA
NIEZNANYCH PAMIĘTNIKÓW

SZYMONA KONOPACKIEGO
(1790 — 1884).

Na krótko przed wybuchem wojny europejskiej przygotowałem był dla Biblioteki wileńskiej pamiętników historycznych dwutomowy rękopis nieogłoszonych dotychczas pamiętników Szymona Konopackiego, stanowiących uzupełnienie wydanych w Warszawie paru fragmentów wspomnień z życia czcigodnego pisarza i obywatela, zmarłego w dniu 25 Maja 1884 roku, we wsi dziedzicznej Starzych Byżymach, pod Zaslawiem Wołyńskim.

Zanim przyjaźniejsze okoliczności pozwolą wydawcom Biblioteki ogłosić drukiem przesłany im swego czasu rękopis, godzi się na teraz przypomnieć ogółowi, osobistość i zasługi pamiętnikarza, jednego z niedobitków udzielnej Polski, wiernej jej syna i chlubę wołyńskiej ziemi.

W roku 1884, na wiadomość o zgonie ś. p. Szymona Konopackiego, odsiadujący podówczas niezasłużenie karę twierdzy w Magdeburgu J. I. Kraszewski, tak pisał o zmarłym i o pozostawionej przezeń puściznie literackiej:

„Wspomnienia, od lat wielu spisywane przez niego będą zapewne cennym źródłem dla dziejów tej prowincji, w której się zrodził i której dobre i złe losy podzielał. Bodaj czy nie ostatni już to świadek, który przeżył i przecierpiał to wszystko, czem ona od roku 1790 żyła i przez co przechodziła. Był czynnym współpracownikiem Tadeusza Czackiego, znał wszystkich ludzi, którzy grali rolę wpływową w dziejach Wołynia i dzieje te mógł opisać *de visu*. W długim tym ciągu lat miał on cierpliwość wciągać do pamiętnika swego każdy szczegół godny uwagi, a dzięki swym stosunkom mógł wiedzieć, widzieć i słyszeć bardzo wiele, umiał zaś sprawiedliwie oceniać tak ludzi, jak i wypadki. W młodości swej poeta i współzawodnik generała Kropińskiego, na starość stał się dziejopisem, nigdy jednakże nie przestając kochać poezji i ideału.

„Zaprawdę, zdumiewającą jest owa siła żywotna co go podtrzymywała śród tylu ciężkich ciosów i strat bolesnych, co mu pozwalała aż do dnia ostatniego pracować. Nigdy nie był beczynnym, zawsze miał coś do dopełnienia, do przejrzenia, do zanotowania, a pismo jego pod względem kaligraficznym pozostało do końca takim, jakim było w wieku młodzieńczym. Człowiek z acny w najpełniejszym znaczeniu tego słowa, wiele wycierpiał, nigdy się nie poddając rozpacz, ani upadając na duchu, lecz wierząc mocno w sprawiedliwość wyroków Boskich, a pociechy szukając w ciągłej pracy, w trudzie bez przerwy i wytchnieniu aż do śmierci. Dobrze się zasłużył swemu krajowi i pamięć jego nie zaginie, był on bowiem z rzędu tych ludzi, którzy nie szukają rozgłosu, ni wziętości, ale umieją zdobywać je przez swoje czyny. Cześć więc jego pamięci“.

W tymże roczniku „Kłósów“ z r. 1884 (№ 1006) Eustachy Śleszyński poświęcając wspomnienie pozgonne Zmarłemu, nadmieniał:

„Mówił mi kiedyś Konopacki, że od lat prawie dziecięcych miał zwyczaj, co wieczór, każdodziennie, zapisywać widziane, lub słyszane wydarzenia, bez względu na to, czy one jego osobiście, czy też ogół obchodziły, a dopiero po upływie pewnego czasu przepatrywał te codzienne notatki i z nich, jak się wyraził, zbierał śmietankę, która stanowiła materiał do pamiętników po nim pozostałych. Rozumiem, że gdyby ktoś się zajął przepatrzeniem onych i usunięciem niektórych ustępów zbyt drażliwych, nie nadających się może jeszcze do opisywania zbyt świeżej przeszłości, to wydanie tych pamiętników przysporzyłoby ciekawe dzieło literaturze naszej, stanowiące nieoceniony materiał do historii rozwoju życia, we wszystkich jego kierunkach, w obecnym wieku na Wołyniu“.

Dopiero po upływie lat piętnastu od przywiedzionych tu pozgonnych wspomnień ukazały się w zbiorze „Biblioteki dzieł wyborowych“ (№ 89 i 91) z przedmową J. A. Świącickiego „Pamiętniki Szymona Konopackiego“ w dwóch tomach, sięgające roku 1852. Następnie, w tymże zbiorze wydano (№ 130 i 131) nowy fragment tychże pamiętników, pod tytułem: „Moja druga młodość“, zawierający okres czasu od roku 1816 do 1826, również w dwóch tomach.

Obie pomienione serje stanowiły, oczywiście, część zaledwie pamiętników Konopackiego, którymi, jak wiemy, zajmował się do końca swego wyjątkowo długiego, gdyż lat 94 z okładem ciągnącego się, żywota.

Przed kilkoma laty dostał mi się drogą kupna rękopis dwutomowy pamiętników Konopackiego, zawierający nierównie ważniejszy, aniżeli poprzednio wydane, okres wydarzeń, sięgający lat 1856—1865, a więc okres dziejowy, obchodzący zarówno Wołyń, jako i kraj cały, okres, który zmienił doszczętnie cały ustrój stosunków włościańskich; pod względem zaś politycznym był obrazem niewypowiedzianie dotkliwych klęsk narodowościowych i majątkowych tej dzielnicy i grubą okrył żałobą wszystkie polskie na Wołyniu rodziny, bądź w skutek ofiar krwi i życia poświęconych przez

młodzież szlachecką na ołtarzu ideału polskości, jako też przez szczyrby, jaką wysłaniem żywiołów gorętszych do ciężkich robót w kopalniach, lub na osiedlenie w Syberji, społeczeństwo polskie poniosło.

Rzewny obraz doli przeżytej w owym okresie przez żywioł polski na Wołyniu, nie mówiąc o pozostałych dzielnicach, odtwarzają nam właśnie pamiętniki, które będą przedmiotem zamierzonego przezemnie wydawnictwa. To, co spotkało rodzinę Szymona Konopackiego, w roku 1856 rodzinę jeszcze liczną i patryarchalną; w stosunkach między jej głową a najbliższymi jej członkami i włościanami rozgałęzioną szeroko wskutek paranteli z wybitniejszym obywatelstwem okolicznym, dostatnią — wskutek dochodów znacznych osiągniętych z żyznej ziemi, wysoko postawioną w szczeblu społecznym — z racji zaszczytnych urzędów sędziowskich i obywatelskich piastowanych przez sędziwego jej przedstawiciela — a przy schyłku siódmego lat dziesiątka ubiegłego stulecia wszystkich owych dobrodziejstw losu i zasługi wskutek klęsk politycznych pozbawioną: wszystko to odbiło się tragicznie i na losach większości rodzin polskich na Wołyniu.

Czytając zapiski Konopackiego, rejestrowane prawie że z dnia na dzień, a opracowane w formie pamiętnika, dopiero pod koniec roku 1877, mamy przed sobą żywą, na dokumentach potocznych, a znamienych, opartą, historję obyczajową czasów niedawno ubiegłych. Jak Hiob biblijny wśród szczęśliwości doczesnej rażony pociskami losu, nie złorzeczy, lecz duchem pokory i rezygnacji wznosi się do tronu niebieskiego i tam szuka ratunku i pociechy w niedoli, tak i zacny Konopacki, nieprzerwanie, od roku 1863 do końca swego życia prześladowany przez wrogie mu losy, z fortuny ogołocony, wyciąga z tęsknotą ręce do synów swoich o mil tysiące od niego oddalonych i błaga naprózno Opatrzności o zmiłowanie. Nie sarka na ciosy, wywołane powstaniem 1863 roku, lecz uznając, iż przystąpienie doń ze strony młodzieży wołyńskiej było koniecznością nie do zwalczania, wywołaną przez zachętę do wytrwania w walce podsycanej przez

mocarstwa Zachodnie, które w tem własny swój upatrywały interes: poddaje się biedny starzec z pokorą owym klęskom i w gorącej modlitwie szuka ukojenia. Jak prawdziwy filozof nie traci wszakże pogody ducha i okiem bacznego obserwatora śledzi objawy zmian w stosunkach społecznych i w obyczajach stopniowo się ujawniających, chwytą wzorki charakterystyczne dygnitarzy nowego autoramentu i rysuje je dosadnymi sztrychami. Przesuwa się też przed oczyma czytelnika kalejdoskop barwny oryginałów, niezmiernie zajmujący obraz obyczajowy ludzi wszystkich stanów i narodowości, tem więcej pociągający, ile że znać w nim pióro poety i ongi powieściopisarza, zamienione siłą wypadków na pióro dziejopisa.

Nie znam ani stosunków, ani społeczeństwa wołyńskiego. Poznałem je dopiero z pamiętnika Konopackiego, względnie dokładnie. Obawiam się, ażali niektóre szczegóły podane zbyt drastycznie przez pamiętnikarza nie wywołają takiego huczku, jaki ongi wywołał wydany przez Spasowicza Pamiętnik Tadeusza Bobrowskiego.

Mniemam wszakże, iż większość osób przez Konopackiego scharakteryzowanych ujemnie, nie odskakuje od opinii jaką sobie o nich wytworzyli widzowie i świadkowie współcześni, nie poprawi jej przeto pamiętnikarz, lecz i nie pogorszy, a w każdym razie nie odchyli się od busoli prawdy, która zawsze i przede wszystkim przewodniczyć winna wspomnieniom o przeszłości.

Spuściznie literackiej po Szymonie Konopackim nadałem tytuł: „Reszty pamiętnika“. Kto wie, czy tytułowi tego rodzaju nie zaprzeczą w przyszłości nowo odnaleźć się mogące papiery, stanowić mogące, przypuszczalnie, ciąg dalszy przeznaczonego przezemnie do druku fragmentu? Urywa się on bowiem na roku 1865, jakkolwiek wiadomo, że Konopacki, do końca życia pracował piórem, korespondował ze wszystkimi luminarzami dzielnicy litewskiej i w Warszawie miał oddanych przyjaciół, z którymi listowne utrzymywał stosunki.

Prawdopodobnie zatem musiał im donosić o trybie swoich literackich zajęć, między którymi utrzymywanie dyarjusza

wspomnień należało zawsze do najważniejszych. Nie zmieniłoby to wszakże natury pamiętnika, na wypadek odnalezienia dalszego ciągu jego, gdyż i pamiętnik wydany w roku 1900 w Bibliotece dzieł wyborowych pod tytułem: „Moja druga młodość“ urywa się na roku 1826, a przezemnie przygotowany dalszy jego fragment rozpoczyna się dopiero z rokiem 1856. Brak zatem między owymi fragmentami lat trzydziestu, o których odgłosy Konopacki niewątpliwie pozostawił w swoim dyarjusz, tem więcej, że na owe lata przypada przełom dziejowy wywołany powstaniem listopadowem.

Uczestnicy owego ruchu, lub ich synowie, jak np. Różycki, imprezę swoją ponowili w roku 1863. Jest zatem więcej mi prawdopodobnem, że okres pomieniony trzydziestoletni, tak w dziejach polskich znamieny, nie mógł być pominięty przez Konopackiego milczeniem.

Co do języka i stylu pamiętnika, zaznaczyć należy, iż jakkolwiek gdzieniegdzie napotyka się w nim wyrażenia wadliwe, (w rodzaju gubernski marszałek, przystaw stanowy etc.) to jednak takie usterki okupują się sownicie piękną, jasną i wyrazistą polszczyzną, określeniami trafnymi i wyborną charakterystyką przedstawionych w pamiętniku postaci.

Życiorys Konopackiego niejednokrotnie już był omawiany, przez Tadeusza Steckiego w Tygodniku Ilustrowanym z r. 1869, w Kłosach z lat 1881 i 1884 przez Eustachego Śleszyńskiego i przez J. A. Święckiego w przedmowie do wydania Biblioteki dzieł wyborowych wreszcie w Wielkiej Encyklopedji ilustrowanej.

Zbyteczne więc powtarzać go tutaj, ile że przygotowany do druku fragment stanowić będzie wykończenie wizerunku człowieka niepospolitego, pisarza i obserwatora utalentowanego, przedewszystkiem zaś obywatela, który jak drugi Niemcewicz losami swemi uosabiał tragizm dziejowy rozegrany za życia jego w losach Narodu.

Alexander Kraushar.

„PUŁASKI W AMERYCIE”.

(FRAGMENT).

A K T II.

NARADA GENERALÓW.

W wysokiej izbie szynkownianej gospody przy gościńcu z Chester do Filadelfji.

Dokoła gospody stare lasy, na krańcach których wre bitwa insurjentów amerykańskich z następującymi na nich w przeważnej sile wojskami brytańskimi pod wodzą Cornwallisa i niemieckimi pod wodzą Knyphauzena.

Główna kwatery sztabu amerykańskiego.

Izba zadymiona, ciemna i posepna. Z dębowego pułapu zwieszają się na drutach dwie lampy z okrągłymi blaszanymi umbrami. W środku izby w ubitej glinie wgłębienie, a w niem ognisko z olbrzymich kłód, z którego dym gryzący rozsnuwa się w sinych pasmach po oberży; nad ogniskiem trzy pręty żelazne w kozioł ustawione, na których wisi miedziany kociołek; z kociołka buchająca para łączy się z dymem.

Wzdłuż ściany tylnej na wysokości pierwszego piętra ganek szeroki, do którego prowadzą spadziste strome schody; pod gankiem obszerny szynkfas, oddzielony od izby szeroką mocną drewnianą kratą, dochodzącą do ganku. Z prawej — szerokie drzwi, jak do wozowni, z belką poprzeczną, rozwarłe ku izbie; w głębi — długie, wązkie okno. Na ganku pod oknem środkowym długi stół, przy nim ławy; ganek w części zasłonięty szarem zgrzebnem płótnem, które, zawieszane na drucie wzdłuż całego ganku, zakrywa część ganku.

W około ogniska półokrągłe ciężkie ławki. Pod oknem wzdłuż ściany stół na zydlach długi, przy nim dwie ławy proste, nieheblowane. Na stole porozkładano trzynaście talerzy cynowych, tyleż łyżek i kubków szklanych.

Godzina wieczorna...

Ostatnie sceny.

ZIELIŃSKI (*na schodach stanąwszy, głośno*): Oficerów sztabu głównego Excellencja uprasza na sessję (*sam schodzi po schodach na dół*).

SULLIVAN, ARMSTRONG, WILKENSON i inni.
Idziemy! Słyszcie!... Idziemy, Zieliński! W tej chwili!
Dobrze!...

*Ocierają usta, odstawiają na bok szklanki, wstają z ławek.
Sierżant Vanderwild zaryglowuje drzwiczki małe, potem
biegnie do szynkfasu.*

ARNOLD (*oglądnął się, do Zielińskiego*): Idziemy (*do Mac Moylera*): Przestańcie teraz stary. I napijcie się szklankę wody, bo was szlag trafi z pasji.

MAC MOYLER (*do Arnolda*): Już... już... Pewnie, że mnie może trafić, jak o tem myślę (*do Zielińskiego*): Idziemy Zieliński!

ZIELIŃSKI (*schodząc ze schodów do sierżanta Vanderwilda*): Wszyscy nienależący, jazda (*pokazuje rękę, by szli precz*).

Jenerałowie wchodzą na schody jeden po drugim.

VANDERWILD (*do Zielińskiego pytająco*): A Oberżysta?

ZIELIŃSKI (*do sierżanta*): Także. I zamykać drzwi.

SIERŻANT VANDERWILD (*do Oberżysty, twardo*): Jazda saloonkeeper... Fora!... Za drzwi. I magnifika też!

Zieliński zbiega szybko po schodach i przechodzi ku lewej do alkówki.

Arnold i Mac Moyler wchodzą na schody.

LINCOLN (*stanął przy balaskach ganku, patrząc po schodach*): Jesteśmy wszyscy? (*liczy idących po schodach*). Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... sześć...

SULLIVAN (*stając przy nim*): Nie wszyscy... Brakuje przecież jednego.

WILKENSON (*idąc po schodach*): Oczywiście. Pułaskiego go niema...

LINCOLN (*do Wassingtona*): Tak. To prawda. Niema Pułaskiego...

ARNOLD (*idąc po schodach, ku Lincolnowi*): Inna rzecz, że już drugi czy trzeci raz jak hrabia Pułaski nie raczy brać udziału w wojennej sessji.

SULLIVAN (*z ganku*): Tak... Ale to znaczy, że gdzieś

sądził się być potrzebniejszym jeszcze... Pułaski jest skrupulat w tych rzeczach...

WASSINGTON: Zaczniemy bez niego! To darmo (*wesoło*): Są kochani przyjaciele nowiny bardzo radosne!... Chodźcie...

Sierżant Vanderwild wypchnął w głębi Oberżystę i Oberżystkę za drzwiczki małe za szynkfasem, poczem drzwiczki za nimi rygluje Zieliński i wyszedł do alkówki z lewej i słysząc też, jak drzwiczki za sobą rygluje. Sierżant Vanderwild przechodzi teraz do tych drzwiczek i rygluje je również z tej strony, poczem staje przy drzwiach z prawej. Officerowie jeden po drugim weszli na ganek i zajmują miejsca przy stole.

LINCOLN: Wobec tego, że Pułaski vacat, będzie nas tu trzynastu na dzisiejszej radzie.

MAC-MOYLER (*siadając*): Zupełnie jak przy wieczerzy Pańskiej (*z naciskiem*): ostatniej Wieczerzy Pańskiej.

ARNOLD (*swobodnie*): Z tą korektą, że Judasza napewno między nami niema (*siada*).

WILKENSON, SULLIVAN i inni. Oczywiście! Chyba! Chyba! I nie będzie...

SULLIVAN (*wesoło*): Zkonfederowanych kolonji jest też narazie trzynaście, a Bóg Wszechmocny da, że jednakże zwyciężymy (*siada*).

Wszyscy officerowie siedzą już na swoich miejscach. Izba oberży pusta. Vanderwild swobodnie zapala fajkę.

WASSINGTON (*wstając, nieco uroczyście, mocno*): Takie jest i moje zdanie w tej materji, kochani towarzysze... Taką jest i moja niewstrząśnięta, niezłomna nadzieja! Nasza sprawa prosta, jasna i uczciwa. Nasze zwycięstwo musi być mocne i trwałe (*podnosząc papier w ręce, głośniej*): Temci bardziej śmiem to twierdzić, czcigodni wodzowie amerykańskiego ludu, skoro właśnie przychodzi mi podzielić się z wami ponad wszystko miłą nowiną.

Zaciekawienie wśród wojskowych.

WASSINGTON: To, na co czekaliśmy, można powiedzieć z bijącym sercem... to, co już zdawało się wątpliwem

w czasach, kiedy uśmiechała się do nas Fortuna, a Mars był całkowicie przy naszej partji, to właśnie teraz, kiedy przeżywamy okres kampanji cięższy, to stało się faktem.

Głosy przy stole: Oj cięższy, cięższy... No? No?... Cóż więc?...

WASSINGTON: Oto kochani przyjaciele wśród papierów i listów, które przywiózł nam aż tutaj z Filadelfji młody kapitan... kapitan...

SULLIVAN (*przepowiadając*): Zieliński...

WASSINGTON (*ciągąc dalej*): Zieliński — znajduje się też dokument mocno pryncypalnej wagi, który wszystkim nam rozpogodzi choćby bardzo zachmurzone czoła.

Zaciśnięcie warg, wszyscy poprawili się na ławach.

WASSINGTON: A mianowicie... a mianowicie kongres kontynentalny przesyła nam kopję utęsknionego przez nas wszystkich (*uroczyście*): alljansu! jaki prześwietny rząd królewskiej

LINCOLN (*z radością i wzruszeniem*): Francji?...

GENERALOWIE: Francji?...

WASSINGTON: Tak, najdrożsi! Królewskiej Francji podpisał wreszcie z komissjonierami naszych Stanów Benjaminem Franklinem i Deanem dnia 17 września w rezydencji królewskiej w Wersalu! (*głośniej*) Hip!

Wrażenie ogromne. Wszyscy zerwali się na równe nogi jak sprężyna tkmęci. Tylko ciężki Moyler powstaje powoli.

OFFICJEROWIE (*chórem*): Hip! Hip! Hurra...

Sierżant Vanderwild zerwał się też na nogi, choć zdumiony, krzyczy razem.

WASSINGTON (*wesoło*): Bis! Hip.

WSZYSCY: Hip! Hip! Hurra...

SULLIVAN (*wesoło do Moylera*): Głośniej stary. Nie przez zęby!

WILKENSON (*z radością ramiona szeroko wyciągnął*)
No, wreszcie! wreszcie! wreszcie!

WASSINGTON (*rozpromieniony*): Bis! Hip!

WSZYSCY CHÓREM: Hip! Hip! Hurra!

WASSINGTON (*wesoło*): Stop! Dość. Siadajcie. Nie mamy wiele czasu!... Mam raczej spodziewać się teraz... (*generałowie siadają jeden po drugim*).

WASSINGTON (*ciągnąc dalej*) ...że apetyty wam się obywatele poprawią i że dzisiejszą fasolę ze słoniną sprzątniemy doszczętnie (*wesoło*) pokropiwszy to gęsto piwem czy miodem, co będzie..

GŁOSY (*wesoło*): Tak... tak... tak, Excellencjo.

WASSINGTON (*poważniejąc*): Otóż aljantka nasza Francja odpowiedziała nam, jak widzicie, godnie... Imperatorowa rosyjska Katirina i jej kancelarja pour les affaires etrangers w osobach wicekanclerza Ostermanna, do których też kilkakrotnie udawaliśmy się z propozycją handlowego traktatu, nie raczyła nas nawet obdarzyć responsem. Jego Królewska Mość Friederich II Pruski raczył naszą propozycję odrzucić. Jego Królewska Mość Stanislas August Polski raczył nam odpisać bardzo pięknie skoncypowanym listem. Co się zaś tyczy państw pomniejszych starego kontynentu, to informacje o nich pozwalam sobie odłożyć ad feliciora tempora, Prawda?..

OFFICJEROWIE: (*Rzecz jasna.*) Wszystko słusznie.. Na później!..

ARNOLD (*oschle*): Tak. Do rzeczy! Do rzeczy!

WASSINGTON (*do Arnolda*): Całkiem słusznie. Otóż aljantka nasza Francja pierwsza uznając nasze przyrodzone prawo do niepodległości

LINCOLN (*do Moylera dobitnie*): Słyszycie, Moyler?

MOYLER (*odburknąwszy*): Słyszę... słyszę...

WASSINGTON (*z uśmiechem do Lincolna*): Tak (*ciągnie dalej*) nie poprzestaje tylko na werbalnej deklaracji swych affektów (*podnosząc głos*) ...ale wysłała nam na pomoc jedną eskadrę floty pod chefstwem znakomitego Rochambeau na północne brzegi i drugą na południowe pod wielce szanownym hrabią d'Estaing.

Szmer, radość wśród wszystkich.

WASSINGTON (*jeszcze podnosząc głos i dłoń na papier*

wskazując): Możemy liczyć, piszą nam, na sukurs jakichś dwudziestu tysięcy ludzi, panowie!

Radość i szmer wśród generałów.

MAC MOYLER (*chrypliwie*): Na razie jeszcze na papierze...

ARNOLD (*potakując*): Tak... Tak... To prawda... I kiedy?

WASSINGTON (*poważnie, zwracając się do Moylera i Arnolda*): Tak panowie! Na razie jeszcze na papierze, atoli ponieważ negocjacje były prowadzone między gentlemanami z obu stron, przeto nie mamy najmniejszej racji powątpiewać (*podnosząc arkusz w górę*) ...aby ten świstek nie był rękojmią i zadatkem najistotniejszej rzeczywistości.

Stary Lincoln pierwszy klasnął, potakując szybko głową, wszyscy przy stole za nim.

MAC MOYLER (*ugodowo*): O tak! tak zapewne.

ARNOLD (*niepewnie*): Pozwalam sobie jednakże zauważyć, że nasi wrogowie z Londynu dostają z kontynentu staro jeszcze więcej, bo omal 30 tysięcy ludzi.. i to żołnierza przynajmy świetnego! Hessów, Hannoverczyków i innych! Przekonaliśmy się o tem na własnej skórze!

MAC MOYLER (*chrypliwie, szydąc*): Przetrzepanej skórze. Hahaha...

SULLIVAN (*cały w ogniu, zerwał się, wyprostował, do Arnolda*): Tak, kochany kolego, ale pozwalam sobie zauważyć, że jest to żołnierz kupowany! (*z odrazą*). Sprzedawano go Jego Królewskiej Mości Jerzemu II do służby angielskiej, jak by było na jarmarkach, po 375 frankow za sztukę... za roślejszego po 575 franków!...

MAC MOYLER (*zrywa się również zaperzony*): Nam nic do tego jenerale, skąd Torysi swoich żołnierzy biorą! W naszych szeregach też obcy wnet już chyba zaczną przeważać.

ARNOLD (*do Sulipana twardo*): A oburzać się też znowu nam tak bardzo nie przystoi. Sullivan (*odwrócił się lekko do Wassingtona*): I wśród nas znajdują się tacy, co do swych plantacji kupują na targach niewolników po 375 franków.

WILKENSON, HAMILTON, GREEN, KNOX, MAXWELL (z *oburzeniem*). To negrów! To czarnych! To co innego.

Mocne poruszenie przy stole.

SULLIVAN (z *gniewem, do Arnolda*): Tak—to czarnych. I z Afryki!

LINCOLN (z *gniewem*): I pogan! Czasem nawet ludozerców! Wielka różnica.

ARNOLD (*przyparty*): Zapewne, że jest różnica.

WILKENSON: Nie europejczyków! Nie białych i chrześcijan!

SULLIVAN (z *obrzydzeniem*): I tamci (z *naciskiem*) sprzedają Wielkiej Brytanji własnych poddanych swych, mości Arnold!... To co innego!

MAC MOYLER: Zapewne, że co innego!... Ale co nam się mieszać do spraw Europy! I co im się mieszać do nas...

ARNOLD: W każdym przypadku atoli nam się indygnować tem, że król Jerzy kupuje najemne żołdactwo gdzie może, conajmniej nie godzi.

MAC MOYLER (*szybko*): Tak! Bowiem i nasi cudzoziemcy też dla naszych pięknych oczu nie służą. Biorą pensje aż miło patrzyć.

SULLIVAN (z *gniewem do Moylera*): Trudno żądać, żeby nam dopłacali za to, że się pozwalają zabijać dla obcej, dla naszej sprawy.

LINCOLN (*do Moylera*): A wy Mac-Moyler ostatecznie jesteście w służbie waszej własnej ojczyzny, a jednak pensji dotychczas nie zrzekliście się... He?...

ARNOLD (*do Sullivana*): Eee... to niech się wpród pensji zrzekną markiz Lafayette lub hrabia Pułaski.

Gwar i kłótliva atmosfera wzrasta.

WILKENSON (*niechętnie*): No, do rzeczy! do rzeczy (*do Wassingtona*) Excellencjo...

WASSINGTON: Panowie... Koledzy! Ze smutkiem widzę, iż dyskusja wojskowa weszła na tory zgoła nic z kam-

panją niniejszą nie mające spólnego... Upraszam o chwilę ciszy, bym mógł przyjąć do słowa...

Ucisza się już. Jenerałowie siadają.

WASSINGTON: Reasumując, co tutaj słyszeć mi przyszło, sędzę, że przyrodzona odraza do wroga, który kupuje żołdaków u jeszcze nikczemniejszych książąt z kontynentu, ludźmi żywymi handlujących, jest nam tu chyba wszystkim pospólną! Pod tym względem przypuszczam jednej ze sobą Jesteśmy opinji... (*do Arnolda*). Jeżeli znakomity nasz kolega jenerał Arnold łaskawie zwrócił uwagę na to, że i pośród nas znajdują się tacy, co kupowali ludzi do swych plantacji, to ja, jako taki... (*z uśmiechem*) jako w tym gronie jedyny taki, bo jako posiadacz trzystu czarnych w mem Mount-Vernoon, nie łączę się w mniemaniu o tej bolącej sprawie z tem, co tu oświadczyli moi przyjacielowie Lincoln, Sullivan, Wilkenson...

Zdumienie u officjerów. Głosy: słuchać, słuchać! Słyszycie?...

WASSINGTON (*ciągnie podniesionym głosem*) ...ba, nawet nie zgadzam się z tem, co powiedział zwycięzca z pod Saratagi, jakoby istniała różnica między tem duszokupstwem a tamtem handlem żywymi białymi ludźmi!

Zdumienie wśród jeneratów. Głosy niechętnie i pomruk.

WASSINGTON: Nie, moi najdrożsi! Niema żadnej różnicy! I nasze kupowanie niewolników jest czemś niecnem i haniebnem! Jest czemś, co wcześniej lub później jako czarna plama na honorze Stanów zmytą i wywabioną być musi! Mojem skromnem zdaniem tedy dyfferencja żadna w tem nie zachodzi. Ci i tamci są ludźmi na obraz i podobieństwo Boskie stworzonymi! Przyszłość dopiero niezbadana okazać może, którzy z nich nawet więcej na godność człowieczeństwa zasłużyli, a którzy więcej hańby czystemu człowieczeństwu przynieśli. Takie jest moje zdanie w tej materji, kolidzy.

Chłodna cisza przy stole.

LINCOLN (*sam wzruszony klasnął brawo*): Całkiem słusznie! Całkiem słusznie Żorż! (*podaje mu dłoń przez stół*): I moje!...

WASSINGTON (*z uśmiechem, ściskając dłoń Lincolna*): Z radością stwierdzam, że mój sąd o tem nagrodzon jest jednogłośnie uznaniem... Dobrze i to... na razie...

WILKENSON, SULLIVAN: Do rzeczy! Do rzeczy!

ARNOLD: Tak! Tak... do rzeczy (*ostro*): My tu debatujemy jak panowie kupcy w Independence-Hall czy w kongresie, a tu miecz Demoklesa nad nami, Excellencjo.

MAC-MOYLER: A admirałowie francuscy jeszcze nie dopłynęli!...

WASSINGTON: Całkiem słusznie! Nie jam też zбочzył z głównego gościńca. Wracam z ochotą (*surowo*): Otóż na subsydja francuskie liczyć możemy z bezwzględną ufnością. Spodziewać się ich nam trzeba, jednak aż na wiosnę... Tymczasem atoli nie widzę przyczyny zatajać między sobą lub mówić półgębkiem czy półgłosem o tem, że jest z nami niekorzystnie, nawet więcej, że jest źle, że znów musimy się cofać.

MAC-MOYLER (*ironicznie*): Że zwyciężamy, rejterując (*na stół wskazał*) i na papierze...

WASSINGTON (*jakby nie słyszał, brwi zmarszczył*): Na przedwczorajszej sessji zdecydowaliśmy ewakuować naszą drogą Filadelfię... przenieść szpitale z rannymi do Betlehem.

ARNOLD (*niecierpliwie*), Archiwa do Princeton, kongres do Lancaster. No i dalej, co dalej?

WASSINGTON (*spokojnie*): Wczorajszej debaty rezultatem było to, że armja nasza cała na zimowe leże przesuwa się aż do Valley Forge...

ARNOLD (*twardo*): No nie cała Excellencjo, nie cała, bo przecież dywizja...

WASSINGTON (*spokojnie*): A tak. Za wyjątkiem dywizji Greena... Tak... Dziś zaś musimy tu zdecydować pośpiesznie dwie kwestje ważne. Pierwsza — to jest propozy-

cja powiększenia kadr kawalleryjskich, jaką nam przedłożył w obszernym referacie brygadjer hrabia Pułaski...

ARNOLD (*lekceważąco*): Niema Pułaskiego...

LINCOLN (*niespokojnie*): Gdzie on może przebywać tak długo? Przecież wiedział, że o siódmej.

WASSINGTON (*spokojnie*): Druga zaś sprawa czysto strategiczna polega na tem, kochani przyjaciele, jakim trybem najskuteczniej...

SULLIVBN (*podpowiadając*): I najdłużej...

WASSINGTON: Tak, i najdłużej zasłaniać odwrót armji i to całej armji, ze względu na to, że Cornvallis połączył się już z Knyphauzenem, że zagrażają zajęciem nam drogi na Chester, że mogą nam przeciąć możliwości skutecznej i bezpiecznej...

MAC-MOYLER (*ironicznie*): Rejterady...

WASSINGTON (*spokojnie*): Tak, bezpiecznej rejterady. Czy tedy panowie, zostawić jeszcze dywizję Wayne w Paoli? Czy cofać się i na Jellow Springs?

LINCOLN (*szybko*): Brać Wayne! Ja mówię brać Wayne! (*do sąsiadów*): Co?...

WASSINGTON (*biorąc papier inny do ręki*): Otóż, kochani przyjaciele. W sprawie pierwszej... Pisz nam tutaj generał Pułaski.

MAC-MOYLER (*zrywa się zaperzony*): Panowie! Excelencjo (*do jenerałów*): Przypuszczam, że koledzy wszyscy zgodzicie się ze mną, jeżeli wystąpię do generalissimusa Wassingtona z pokorną petycją, by nas wszystkich od słuchania takowego elukubratu raczył łaskawie uwolnić.

LINCOLN, WILKENSON (*do Moylera*): Dlaczego? Owszem... Cóż znowu?...

MAC-MOYLER (*bezpośrednio do Lincolna*): Dlaczego? dlatego, że można być z wielką attencją dla tego batalisty... owszem... ale te jego natrętne memorjały o powiększenie kawalerji już nam wszystkim kością w gardle stały! My nie mamy na to pieniędzy, trzeba temu kawalerowi raz oświadczyć!... My nie mamy pieniędzy na wyrzucanie. Niech kon-

gresmen tu obecny generał Hamilton zaświadczy. Mamy szesnaście milionów dolarów długu stanowego. Nie ma za co butów zakupić dla dwóch tysięcy ludzi!... A pan hrabia Pułaski de Corvin wciąż nas wprost bombarduje swymi memo- rjałami niedorzeczny!

SULLIVAN (*zrywając się oburzony*): Niedorzeczny!.. Niedorzeczny! (*do Wassingtona*): Excellencyo, raczcie wybaczyć! Ale epitet „niedorzeczny“, użyty przez pułkownika Mac-Moylera jest krzyżącym zuchwalstwem.

WASSINGTON (*poskramiając*): Panowie! Panowie! Spokojnie.

ARNOLD: Aż zuchwalstwem? Nono!

SULLIVAN (*do Arnolda*): Tak! Zuchwalstwem. Niestety, nie znajduję innego słowa na określenie! Zuchwalstwem! To jest opinja całkiem niekompetentna! Przysięgam wam jako kawalerzysta z krwi i kości! Kawalerzysta w trzecim pokoleniu...

MAC MOYLER (*kpiąco*): Hoho... Aż w trzecim!

SULLIVAN: Tak w trzecim. Pułkownik Mac-Moyler może znać się na cenach i gatunkach końskiego materiału, ale do kunsztu kawaleryjskiego, o ile wiem, nawet nie rości pretensji (*biorąc arkusz ze stołu*): Tymczasem zaś projekt Pułaskiego opiera się na racjonalnej basis argumentacji. Pułaski wywodzi się z nacji, której wojskowy genjusz w wojowaniu podjazdowym kawaleryjskiem słynie na całym starym kontynencie! Dawał sobie radę z Drewitzem, Ebschelwitzem, Weymarnem, Apraksinem i gorszymi od naszych czerwonoskórych, kozakami Imperatorowej! Wiosenną kampanję rozpocząć musi kawalerja! Brytańczycy skupują konie we wszystkich koloniach! przepłacają! Stan naszej ekwitacji przed Pułaskim był gorzej niż opłakany. Pułki Blanda i wybaczcie tu obecnego Mac-Moylera dawały wzór tego, do czego nieumiejętność organizacji i brak subordynacji doprowadzić może... Odkąd zaś brygadier Pułaski objął naczelną komendę, to niepotrzebuję panom eksplikować...

ARNOLD, WILKENSON, GREEN (*niecierpliwie*): Nie... nie... wiemy, wiemy... Do rzeczy! do rzeczy!

LINCOLN (*do Sullivana, radośnie*): Tak Sullivan. Całkiem słusznie.

SULLIVAN (*podnosząc papier ze stołu*): Plan Pułaskiego czytałem, znam, oraz aprobuję. Przychylną odpowiedź i decyzję waszą uważam jako sprawę nie cierpiącą zwłoki. Proponuję oddanie pod drobiazgową dyskusję memorjału Pułaskiego. Będę temu sekundował do ostatniego tchu. Skończyłem...

MAC MOYLER (*zrywając się, chrypliwie*): Respondując koledze Sullivanowi...

ARNOLD (*do Mac-Moylera, chwytając go za ramię*): Wybaczcie Moyler. Jeszcze ja słówko dodam (*do jenerałów oschle*): Przypuszczam, że, gdyby hrabia Pułaski przypisywał tak wielką doniosłość swemu memorjałowi, jaką przypisuje nam jego admirator nasz znakomity Sullivan, to chyba sam personalnie sprezentowałby nam tutaj swe propozycje! sam ich bronił.. a nie łowy sobie teraz właśnie urządzał na dziki gdzieś w puszczy.

GREEN, WILKENSON, MOYLER: Chyba... Pewnie... Całkiem słusznie... Tak... Tak...

LINCOLN (*gorąco*): Mogę wam zareczyć mojem parol d'honneur, że jeżeli on teraz gdzie poluje, to z pewnością nie na dziki...

SULLIVAN, MAXWELL, CONWAY: Tak... Tak... Całkiem słusznie. A na grenadjerów brunszwickich! Bezwarunkowo...

MAC-MOYLER, ARNOLD (*zapalczywie*): O, zobaczymy, zobaczymy, czy nie na dziki...

SULLIVAN, LINCOLN (*z zapalem*): A zobaczycie! Przekonacie się... Tylko cierpliwości!...

Sierżant Vanderwild raz po raz spoglądał w górę nieco zaniepokojony, kiwa głową, drapie się po głowie, wreszcie wpada na pomysł, drepcze do stołu i zabrawszy kilka talerzy cynowych idzie z nimi do kociołka, gdzie odchyliwszy pokrywę zaczyna

wielką kochlą na talerze nakładać jasołę. Para bucha z kotła i talerzy... Vanderwild filuternie raz po raz pogląda ku górze.

WASSINGTON: Kochani przyjaciele... Raczcie zaniechać zwady, proszę was (*dłonią w stół uderzył*): Stop!... Już... Upraszam bardzo... Żywię głębokie przekonanie, że kolega nasz Mac-Moyler nieprzystojnych słów jakich użył w przedkości, wyrażając się o szacownem piśmie do Wydziału Wojny swego chefa Pułaskiego sam żałuje mocno... Bardzo rad jestem, że kolega Sullivan zatarł przykrą impressję, jaką ten wyskok naszego ognistego Szkota u nas wzbudził. Hrabia Pułaski jest gentlemanem ponad wszelkie wątpliwości bardzo odważnym, roztroptym, przedsiębiorczym. Brak mu tylko dokładnej znajomości naszych obyczajów, aby się zeń uczynił cenny oficer naszego sztabu (*do Arnolda*): Że teraz nie poluje na dziki w puszczy koło Hyphen-Tavern, to... to mogę wam..

Nagle słychać poza oberżą z za każdej ściany trąbkę alarmową. I liczne głosy i przebiegiwania. Równocześnie do drzwi z prawej gwałtowne kolatania pięściami. I równocześnie z bardzo daleka pierwszy odgłos działa.

Wszyscy officerowie na górze zerwali się na równe nogi, pobledli... zdumieni.

Teraz i do drzwiczek przy szynkfasie w głębi stukania gwałtowne.

Sierżant Vanderwild, opuściwszy na ziemię talerze cynowe, biegnie do drzwi z prawej.

WASSINGTON (*wyprostowany jak struna, stanął przy balaskach*): Co to?... Na alarm trąbią?... Co to za psi figiel?

LINCOLN (*rekę do ucha przyłożył*): Słyszałem armatni wystrzał..

WILKENSÓN: Przywidziało wam się, Lincoln!

PULASKI (*z za drzwi z prawej, donośnie*): Otwieraj! Słyszysz! Otwieraj do kroćset djabłów!..

SULLIVAN (*pierwszy zbiega na schody*): Musiało się stać gdzieś coś ważnego!..

WANDERWILD (*mocując się z rygłem*): Zaraz! zaraz...
Już...

Oficerowie stanęli wszyscy przy balaskach rzędem. Słychać drugi bardzo daleki huk działa. Trąbki alarmowe to bliższe, to dalsze.

WASSINGTON (*nad słuchując*): Słyszałem teraz huk działa. To są najwyraźniej haubice nasze z nad rzeki...

LINCOLN: To głos Pułaskiego! Pułaski!

MAC-MOYLER: Tak... Tak... to Pułaski.

Uderzenie o drzwiczki w głębi i z prawej. Wreszcie w głębi z prawej brzeknęła szyba, tłucze się okno... Sullivan zbiega po schodach.

OFFICJER (*z zewnątrz przez okno*): Otwierać... Otwierać!
Teraz sierżant Vanderwild szeroko rozwarł drzwi z prawej. Wichura wpada przez rozwarłe szeroko drzwi i tłumi na moment płomienie ogniska. Na dworze widać już ciemno.

Na progu staje Pułaski. Jest cały zabłocony, od stóp do głów, nieco przybladły, brwi ma zmarszczone, zaalterowany. Znowu słychać trąbki alarmowe, to bliżej, to dalej.

PULASKI (*łapiąc oddech, twardo*): Tak! To ja...

WASSINGTON (*stając przy poręczy, ostro*): Co znaczy ten alarm? Kto śmiał?...

Daleki huk działa... Kołatanie w tyle.

PULASKI (*o krok się posunął*): Jam kazał Excellencyo, wybaczenie!

Zdumienie wśród officerów.

SULLIVAN (*do Vanderwilda, wskazując na drzwiczki w głębi*): Otwieraj! Można ..

Vanderwild biegnie do drzwiczek w głębi.

WASSINGTON: Jakim prawem Pułaski?...

PULASKI (*buńczucznie*): Moim własnym, Excellencjo! Brytańczycy przeszli bagna. Są o trzy godziny marszu od Hyphen-Tavern (*stuknął szablą o glinę*).

Wrażenie piorunujące. Jenerałowie jeden przez drugiego: Co?? Co on mówi? Bagna? Kiedy?.. To żart! Czy być może?

ARNOLD (z ganku, najgłośniej): To niemożliwe!

Maxwell i Greene zbiegają szybko ze schodów.

PULASKI (wprost do Arnolda): Zdawałoby się! A jednak tak jest... Zaszli od Paoli Tavern! Dziś w południe. Bataljony z dywizji Knyphauzena. Grenadjery.

Zdumienie wzrosło: Gdzie? Jak?

WASSINGTON: Grenadjery? Od Paoli Tavern? (*nie-spokojnie*): A Wayne?...

LINCOLN, SULLIVAN, WILKENSON: A Wayne? Wayne?

PULASKI: Dywizja Waynea niestety cofa się w roz-sypce ...Dziś przed świtem zniemacka okrążono ich, napad-nięto... Resztki cofają się na lasy... tutaj...

Przygnębienie u wszystkich. Sierżant Wanderwild wpuścił przez małe drzwi Oberżystę i Oberżystkę. Sullivan stanął już przy Pułaskim.

SULLIVAN (ze zgrozą do Pułaskiego): Resztki?...

PULASKI: Niestety! resztki. Stracił około siedmiuset do 8-ej rano... (*do Wassingtona*): Przysłał do mnie konnego o 11-ej rano... Tutaj należy się ich spodziewać koło północy (*zaczepnął powietrza, zrzuca fuzję z pleców na ławkę*).

WASSINGTON (*zgnębiony twardo*): No, a Smalwood? Smalwood? Przecież brygada Smalwooda miała w każdym wypadku iść mu z sukkursem w razie czego! Gdzież Smal-wood?

JENERAŁOWIE: Tak... Tak... Tak było dysponowane.

SULLIVAN: Przedwczoraj jeszcze tak się zdecydowało:

PULASKI: Jenerał Smalwood nie miał żadnej instruk-cji w tym kierunku. Nie ruszał się z miejsca. Dopiero teraz.

Zdziwienie i oburzenie wśród oficerów.

WASSINGTON (*z gniewem*): Jaki nie miał żadnych instrukcji Smalwood! Jak śmiecie mówić coś podobnego?

OFFICJEROWIE: Miał! Musiał mieć! Były instrukcje!

PULASKI (*twardo*): Powtarzam. Jenerał Smalwood do świtu jeszcze żadnych instrukcji nie miał. Instrukcję dorę-

czono mu przed południem o godzinie 10-ej minut 30, kiedy...
kiedy już było po wszystkim.

Zgroza i oburzenie w kole. Wszyscy schodzą teraz ze schodów.

WASSINGTON: To niemożliwe, Pułaski! Wy jesteście w błędzie. Wczoraj rano instrukcja wysłana (*do Moylera ostro*): Mac Moyler? Co?

PULASKI (*twardo*): Nie! Nie jestem w błędzie, Excelencjo. Mówię jeno, co ściśle przychodzi mi wiedzieć. Smalvoodowi wręczono instrukcję z komendy głównej dziś o godzinie 10-ej minut 30.

Wszyscy patrzą na Mac Moylera, który ze spuszczoną głową stoi na boku zgnębiony, dłonie rozkładając.

MAC-MOYLER: Tak... To możliwe... Zgadza się... Nie mogę temu zaprzeczyć. Instrukcję wysłałem wczoraj późnym wieczorem. Nie myślałem, że pośpiech nakazany. Nie było adnotacji, że nagle. Odpowiadam jeno częściowo za to... Trzeba było dopisać jak zwykle na boku: rapid! rapid... (*zgnębiony opada na ławkę, twarz ukrył w dłoniach*).

Chwila ciszy wśród oficerów. Jedni patrzą oburzeni ze zgrozą, inni ze wstrętem, nawet z politowaniem.

PULASKI (*przerywając ciszę, energicznie*): Mniejsza z tem, panowie! Co się stało już się nie odstanie! Tu jest rzecz ważniejsza! (*nagle jakby oddech stracił, pobladł*): Oj, tylko dajcie mi się czegoś napić... Pomdleję ze znużenia... (*lekkotłania się*).

SULLIVAN (*podbiega, staje przy nim, podtrzymuje go*). Wody... Wody... Albo rumu...

LINCOLN (*biegnie do szynkfasu*): Rumu... Lepiej rumu... Zaraz będzie...

PULASKI (*wskazując ręką na gospodę*): Oberżę Hyphe-na musimy natychmiast opuszczać! Panowie!

Wassington zgryziony, blady, siadł na chwilę, czoło oparł na ręce. Hamilton stoi obok niego, zbiera papiery ze stołu.

SULLIVAN, ARNOLD, WILKENSON: Dlaczego? Cóż znowu! Musicie! Dlaczego i oberżę?

PULASKI (*wyczerpany, głos podnosząc chrypliwie*): Obóz za sześć godzin może być atakowany. Las od strony bagien zagrożony... zagrożony!...

Lincoln podaje mu szklanek rumu.

PULASKI (*do Lincoln*): Dziękuję... Dziękuję... Dwaście godzin z rzędu nie zeskoczyłem ze szkapu... Dziękuję...

Officerowie otoczyli go kołem. Oberżysta zaciekawiony, hamując z trudem rozradowanie, zbliża się i nadśluhuje. Pułaski przysiadł na chwilę na ławce i pije duszkiem.

WASSINGTON (*wstał, energicznie, mocno*): Arnold! Co on mówi jeszcze? Co mówi Pułaski?... Co ma znaczyć ten alarm, pytam?...

ARNOLD (*do Wassingtona*): Pułaski mówi, że i obóz i las i oberża są już w niebezpieczeństwie (*wzruszając ramionami*): Ale tego to już nie pojmuję. Jak?... Jakim sposobem.

PULASKI (*jakby weń siły weszły, prostuje się*): Zaraz... pozwólcie!... opowiem... Excellencjo! (*zwraca się w górę do Wassingtona*): Excellencjo, za godzinę nie powinno z nas tu być ani śladu... Ręczyć mogę do północy. Niebezpieczeństwo uchylone, ale tutaj zostawać ani chwili nie można...

Wassington zbiera z Hamiltonem papiery ze stołu i teraz schodzą po schodach szybko na dół. Trąbki alarmowe powtarzają się.

WASSINGTON: Ale dlaczego, dlaczego Pułaski?... Nie rozumiem jeszcze dokładnie z jakiej przyczyny. Czy wy nie egzagerujecie, hrabio, jak to już, pozwałam sobie zauważyć, bywało. Owszem. My możemy dojść do teje samej decyzji, ale niechżeż wiem dokładnie jak rzeczy stoją... Gdzie Brytanie przedewszystkiem? Tam koło bagien?...

ARNOLD (*z lekka kpiąco*): Może wam się przywidziało Pułaski?... Mundury dywizji Smalwooda są tak samo czerwone jak mundury angielskiej armji Cornwallisa... Może wyście w egzaltacji kazali strzelać do naszych własnych żołnierzy?... To byłoby straszne!

Wassington staje już obok. Koło niego Hamilton, Green i inni.

PUŁASKI (*zrywa się w gniewie*): Dość tego, jenerale Arnold! Wymawiam sobie podobne koncepty u panów! Nie można mi więcej uchybić, jak zarzucając mi egzagerację. Nie jest teraz pora na żarty (*szuka oczyma dokoła, wzrok jego pada na oberżystę*): Vanderwild! Vanderwild! (*do jenerałów*): Zaraz wam postaram się przedstawić dowód czarno na białem.

Vanderwild staje blisko, salutuje.

PUŁASKI: A jesteś... Dobrze... (*niespodzianie odwraca się, wskazuje na oberżystę*): Vanderwild! Trzymaj tego ptaszka.

Oberżysta patrzył uśmiechnięty, rozciekawiony, na Pułaskiego. Teraz zobaczywszy jego wyciągniętą rękę, zbladł śmiertelnie, zatrząsł się na całym ciele...

OBERŻYSTA: Jezus, Marja, Józef... Ratunku (*i rzuca się, by uciec w prawo, z krzykiem*): Bertie!...

Arnold i Sullivan zagrozdziili mu drogę; równocześnie dopada go Vanderwild i chwytą z tyłu za ręce.

PUŁASKI (*groźnie*): Trzymaj psisyna i nie puszczaj! Wiąż mu garście... (*wyjmuje z za kubraka czerwony arkusik papieru i trzyma go w lewej ręce, w prawą bierze z z za pasa wyciągniętą kruciczkę*).

Oberżystkę, wyrrywającą się, chwyciło w tyle dwóch żołnierzów.

Rozciekawieni oficerowie stają dokoła.

ARNOLD, LINCOLN, SULLIVAN: Co to? Zdrajca? Szpieg. Tak? Był szpiegiem?

VANDERWILD (*do jenerałów*): Oddawna się tego domyślałem... Nie śmiałem mówić.

PUŁASKI (*do Wassingtona*): Zaraz z ust tego zdrajcy dowie się Excellencja jakie niebezpieczeństwo nam wszystkim zagrażało... Proszę słuchać (*do oberżysty*): Mów psisynu wszystko! Szczęram prawdę! Sam... Godzinę temu schwytali moi ludzie Indjanina, któremuś łotrze wyrodny dał ten spis kwaterujących w oberży jenerałów!

OBERŻYSTA (*padając na kolana, z rykiem*): Panie Jenerale. Powiem wszystko! Wszystko, jeno życie, życie daruj!..

Vanderwild wiąże mu ręce z tyłu mocno na krzyż.

WASSINGTON (*odwrócił się w tył, pośpiesznie do stojących blisko*): Niema co! (*głośno*): Kulbaczyć konie! Pakować wszystko w kosze! I żeby jeden papierek nie został... (*klaszcze w ręce*).

W oberży pokazują się żołnierze i w oknach. Wraz zaczynają wynosić kosze, zbierać rzeczy po izbie. Biegają tu i tam.

PULASKI (*do kłęczącego, przykładając wylot kruciczki omal do czoła*): Śpiewaj szelmo, gdzie najbliższe forpoczty angielskie?

OBERŻYSTA (*szczękając zębami*): Powiem, powiem, wszystko powiem, tylko życie, życie, życie darować... Wiem, gdzie... wiem wszystko, gdzie są! Ilu ich jest! Zdradzę wszystko! Ich zdradzę. tylko życie, życie!..

ARNOLD (*do Wassingtona*): Najlepiej wylać rum z beczek na podłogi i podpalić budę, żeby śladu nie zostało.

OBERŻYSTA (*w tył*): Jezus Marja! Litości panowie! Nie palcie! Nie palcie!

PULASKI (*kruciczkę wymierzył w łeb oberżysty*), Gadaj?... Ilu?..

WASSINGTON (*do Arnolda, pośpiesznie*): Całkiem słusznie. Wydajcie rozkazy odpowiednie (*do Pułaskiego*) Więc? *Arnold daje znak jednemu żołnierzowi.*

OBERŻYSTA: Więc tak... Brytańczycy są już nad rzeką... Tam... Gdzie bagna... Przeszli bagna. Jest ich dwa szwadrony.

PULASKI (*potakując za każdym razem*): Tak... Tak... Dalej!..

WASSINGTON (*do Pułaskiego*): Zgadza się?..

PULASKI (*potakując*): Zgadza. Excellencjo... (*do oberżysty*): Dalej łotrze... Śpiewaj...

OBERŻYSTA: Grenadjerzy pod oberstem Mindorfem... „Blady Orzeł“ rudoskórzec z Mohiganów jeden... miał

ich tu prowadzić na przełaj lasami... Jeżeli by przeszkody nie natrafili, mogą tu być na jedynastą... (*ręce składa jak do modlitwy, skomląc*): Ale życie darujcie, darujcie?...

WASSINGTON (*do Pułaskiego*): Jakto przeszkod? Przecież tam były pikiety? (*do jenerałów*): Kto tam był stacjonowany?

PULASKI (*do Wassingtona, spokojnie*): Bądźcie spokojni, Excellencjo! Przeszkody już natrafili... Szwadrony Mindorffa zatrzymały się na dłużej... ze stu brunszwickich buraszów zapadło się już w moczarach Schukillu... Plac na razie wygrany. Nie miałem pełnej ufności do kapitana, któremu powierzyłem te avantposty nad bagnami! Dziś rano sam wybrałem się z małym oddziałem, żeby skontrolować wszystko, co tam nad rzeką. Złe przecucia mnie nie zawiodły. Kapitan gdzieś przepadł, opuścił stanowisko. Jego ludzie, widząc na skraju lasu niespodziewanie występujące „czerwone mundury”, już, już mieli poddać się panice... kiedym szczęsnym trafem nadjeżdżał i mój oddział ze mną... wywiązała się utarczka... (*wskazując na prawo*): Oberst Mindorff tam ranny.

WASSINGTON (*wzruszony i wdzięczny*): Całkiem słusznie! Wyśmienicie. Bardzo dobrze... (*jakby przypomniał sobie, brwi zmarszczył, surowo*): Nazwisko kapitana?...

PULASKI (*zasepił się nieco, chrząknął, powiódł okiem dokoła*): Chotkowski! Captain Chotkowski! Niestety mój compatriota.

Chwila krępującej ciszy. Jenerałowie patrzą po sobie zakłopotani, poczem mimowoli wszyscy na Wassingtona. Oberżysta klęczy na ziemi wpatrzony błagalnie w Pułaskiego. W głębi żołnierze stoczyli jedną bekę, rozbili ją i zawartość jej rozlewają na podłogę.

WASSINGTON (*drżącym głosem*): Compatriota... Ach... Jak mi przykro... (*powiółałszy okiem po jenerałach, szybko*): Tak... Ale potem coś dla nas wszystkich uczynił, Pułaski, oddaję wam decyzję w jego sprawie. Postąpicie z nim, jak

będziecie uważali za stosowne... Powiecie mi potem, po namyśle...

PULASKI (*twardo, zakładając z powrotem kruciczkę za pas*): Nie potrzebuję namysłu, Excellencjo. To, że Chotkowski Polakiem, jako i ja, nietylko nie daje mu żadnych prerogatyw, ale ciężar jego obowiązku winno było wzmódz jeszcze... Chotkowski pójdzie pod sąd wojenny, jak na to zasłużył (*wola w głąb izby*): Vanderwild! Vanderwild!...

Sierżant Vanderwild staje przy nim. Oberżysta w przezcuciu czegoś, wyprężył się cały i dobył z siebie głosu przeraźliwego.

PULASKI (*wskazując czerwonym papierem na oberżystę*): A z Hyphenem postąpimy sobie skróconom trybem! Vanderwild!... Stryczek na szyję szpiega (*ręką na prawo wskazał*): I splugawcie nim mocną gałąź pierwszego lepszego drzewa z brzegu lasu!.. A wysoko...

Oberżysta ryknął rozpaczliwym krzykiem.

Żołnierze dopadli go i wywlekają na prawo.

KURTYNA SPADA.

A K T III.

DOM KOBIEŃ W KOLONJI „BRACI CZESKICH” W NOWYM BETLEHEM.

Obszerna izba z dwoma oknami i drzwiami szklannymi wychodzącymi na ogród warzywny, a pełen kwiecica. Przy oknach z zewnątrz pnące się kaprifolum i powoje; drzew nie widać, tylko zieleń trawników, piaskiem wysypane ścieżki, krzaki róż wysokopiennych, malwy, a w oddali pawie i pantarki, wygrzewające się w słońcu. Izba jaśniejąca czystością, jasnożółto tynkowana z podłogą o długich deskach. Drzwi w prawo i w lewo. U okien żółte muslinowe firaneczki, białymi wstążkami podwiązane. Nad drzwiami szklannymi, wychodzącymi na ogród czarny krucyfix. W obu rogach izby bliższych półki pełne starych książek i foljalów, ale półki dziwnego kształtu, jakby schody trójkątnie wycięte, a na schodzie najwyższym w doniczce jakiś kwiat gałązkami aż pod sufit sięgający. Przy oknie w głębi z lewej mały biały lakierowany stoliczek, przy którym dwa karła z wysokimi opar-

ciami. Taki sam biały stoliczek z prawej, bliżej przy półce z książkami zarzucony papierami, przy stoliku taburet.

Wiosna roku 1779. Południe. Słońce dnia pogodnego. Z bardzo daleka, zapewne z kaplicy „Braci Czeskich” dochodzą ciche dźwięki organów grających melodie religijne, dziwnie znajome, jakby kolendowe.

U okna w głębi w karle bliższym siedzi, oparłszy nogi na podnóżku ranny generał Lafayette, przybladł mocno, rękę ma na temblaku, głowę również lekko bandażami owiniętą. Przysłuchuje się z zaciekawieniem opowiadaniom Benyowskiego. Przez okna i drzwi szeroko otwarte widać idących ścieżkami tu i owdzie i krzątających się przy ogrodowej pracy Braci i Siostry Gminy Czeskiej. Ubrani są szaro, cokolwiek po zakonnemu, ale swobodniej. Czasami widać też spacerujących rannych w białych kitlach, opartych na Braciach Czeskich.

Benyowsky, wysoki, rosły mężczyzna z oliwkową jakby cygańską cerą, z wielkimi wąsiskami, w pół mundurze, w wysokich palonych butach, w ruchach gwałtowny i zawadjacki. Przepasany wstęgą czarno-żółtą z gwiazdą austriacką wiszącą na piersiach, ma order francuski świętego Ludwika, order Czarnego Orła i jeszcze jakoweś odznaki. Włosy osławionemu awenturierowi węgierskiemu już nieco przypruszyła siwizna. Na nogę dość mocno utyka.

LAFAYETTE (*głosem przyciszonym, patrząc na Benyowskiego z podziwem, ale z szczyptą niedowierzania*): Tak... Tak... Toć są rzeczy więcej niż nadzwyczajne. Słucha się tych waszych narracji Benyowsky jakby się czytało owe opowieści Scheherezady (*z uśmiechem*): Widzi mi się, żeś sułtan, a wy baronie bajadera. Ha, ha...

BENYOWSKY (*z emfazą*): A chybali... chyba... Śmiem wątpić, czy któryś z moich współczesnych przeżył i dokonał tego, com ja dokazał!

LAFAYETTE: Tak... tak... Prawdopodobniej, że żaden... Bo i całą Sybirę przejechać! Z niewoli rosyjskiej uciec. U Dalay Lamy z wizytą być! Z japońskim mikadem parlować, świat cały opłynąć, madagaskarskim królem być wybranym...

BENYOWSKY (*wesoło*): I znów cesarskim austriackim namiestnikiem adriatyckiej prowincji... hahaha...

LAFAYETTE: Tak... Tak... Niesłychane! niesłychane! Poszczególnej rzeczy z tego dokonać jużby było czemś wiel-

kiem, okazałem! A tu jeden człowiek! Jeden i tenże sam! No, a teraz w Ameryce...

BENYOWSKY: A tak!... tak... Tu także było mi bardzo mozolnie przedostać się. Po dwakroć mnie Brytańczyki na okrętach chwycili i do więzienia odstawili, choć pod przybranym nazwiskiem był... Jużem nawet rozmyślał, czyby nazwiska swego nie wyjawic i służby swej nie ofiarować...

LAFAYETTE (*zdumiony*): Cooo?... Jakże to... Chybam się przesłyszał...

BENYOWSKY: A tak... jako żywo... Chciałem, przeżywałem nad tem! Kto wie nawet, czy też nie byłoby lepiej.

LAFAYETTE (*aż się podniósł*): Jaktó lepiej? Przy tamtej partji?... Żart chyba...

BENYOWSKY (*przystanął*): Skądżeby zaś żart!... Któż mi zaręczy po której partji łatwiej się odznaczyć... Hoho... Może już dziś byłbym generalissimusem!... Możeby już order podwiązki dostał...

LAFAYETTE (*brwi marszcząc, sucho*): Order podwiązki? Generalissimem? Odznaczyć? (*wzruszając ramionami*): Wyznam, że nie rozumiem.

BENYOWSKY: O, przecież to jasne, panie markizie, jak to słońce (*wskazuje ręką w górę*): Przecież sława po obu partjach jednakowa! Przecież tu rozchodzi się o to, by nieśmiertelną sławę zyskać!... by czoło sławą opromienić, by zasłynąć u współczesników i u potomnych, by się bić jako lew, czy jako lwie serce.

LAFAYETTE (*szttywnie*): Ooo... tak... Może i sława coś znaczy! Atoli przecież główna rzecz jest o co się bić, za co, po czyjej partji, czyli w służbie godziwej sprawy. Nie?...

BENYOWSKY (*wymijając*): Tak... I tak o tem można sądzić! Główna atoli, żeby się bić, świetnie bić, odznaczyć!.. O!.. I lepiej się świetnie bić po stronie mniej godziwej, niżeli lichy po stronie tych, co rację mają za sobą! Nie?

LAFAYETTE (*jakby zakłopotany, ramionami wzruszając*): Wiercie mi baronie, że ja omal uszom wierzę, słysząc

to, co słyszę... Nadto nadal uważam to jeno za koncept... Przecież nie chodzi o to, aby jeno wojować dla wojaczki samej, dla zgiełku i szczęku broni, dla awantury! i by swą żądzę krwi przelewania uciszyć, jeno by zwycięstwo wywalczyć przemocą uciśnionej stronie?.. czyż nie tak?..

BENYOWSKY (*siadając obok*): Owszem, panie markizie. I tym trybem dla wojennego rzemiosła duszę rozgorzeć można. Nie przeczę!

LAFAYETTE (*uradowany*): A więc? A więc baronie kochany. Ergo rzecz pryncypalna po czyjej stronie walczyć, I by przypadkiem choć w części nie pomódz do tryumfu podłej przemocyl szatańskiego okrucieństwa! nikczemnej chciwości (*wzruszony powstał*): A wy, baronie, chyba zdajecie sobie z tego po czyjej partji w niniejszej kampanji dziś... Opatrzność chojnie nikczemności wszystkich czasów i wieków zgromadziła... (*oddecha pośpiesznie, chusteczką się chłodzi*).

BENYOWSKY (*lekko powstydzony*): Ależ tak... wiem... wiem. Nie egzagerujcie się, panie markizie... Może wam to szkodzić...

LAFAYETTE: Dobrze... już dobrze... (*niecierpliwie*): Ale mówcież.

BENYOWSKY: Więc tego... więc ja uznaję taksamo, że cel walki rzeczą pierwszą!... że tego... że cel nie uświęca, to jest, że środki nie uświęcają celu, alias, że walczyć na służbie tych, co tyraństwo niosą, nie... tego... nie jest wskazanem. Atoli... atoli widzicie, panie Lafayette, dla mnie główna sprawa.. główna, by z moich postępów rycerskich sława opromieniła moją ojczyznę... o! Nawet nie baczę, gdzie walczę, byle ojczyznę splendorem to okryło.

LAFAYETTE (*stając przed nim, lekko kpiąco*): Którą ojczyznę, baronie Benyowsky? Madagaskar?

BENYOWSKY (*zdziwiony, aż cofnął się w fotelu*): Jakto Madagaskar?... Skądże Madagaskar?..

LAFAYETTE (*mocno*): No którą ojczyznę, ja was pytam baronie! Wczoraj jeszcze tu na tem miejscu (*wskazuje*) tłumaczyliście mi przecież, że ojczyzną waszą cały świat!

a rodakami wszyscy ludzie porówno. Japonowie, Madagaskarzy, Węgry! Polacy także.

BENYOWSKY (*wymijając*): Nooo tak... Wczoraj!.. I to w innym sensie było...

LAFAYETTE (*stając znów*): Więc Węgry, czy Cesarstwo?...

BENYOWSKY: Nie! Skądże... Mą ojczyzną przybraną Sarmacja! Polska! Nieszczęśliwe Królestwo, po które dwugłowe poczarne orły wyciągają swe szpony drapieżne.

LAFAYETTE: A więc! A chyba! sława na pańską przybraną ojczyznę nie padłaby z tego, gdybyś nawet odznaczył się najnieśmiertelniej przy partji tych, co tyranstwo świata niosą! Tylko hańba. Nieśmiertelność, ale hańby! Wstyd! Wstyd niezmazany nigdy niczem (*oddecha ciężko, aż dech utracił*).

BENYOWSKY (*zakłopotany*): Ależ tak, tak... Nie przeczę... Ale nie egzagerujcie panie markizie... Lekarz wskazał wam spokój!... A wy się tak unosicie... I bez przyczyny (*urażony*): Boć przecież nie do Londynum pojechał i nie dałem się wynająć jak Knyphausen... Mindorf czy inni! ale tutaj do was! I tu o libertas americana walczyć zamierzam przy boku Waszym i Pułaskiego (*wskazał na drzwi z lewej*).

LAFAYETTE (*zbliżając się doń, serdecznie rękę lewą wyciągnął*): Tak... tak... Więc!.. wszystko dobrze! Wybaczcież kochany baronie! Uniosłem się nieco... ale bo też niebaczenie powiedzieliście rzecz, która mnie do żywego ubodła,—a umarłych by z grobu indygnacją wstrząśniętych ruszyła (*siada z powrotem, powoli*). A zwaźcież, że to usłyszeć mi przyszło z ust kawalera, dla którego żywię admirację niepomierną. Zwaźcie, że jako młodzieniaszek pierwszy raz brał udział w dworskim ensemble przy tej właśnie okazji, kiedy to Jego Królewski Majestat Ludwik XVI wam ofiarował własnoręcznie szablę honorową za wzorowe Madagaskarem rządzenie!.. Zwaźcie jaką na mnie impressją wywrzeć musiała wówczas sama persona barona Benyowskiego, legendami owiana.

BENYOWSKY (*łagodniejąc, spokojnie*): Dobrze, już dobrze... Ale wy znowu zważcie, panie markizie, w jakich to okkazjach mnie obecnie znajdować się tu przyszło... Jako sam nie wiem teraz, co począć ze sobą. Wałęsam się po tej Ameryce z kąta w kąt jak Marek po piekle... (*wstaje, rękami włosy mierzwi, spaceruje*). Dopóki Kazimierz był generalissimusem jazdy regularnej, jam jeszcze miał szanse, że mi moją plantę Legionu wolontarjuszów kongres zatwierdzi...

LAFAYETTE (*zamysłony*): Tak... tak... Nie przeczę. Jest kolizja teraz! Jest...

BENYOWSKY. A jest i wielka... Rok temu będzie, jak mój memorjał wniosłem. Odsyłali od Annasza do Kai-fasza, od Hamiltona do Dickensona. Deliberowali nad nim miesiące. Jam tymczasem bijął się w skromnej randze jako porucznik to pod tym i owym. Ale wreszcie powiedziałem sobie już dosyć. Tak się dać despektować dalej nie mogę... I znów jałem szturmować z moim memorjałem. I już, już, już miałem nadzieję, że mi Legjon zatwierdzą, kiedy...

LAFAYETTE: Kiedy się dowiadujecie, że Pułaski z naczelnej komendy się demissjonuje i

BENYOWSKY: Ano właśnie... Że się Pułaski demissjonuje i że jemu zatwierdzają w kongresie jego dawniejszy plan Legionu towarzyszków pancernych.

LAFAYETTE (*zaciekawiony*): I teraz jak rzecz stoi?... (*wesoło*): Będąli może dwa Legjony?...

BENYOWSKY (*przeczy energicznie*): A nie! Jam ustąpił oczywiście. Przecież nie mogę z Kaziem konkurować... Familjant mój, to jedno, a powtóre jam sobie condotierre, landsknecht czy jak tam, a Kazio hetmańska dusza, wódz urodzon... Nadto francuską szkołę ma... francuską wojenną dyscyplinę!

LAFAYETTE: Tak! tak... zna się na swoim, zna... Aleć to bardzo szlachetnie z waszej strony, baronie, żeście tak abdykowali z miejsca!.. bardzo!..

BENYOWSKY (*ramionami wzruszył*): Nie mogło być

inaczej... Zaczem atoli nie wiem teraz doprawdy co z sobą mam poczynić. Myślałem przyłączyć się do dywizji Arnolda...

LAFAYETTE: Arnolda? Aha. Jenerał Arnold dostał obronę West Pointu, prawda?...

BENYOWSKY: Tak... Nie lubię pracy w twierdzy... Aleć zawsze! Tam Kościuszko! Myślałem przy nim zagrzać miejsca. Teraz znowu ciągnie mnie, żeby pod starym Lincolnem iść na południe!

LAFAYETTE: Pod Savannah? Tak? To tam Lincoln? Niewiem już dokładnie teraz co gdzie... Ten miesiąc gorączki nie pozwolił mi wiedzieć o wszystkim.

BENYOWSKY: Tak... Tak, drogi markizie! Lincoln idzie odbierać Savannah... Charlestown jeszcze w naszych rękach, ale wogóle tam nieświetnie... oj, nie...

Koło okien z zewnątrz przechodzi jedna z siostr. Jest w białym kornecie, z pękiem różyczek za paskiem. Siostra Angelika w rękach trzyma szklanekę i flaszczykę z lekarstwem.

BENYOWSKY: Wszystka nadzieja w sukkursie admirała d'Estainga. A flota podobno już jedzie?...

LAFAYETTE: Podobno już... ale dokładnie, kochany baronie, nie wiem. To wiem tylko, że skoro cokolwiek, cokolwieczek sił mi przybędzie, wraz jadę do Francji, by rząd Królewskiej Mości przynaglać... przynaglać... Choć tutaj teraz biednym Amerykanom wszystko idzie jak po grudzie, nadzieji nie tracim, że Fortuna do nas się odwróci... Honor Francji wchodzi tu w grę!... Narodu zasię, który walczy o wolność, Francja nigdy nie opuściła i nie opuści! Wierzysz w to chyba baronie Benyowsky?

BENYOWSKY (*wyciągając ku niemu obie dłonie*): Wierzę panu, markizie, (*drżącym głosem*) Jak wierzę w Boga! jak wierzę w jasność słońca, w ciemność nocy...

Adolf Nowaczyński.

NA TRAKTACH.

S stał jasny dom słońcem wiosennem rozświetlony, wśród białych brzoź, parę sosen olbrzymich przeglądało się w wodzie sadzawki, na nich dla szpaków pawieszono ma-lutkie z drzewa chateczki. Więc wylatywały w świat sło-neczny czarne ptaszki, — a stada całe ponad runią zieloną krażyły.

Na ścieżce do oficyn kroczyły poważnie gołębie, zaś szeroką między rowami drogą, od gumien, wracały w każde południe małe oswojone dziki; Dog, urwawszy się po raz setny może, z lekko uwiązane go łańcucha przy stajni, biegł ku pastuszcze w podskokach; na werendzie rozciągnięty le-niwie wyżeł chrapał i otwierając czasem krwią nabiegłe oko, z ukosa gołębie śledził. Opodał na wzgórzu, za sadem owo-cowym, wśród parku lip prastarych widniał zrab pradziadow-skiego dworu, potężnego, zczerniałego, jak leciwym siedzi-bom przystoi—co wsparłszy się na białych kolumnach, wieki przetrwać potrafią, oglądając wnuków — wnuki...

Za łąką wodami zalaną, w bok od ostrowia legła wieś-miasteczko z murowanym kościołem w pośrodku i paru ży-dowskimi sklepami:

... Łyskał na wieży krzyż w słońcu...

... A w jasnym domku, przez ogromne tafle szkła, bie-gły promienie na jasne ściany, na jasne meble, — migotały w okuciach, odbijały od luster, od złota ram, kładły się na taflach szklistej posadzki, poprzez haftowany stor przedostały się na obrus jadalni — krwawą plamą się układały.

— Jakie dziwne czerwone światło!

— To gdzieś, od wojennych chyba pożarów.

— Czyżby to dla nas zła wróżba?

— Gdzie zaś... tak daleko... nim do nas zajdą, tyle fortec paść musi.

... A Bug?

— Jednak pamiętasz?... kometa... najstraszniej o tem starzy ludzie mówią. I kukułka na głód, przed rozpuszczeniem krzewów, kukać poczęła — teraz się śmieje, a pono śmiech tak wczesny kukułki nieszczęście zwiastuje...

— Ludowe podania...

— Jednakże... ot znowu się śmieje — chodźmy posłuchać. —

Wyszli młodzi, Pan i Pani, drzwiami szklannemi, wśród tulipanów rozkwitłych stanęli, do nóg ich, łasząc się, wyżej przypadł, od łąki powiało zapachem mokrej, rozkwitającej przestrzeni, zakolysały wierzchołki poważnych sosen, a gdzieś za sadzawką, wśród słonecznych brzoź, kukułka ze śmiechu konała...

...

Szły miesiące, wieś pracowała: orano, siano, żęto, zwożono, stały pełne stodoły,—rok nieźle dopisał, zasobnie było. Dwór maszyną część zboża wymłócił, sterty słomy zaległy podwórze, jeszcze gnieniegdzie rdzawił się owies na polu, falowały ciemniejące łodygi kartofli. Mijały znojne dnie letnie, — setki bocianów zjawiły się nagle na łące. Zdziwiono się — na odlot było zawcześnie; — z głośnym klekotem umieściły się na dachu jasnego domu, na oficynie i stajni... Drogi zapełniły się furami, bydłem, ludźmi dźwigającymi manatki — mówiono o wysiedlaniu, z oddali szedł głuchy głos jednostajny — armaty grały...

Pan przyjechał z poblizkiego miasteczka.

— Źle jest, panika straszna, — przez chmary uciekinierów przedostać się trudno, zawiązuje się komitet niosący pomoc tym biedakom, nędza wśród nich niewysłowiona, — choroby. Mogiły sterczą przy drogach, — mrą starcy i dzieci masowo.

— Koleje przestają kursować, — ostatni już wyszedł pociąg na wschód. Nad cichą wsią litewską ukazują się aeroplany, — zdumione chłopstwo szeroko otwartymi oczyma lot ich w przestworzu śledzi. Suną się wojska, jedne pędem

przelatują po traktach, inne przez godzin parę, odpoczywając, rozłóżą się po wsiach i dworach; — szukają wody, gdyż jesień sucha — schną studnie...

Zjawiają się szpitale, siostry miłosierdzia w białych kwe-
fach — lekarze i ksiądz prawosławny przy każdym — ran-
nych chwilowo niema.

Dwór, zebrany na ganku starego domu, słucha opowia-
dań naczelnego doktora!

— Uchodźcie! — myśmy smutna konieczność — idzie-
my środkiem — przed nami tłumy uciekających — za nami
pożary, i nie ostaje nic prócz zgliszczy.

Smutek i pewna niewiara na dusze mieszkańców się
kładzie, jakgdyby ktoś stare mythy barbarzyńskie ze snu
wiecznego, do życia budził, dla siania trwogi.

Uciekających coraz więcej, noc i dzień dudnią drogi —
nad nimi płynie pasmo szarego kurzu.

Opowiadają ludzie dziwy.

— Czerń grabi — na sztychy bierze!

— Uchodźcie.

— Boże! Boże! co robić?

I idą szeregi twarzy bladych, zmęczonych, ogłupiałych
bólom, — tem co widzieli i tem co przeszli, runęło im w ni-
wecz wszystko czem żyli — i co kochali.

I idzie za nimi krok w krok niepewność jutra — głód
i nędza.

Ani wiedzą kędy kości swe w mogiłę złożą.

— Czyż z niemi pójdziemy?

— Dokąd?

Armaty grzmiają coraz głośniejsze — bliżej... wieści płyną
coraz trwoźniejsze.

— Wypędzono tam, i tam, i tam sąsiadów waszych, —
błąkają się teraz w zastępach wychodźców, spychani z dróg
przez przelatujące wojska, aż pod granaty trafiają.

— Uchodźcie póki czas!

... Więc w kufrów kilka wkłada się trochę rzeczy, pa-
miątki drogie, z pokolenia w pokolenie idące, podjeżdżają

fury, powozy, ładuje się na nie, to co się za wszelką cenę uratować pragnie, i w drogę, przed siebie, w świat...

W Imię Boże — z tym skurczem płaczu co wewnątrz duszy powstaje, zaś na obliczu maskę z kamienia przybiera.

Na błota droga wiedzie poprzez rzekę, na którą, wobec nawały ludzkiej zarzucono pontonowe mosty. Rzeka ta, córka Polesia, leniwie legła wśród łąk błotnych, grzązkich, pełnych zasadzek, topieli — jedynym przejściem dogodnym, to szosa i po obu jej stronach ławica piasków. Tędy szły nieprzebrane zastępy uciekinierów zdemoralizowanych głodem i chłodem, w dzikie zamienionych hordy—tędy na wschód zdążyło dwoje młodych, tak szczęśliwych do niedawna ludzi...

Gorączka ich opanowała wśród tego mrowia ludzkiego, jechać byle prędzej, byle dalej, — gdzieś, aby nie widzieć tych bolesnych twarzy, obdartych postaci — a jednak wycofać się z szeregu było ponad siły ludzkie. Natężoną uwagą z pomocą napotykanym kolumn obozowych udawało się czasem wyprzedzić o jedno przęsło łańcuch wysiedleńców; płynęły godziny, sunięto wolno obozem, wszelkich sił dokładając, by ich nawała nie potrafiła rozdzielić. Przebyto most, tam już od traktu oddzieliła się droga co w błota wiodła i szła samotna wśród paru wzgórz piaszczystych aż het, groblami w łąki i lasy.

Krok za krokiem leniwie brnęły konie w piachu, zapadając po pęciny swych strudzonych nóg. Panowała w około cisza senna, w której zda się duch ludzki kona i tylko chwilami huk daleki myśl ku smutnej zwracał świadomości.

O którejś wreszcie godzinie zabłysły tonie jeziora, droga poszła brzegiem, poprzez wieś, do dworu na półwyspie rozlokowanego, zawidniał stary litewski dom, stary lamus, oficyny, stuletnie drzewa...

Tu w ten kraniec zda się świata, nie zajrzy chyba nikt, ani nikomu tędy droga — zaś dalej, prócz błot bezbrzeżnych, zgoła nic...

Więc może spokój?...

Na widnokregu, dużem półkolem, od zachodu i południa co noc ukazywać się poczęły łuny krwawe, dniem dymy siwiały, grzmot coraz się zbliżał, aż pewnego czasu zadzwoniły szyby w oknach, zadrżała ziemia. W mieszkańców wstąpił strach, więc runął spokój, niby słup piasku lotnego.

— Nie jest-li to bezpieczne miejsce pułapką bez wyjścia? — stańło trwożne pytanie — co począć? drobne dzieci są z nami...

Narady co czynić trwały bez końca, wnośliły chaos, sen odejmowały, drzemano jeno, mając stały huk w uszach i różnić przestano, gdzie się sen kończy a zaczyna jawa...

Nie umiano usiedzieć na miejscu, oczekiwano na coś, co się wnet stać ma — groźnego, tamującego dech piersiom. Niepokój rósł...

Nakoniec młodzi jednogłośnie pomysleli:

— Wyrwać się ztąd za wszelką cenę!

Żegnano się z niemi jakgdyby na życie całe, lecz nikt nie umiał powiedzieć, gdzie jest szaleństwo: w ich jeździe, czy w starszych trwaniu?

Jechano w milczeniu — szły siostry bliźniacze godziny, nieprzerwanego grzmotu pełne. Szlak początkowo pustym był, uprzątniętym na przemarsz wojska, aż wjechało w dziedziniec dworu, pełnego zgiełku uciekających ludzi, spędzono bydła, białych bud na furach tułacznych.

Pałac sztab zajął, w ogrodach biwakowali żołnierze.

... Powiedziano im o spaleniu gniazda rodzinnego, wsi całej, kościoła...

Zimno poszło po kościach, zawarły się jakieś drzwi nadziei, — jak prędko i łatwo przyszło wyzwolenie z ciężącego zmorą oczekiwania rzeczy strasznych, a nieuniknionych.

— Aha. Już się stało...

— Nie ominęło nas!

Wygnana służba przybyła z dobytkiem, stanęła w szeregach bezdomnych, tragiczny spokój fatalizmu wiał od tych postaci, daremnie narzucało się pytanie — zali ich wyjazd koniecznym? w ich biernem poddaniu była rezygnacja

śmierci, a przeciwko własnej niemocy, żadnego nie dźwignąć taranu.

Minęła noc długa, bezsenna, szły boje, nad pałacem turkotały aeroplany, huk nie milkł, przez telefon padały słowa komendy, krótkie, ważne w skutki nieubłagane. Wywoływano nazwy, miejscowości stuwiorstowej przestrzeni — którejś chwili młodzi posłyszeli rozkaz ostrzeliwania dworu swojego...

Zabiło boleśnie serce...

Nadchodziły wieści — jesteśmy w pasie bojowym, pomiędzy rzeką a lawiną zdziczałych wychodźców, odbierających konie, szczelnie zapelniających drogi, tamujących ruchy armji i narażonych na grozę wpadnięcia w ogień kartaczy.

Zatem pozostał wolnym odwrót w bok—ponad jezioro...

Kazano zaprzęgać.

Szybkim krokiem zbliżała się noc jesienna, gdzieś w dali zapaliło się jedno światło, poczem drugie, dziesiąte, szesnaste; rosły, olbrzymiały, w końcu zwartem koliskiem ogniste jezory w górę strzeliły, zalały purpurą horyzont, a w tej purpurze płały się niebo i ziemia...

... Krwią spłynęły łąki, we krwi unurzane szły konie, ku płomieniom, zdążyły, lub odbiegały od nich wraz z zakrętami drogi — i zdało się czasem, jako niechybnie w to morze ognia wejść ich przeznaczeniem, bo ono jedno trwa i trwać będzie po wieki.

W karecie ciemno było, tylko do szyby przyklepione te przerażone twarze...

— Mój Boże! Taki Twój świat wielki, a na schronienie miejsca niema... lecz usta już szeptały poddańczo: Fiat voluntas Tua.

I tylko była chwila trwogi, gdy nagle zachlupotały kopyta i konie po brzuchy w wodę zapadły.

To blask oslepił, więc w błota wjechało; paru gwałtownymi wysiłkami na drogę zwrócono, lecz przyłączyła się groza wywrócenia, zapadnięcia w grzęzawiska, boleśnie napięła nerwy i już towarzyszyła do końca.

We dworze ponad jeziorem czas jednostajnie płynąć począł, do huku przyzwyczajono się wkrótce. Panowie karciane stoliki rozstawić kazali, panie robótki wzięły do ręki. Przesiadywano też godzinami na ganku, spoglądając w lukę drzew, kędy błyszczało jezioro, zaś nad niem strzeliste pękały szrapnele.

Pewnego ranka przyniósł ktoś wieść:

— Jużeśmy poza linją — jesteśmy ocaleni!

Z serc usunął się ciężar gniotący, błysnęły radością zrenice, dusze radeby hymn wznieść ku niebu dziękczynny...

Nagle zgiełk powstał — Wieś się pali i folwark!

Wieś w ogniu stanęła. Ratowano ją, — pożar zatrzymano w połowie. — Lud bajdy prawil o kozakach przebranych. Nikt prawdy dojść nie mógł. Wieczorem weszli Niemcy, lecz po dniach paru cofnęło się wojsko, radząc mieszkańcom wyjazd do miasta:

— Za chwilę mogą tu zostać jeno zgliszcza, gdyż wojna płomienistemi zgłoski znaczy przejście swoje... a kto wie — czy ten co stąd w porę nie wyjdzie, odrazu w grób się nie położy?

...

Zaopatrzone się w glejty, żywność dla siebie i koni — ruszono. Posuwano się powoli, długim korowodem, szlakiem piąsczystym, na którym kule potworzyły moc dziur i wyrw ogromnych; fury z rzeczami spiętrzonemi w wielkie góry opóźniały pochód—raz wraz, leciało przeciągłe wołanie:

— Stóóój, Czekaaj.

Zatrzymywano się, gorączkowo pytano:

— Co się stało? Dlaczego stoimy?

Z ust do ust padała odpowiedź.

.... fura się wywróciła! panowie na pomoc biegli i wkrótce szedł głos:

— Jechaaać.

— Nie marudzić! nawoływał przewodniczący — niebezpieczeństwo nad nami—jechać dalej.

W tyle za wzgórzem, łuny zostały.

Noc przyszła czarna, bez gwiazd, ni księżyc, latarni nie wolno było zapalać, aby nie ściągać na siebie uwagi, nikt bowiem nie wiedział o miejscu rozlokowania obu armii.

Jechano omackiem — nagle za sobą posłyszano tentent i głos komendy:

— Usuwać się z drogi!

Wjechało na pole o wysokich zagonach, fury wywracały się jedna po drugiej, a drogą, przeciągały w sześć koni zaprzężone armaty. Konie—olbrzymy zapadały w piach dysząc ciężko.

Długi był szereg.

To artylerja dążyła zajmować pozycje.

Przeszła, a nagle powiało szeptem zgrozy:

— Kolumnę ścigają kozacy. Co z nami będzie?

— Zawisniem na pikach, im nie wytłomaczyć.

— Na boki zjeżdżać, bardziej na boki. Może przeleczą...

Usłuchać rozkazu nie było sposobu, zagony ciągnęły się wazkie, nierówne, rwane rowkami, ot zwykle pole chłopskie, a ciemność zdawała się rosnać...

Nie uciec już.

Gromadka rozbitków czuła się zwyciężoną, ujrzała siły swe nikłe, mdlejące, niezdolne steru ocalenia w swych dłoniach utrzymać—zahuczał w głowach wir myśli oderwanych, bezpłodnych, i tylko przez zaciśnięte wargi wyrwały się trwogą przesiąkłe modły o zmiłowanie Boże....

Stano w miejscu—czekano—śmierć miano w duszy.

Zapanowała cisza—trwała...

W czerń nocy wbito wyczekujące oczy.

— Gdzież kozacy?

Głucho wokoło.

— Niema ich!

Promyk nadziei... niepewny... drżący... tli...

— Niema!

Promyk rośnie — drga radością...

Niema ich, więc skąd wieść powstała? — nie wiedział nikt. Zawrócono na drogę z powrotem, okazała się jednak za bardzo granatami pobita, ujechano niewiele. Trza było switu doczekać.

Zgromadzono się na łączce wielkim kregiem — odpoczywano. Od jednej z fur przyszła wiadomość: konia luzem idącego odcięto, — lecz nie wywarła wrażenia, znużenie ogarnęło bezmierne, rozciągano się na zimnej, wilgotnej ziemi, zabójczy chłód, czy zdenerwowanie, przesiąkał do głębi zbolałych kości, okrywano się futrami, derkami, kocami...

— Jeden pocisk i po nas! — zrobił ktoś uwagę, która minęła bez echa, stępieła wrażliwość. Anioł snu ulatywał nad uchodźcami i czuwał...

Ledwo błąd świt zabarwił nieco niebios, zaszarzała w mroku ziemia, — tułacze dalej ruszyli, a droga tak była ciężka, iż kresem ludzkich sił się zdawała. Jechano przez kraj pustylny, wśród zgliszcz, traktami porytymi jakby przez stada dzików-olbrzymów, gdzie ani jeden słup telegraficzny, ni jedno nie ocalało drzewko. Jechano wśród nieustannego huku gromu, — czekając, rychło świsną nad głową szrapnele. Wleczono się od wsi do wsi, konając z pragnienia, a znajdując wyschłe lub naftą zalane studnie... I widziano nieporzebane pod lasem trup ludzki, a końskich trupów bez liku...

Przestworzem szedł wstrętny zapach padliny...

Chmara much dokuczliwych niosła się ponad końmi, zapełniała wnętrza karety, zrywały się one za lada poruszeniem, z wściekłym brzękiem uderzały o twarze, — rzucały się w oczy — kołowały warjacko, gdy je wypędzić usiłowano,

I widziano łany niekopanych kartofli, chleb rozczyniony a porzucony i schnący w dzieży, — w stodołach snopy zboża na poły młóconego. Przez ziemię tę przeszedł dech zniszczenia i zmiótł z obszaru jej wszelką istotę ludzką na gle, a niespodziewanie.

Nocowano gdzie się zdarzy, po opuszczonych chatach chłopskich i stodołach, a gdy te nocy którejs już przepełnione wojskiem zastano, — ułożono się na derkach w nieoczy-

szczonej obórcie, obok rozłożonego na poły trupa końskiego. W obojętność bowiem zasklepiła się niedola, która ani się skarży, ani litości pragnie. Pewność niechybnej śmierci owładnęła myślami. Dziś, jutro? — wszystko jedno, byle się umyć, jak od dziecińczych lat się zwykło...

Przyszła jednak chwila rozpaczy, gdy przechodząca węgierska kolumna zażądała zamiany ich koni, na swe beznoogie szkielety. Wielu łzami uratowano kilka par powozowych, więc jeno, kiedy już fury z rzeczami nadażyć za nimi nie mogły, otworzono kufry, wyrzucając dla ulżenia ciężaru, drogie pamiątki, a zostawiając tylko z pośród najdroższych — najdroższe.

Ze smutną rezygnacją wyzbywały się tych resztek ręce starszych wiekiem, krwawiło serce, a oczy mówiły boleśnie:

— W tem życie nasze było, wydzieramy z niego obecnie rok po roku, dzień po dniu...

Obozowano odtąd dniami po lasach i łączkach, u bocznych, poprzecznych dróg — wśród okopów, a często i mogił bezimiennych bohaterów, nocami puszczano się dalej w podróż, mając niekiedy po obu stronach szosy rozpalone ogniska kolumn obozowych. Żołnierze tęskny śpiewali śpiew o ojczyźnie odległej, zaś synowie tej ziemi opuszczali ją jutra niepewni, prosząc Boga o siły i zmiłowanie nad nimi.

I były po szosach zwały kamieni ciężkie do przebycia, mosty klecone naprędce obok poprzednich sterczących groźnie opalonymi szczątkami, mosty o karkołomnych zjazdach, przez które konie przeprowadzano w rękę podtrzymując co sił, chylące się nad wodą, powozy.

I były chwile gdy konie głodne i niepojęne posłuszeństwa odmawiały, więc w braku obroku cukrem je karmiono i znalezionym workiem grochu.

...był ranek wesoły. pogodny, w którego złotawym świetle z aeroplanu bombę rzucono, zabłysła w blasku słonecznym, o kilkaset kroków upadła, szkody nie czyniąc...

...bo zdala od nas, w górze, ponad rozgwarem życia, myśl Boża wydaje rozkazy, skraca lub przedłuża dni nasze...

Przejeżdżano przez ruinę miast, gdzie tyfus a cholera się rozwieliżmożniła, zabierając te resztki ludności, co się zostały, wśród mieszczan i żydów... ujechano bowiem wiorst setki półtorę, ujrzawszy raz jeden jedyny, wedle chałupy w ziemię wrosłej, sędziwej jak on—ślepego dziada, wieśniaka, samotnego na ziemi braci swej.

Jakoś w połowie drogi ostawiono resztę wozów, których konie-szkielety nie zdołały dociągnąć. Głód dokuczając poczynał, zabrakło chleba... gdy dojechano do pierwszych wojskowych pociągów, komendant ujrzawszy nędzę ich i zmęczenie, wagony do Warszawy obiecał i skrzynkę wojskowych przysłał zapasów. Przez dwa dni oczekiwania na pociąg, rozlokowano się po opuszczonych domostwach żydowskich.

Umyto się.

W domkach szyb brakło, czasem całych okien i drzwi, a brudy i kupy śmiecia wnętrza zaległy, dając przytułek wstrętnemu robactwu.

Minął dzień jeden, noc i ranek, drugiego wieczoru powiedziano im:

— Jutro wyjedziecie.

Zakołatały serca, zerwano się przed świtaniem, przebyto śpiesznie przestrzeń do spalonej stacji wiodącą i tam, na wichrze smagającym zewsząd, rozrzucającym wściekle po zgliszczach pierwsze jesienne liście, w dzień szary, chłodny, do wieczora na pociąg czekano, ogrzawszy się jeno nieco zupa, z kotła litościwych żołnierzy.

A potem — przyszła chwila żalosego pożegnania wiernych koni, rannym przeznaczonych;—łzy spływały—grzebano niemi okres życia, pracy na łanie. Ostatnie ogniwa sprzęgające z przeszłością, te hodowane miłośnie konie, w świat szły, jak oni sami—na los niepewny—na tęsknotę—na przedzę cierpień—zawodów...

Ha! może na jasny promień nadziei...

Ory Jelska.

Z CYKLU „PIERROT MOURANT”.

„PIERROT IDZIE W ŚWIAT”.

Kwiatusków naszych barwny sad,
Pokrywa lśniący, zimny szron,
Co bezlitośnie wszędy siadł
Dokoła pustka — cisza — skon...

U twego okna zmarłych krat
Miłości pada zwiędła kiść
Odchodzę oto kędyś w świat —
A nie wiem kędy, gdzie mam iść...

Zamarzło biedne serce mi
Com na kaftanie nosił wciąż:
Teraz kryształkiem lodu lśni,
Zanim je stopi promień-waż...

Idę założyć wielki kram,
W próżnej ludzkości zadać miech
Idę sprzedawać tylko kłam —
Idę kupować tylko śmiech...

Nie śpiewaj nic, nie kochaj nic,
Gdy wieje wiatr i niesie kurz,
Aby nie opadł puder z lic,
Aby się nie zwał blansz i róż...

Tadeusz Frenkiel.

NA STAREM MIEŚCIE.

W niedzielę dnia 1-go sierpnia 1915 r. o godzinie pierwszej w południe deszcz spadł rześisty.

Z kamienicy książąt Mazowieckich wychodziła o tej porze jedna z tych tłumnych zbiorowych wycieczek, jakimi od lat kilku roi się Stare Miasto. Szkoły, Towarzystwa, obcy podróżni, pragnąc uczcić sędziwe pamiątki, składają pokłon murom najbrzemienniejszej we wspomnienia dzielnicy.

Ulewa zatrzymała pod okapami i wykuszami starych domów gwarne rojowiska. Rozpostarto parasole i czekano końca deszczowej nawały.

Atoli od strony jednej z wązkich bocznych uliczek zagrzmiała orkiestra.

W takt marsza z „Melodji polskich“ szły pułki rosyjskiej konnicy. Z Bielan na Pragę przez most Kierbedzia wymaszerowywało wojsko; niezliczony poczet strojnych szyków w pełnym rynsztunku bojowym.

Wytworni oficerowie w płaszczach i kapturach na czele każdej rotы komenderowali pochodem.

Jakby rozszerzyły się nagle wązkie staromiejskie zaułki pod naporem fali, która w nie waliła. Bezbrzeżny ocean łbów końskich, szarych czapek i szyneli, chorągiewek ułańskich, pik i dzid kozackich zalał szare gościńce. Tętniły po mokrym bruku kopyta, przepływały ginące w oddali odgłosy bębnow, trąb, piszczałek, rozpoczynających odwrót. Strzelały w przesycone wilgocią powietrze capstrzyki żołnierskiego chóru, zawozone na rozkaz konnych przywódców. Wymaszerowywało w takt śpiewu i muzyki wojsko rosyjskie. Przeprowadzały je wzdłuż ciasnych uliczek gromady podrygujących wyrostków i dzieci. Patrzyły na nie ciche mury wiekowych kamienic: wykusze i blanki, attyki i smukłe stare kominy, odrzwia, ostrołuki sklepień i gmerki, które, gdyby

mówić umiały, stałyby się żywą kroniką polskich przełomów; tyle klęsk i radości, upodzeń i nadziei, podniet i zwątpienia przeżyły od godzin chwały, aż po dobę upadku narodu: serce, dusza miasta, skarbiec zadumy...

Zaroilo się w oknach od oczów ciekawych, które śledziły odchodzące pod znakiem wymuszonej radości wojska; rósł tłum w rynku i pod murami zatłoczonych chodników.

Serca były oczekiwaniem: „co będzie“?... Czaiła się trwoga przed widmem dni nieobliczalnie groźnych, które już szły na kraj łuną pożarów, rumowiskiem zniszczenia, czarnymi trzonami zgłiszcz i—tylko jakby umilkły dziś, w tej zwale szarości, pod całunem ulewy, obejmującej niebo i ziemię jednym buraganem łez.

Płakała dola Polski—szara pokutnica, wleczona po rozstajach własnych win i grzechów; płakała dusza narodu, shanbionego możnowładczą anarchją; płakały cienie „sterrozyzowanych nierozumem“ przodków; płakała przeszłość: dostojna i nikczemna, harda i tchórzliwa, rycerska i małoduszna, płomienna i zgaszona, jak unurzany w kałużach krnąbrnej lekkomyślności kaganek. Płakał polityczny „irracjonalizm polski“: fantazja, kaprys, łatwowiernie bałamucone uczucie. Płakało sto lat niewoli w męce katowanego słowa polskiego, gilotynowanej myśli narodu, odartego z prawa kultu własnych pamiątek. Płakała krew, przelana w obronie ojczyzny i krew, sączona przez wroga za wiarę w Polskę. Płakało kajanie się wprowadzonych na drogi poznania uświadomień i—niemoc doraźnego odrodzenia wewnętrznych i zewnętrznych strażnic bytu narodowego.

Płakała dola polska. Szarym całunem rozpostarły się nad ziemią łzy.

Ale—skroś nich świtało, jak blizki już ranek po odmętach nocy.

Wojska rosyjskie odchodziły. Śpiew, muzyka, miały zagłuszyć grozę chwili, zamaskować zwycięstwo germańskiego wroga. W radosnych swych fanfarach jednak były, jak srom duszy, która giestem swawoli usiłuje zasłonić bezwład swój

i—kłamstwem domniemanego tryumfu żegna porzucane placówki.

Odchodziły wojska rosyjskie. Zawrą się za nimi na zawsze wrota gwałtów dziejowych, bo... przeszłość nie wraca, a w krzyżach Golgoty tkwią wskazówki przyszłości.

Odchodziły wojska rosyjskie. Zapadało w czeluście dokonania jedno wielkie ogniwo martyrologii rozerwanego w sobie i bezbronno narodu. Ginęły dzieje carskiej przemocy, kozackiej samowoli, administracyjnych wyroków. Ginał zwierzęcy despotyzm w podeptaniu praw człowieka. Ginęła poniewierka i srom stuletnich rządów satrapy. Ginał niszczycielski dech wschodu. Ginęło wszechwładztwo barbarzyńcy, który napawał się szalem inkwizycji swoich i lubował w aktach, ślepej dokuczliwości. Ginał jeden—może już ostatni—etap męki, doświadczeń, pokutnych szlaków Łazarza narodów.

Łzami ulewy płakała dola Polski.

Ale — skroś rozmokłej szarości przebłyskiwał świt nowych przeznaczeń i dopełnień.

Czeka ich—ze szczytu ogrójca swego — Król-Duch Piastowy.

Cecylja Walewska.

URYWKI Z PAMIĘTNIKA.

5 — VIII — 15.

W przededniu zdobycia Warszawy, przechadzając się w Łazienkowskim opustoszałym parku, wśród umajonych trawników, pod arkadami szeleszczących cicho w wieczornym wietrze, nakrapianych złotem i szkarłatem jesiennym drzew, przesiąkniętych o zapadającym mroku, melancholją przemijających rzeczy, puściłem wolny bieg my-

słom moim i zapuszczając je w daleką przeszłość, zapytywałem siebie w duchu coby też Królewski kochanek Wielkiej Katarzyny powiedział na wypadki historycznej doby którą obecnie przeżywamy. Kiedy przyjmował koronę z rąk ukochanych, jego subtelna i artystyczna dusza śniła nić tęczową cudownej baśni o ścisłym zespoleniu się dwóch wielkich szczepów słowiańskich. Nawet na ostatecznym wygnaniu nie przestawał jeszcze wierzyć w możebność tego zbratania się serc ludów. Dziś jego biały pałacyk w którym śnił marzenia miłości i sławy, odarty z wszystkich pamiątek, zaklęty w ciszy, stoi pusty i milczący jakby z niego uleciały wszystkie duchy przeszłości. Przez wysokie okna promień wschodzącego księżyca wślizguje się ukośno do balowej sali, budząc zamarłe echa wesołości i światowej gwary. Na świetlanej strunie jego zdają się drgać jakieś niewidzialne dłonie wydobywając z ciszy dawno przebrzmiałe tony Poloneza 3-go maja w takt którego serca całego narodu biją radością i nadzieją. A dziś cisza dokoła... jakaś trwożna, przejmująca, pełna lęku i zadumy... cisza w której zaledwie słyhać słabe, nieśmiałe tętno budzących się z grobu nadziei.

Biały zamyślony Faun i powiewna, a jak duch lekka Terpsychora strzegą milczących progów zaklętego pałacu, dokoła którego konary lip zdają się szeptać tajemnicze zwierzenia miłości serc dawno już w prochy rozsypanych, a chłodne, zielone nurty stawu kołyszą się cicho jakby pokrywały przepaść rozłąki i zapomnienia.

Tak, stoimy na zakręcie dróg, gdzie przeszłość zanurza się coraz bardziej, a przyszłość jeszcze bardzo mglisto i niewyraźnie rysuje się przed nami. Duch czasów porywa nas i niesie naprzód jak ziarno spadłego z drzewa owocu, które szuka podatnego gruntu aby zakwitnąć siejbą przyszłości...

Marja Morsztynowa.

WSTAŃ SŁOŃCE!

Witaj jutrzeńko swobody
jutrzeńko! za tobą zbawienia
swobody za tobą słońce!...

Duch wstał na trupie wody.
Duch dzisiaj rozplómienia
serca ze snu się budzące — — —

Witaj swobody jutrzeńko!
Życ chcemy, opuść nas męko —
Wstań słońce!!!

KU NIZKIM NĘDZY PROGOM...

Przez okrwawione — dzikie pola,
przez ugory nagie szła
i szczyrzyła zęby głodne
na łup — na zdobycz
Dola zła.

Ku niskim nędzy progom
z chichotem wichru w grudniowe noce...
z czerwoną mgieł pożogą...
ze śnieżnym deszczem jesieni...
ku niskim nędzy progom...

Staneła Dola zła w wilgotnej sieni
i czeka na zdobycz ubogą...
(w wilgotnej sieni wiatr do drzwi łomoce...)

O, życie bezbronne, sieroce,
o, biada, biada niskim nędzy progom!

Staneła Dola zła w wilgotnej sieni
ze śnieżnym deszczem jesieni...

Staneła... Z izby wnek
ozwał się szloch — ozwał się głuchy jęk
„Biada!”

Z chichotem wichru, z szumem deszczu wpada
w lęk mogilnego chłodu
krzyk: „Biada“...

W wilgotnej izbie matka zmysły strada,
w wilgotnej izbie — dziecko kona z głodu.

Znów gama rozpacznych bezprzytomnych łkań.
(To wicher grudniowy kołysankę gra)
..... Przyszła Dola zła
po zdobycz, po łup,
po bezcenną dań..

.....
.....
Kopią dziecku grób.

Henryk Juskiewicz.

BUDŻET WYDZIAŁU WOJNY KRÓLESTWA POLSKIEGO.*)

Na wiadomość, że ma być utworzone Wojsko Polskie, serca nas wszystkich zadrżały. Wszyscy jesteśmy potomkami rycerzy. Każdy z nas, nie mówiąc o dalszych stuleciach, miał pradziada, który walczył pod Kościuszką, lub w Legjonach; dziada uczestnika powstania listopadowego; ojca lub najbliższego krewnego, którego burza lat sześćdziesiątych, o ziemię powaliła.

Tylko niestety, nie każdemu z nas będzie dane stanąć w szeregach armii czynnej i służyć z bronią w rękę, tak jak mnie naprzykład, wskutek mego wieku. Rozmyślając właśnie nad tem, w osamotnieniu mojego gabinetu, błysnęła mnie myśl, że może na innem polu, na ławie Sejmowej lub jakiejś Rady Stanu, niejeden z Was może powołany będzie do służby publicznej — i pomyślałem sobie że takie wysokie zgromadzenie na pierwszym miejscu powołane będzie przez egzekutywę, do rozważenia:

- 1) ile też Królestwo tak zwane Kongresowe, może wystawić ludzi,
- 2) co takiego wojska formacja i utrzymanie kosztować będzie,
- 3) jak wogóle budżet tego Królestwa będzie trzeba do tej publicznej potrzeby przystosować.

Siadłem też natychmiast do biurka, ażeby na danych statystycznych zdać sobie dokładnie sprawę z tego przedmiotu, i jeżeli Szanowni Panowie pozwolą, w powyższym naturalnym rzeczy porządku, wynik mych zbyt pobieżnych może dociekań Wam teraz przedłożyć.

*) Przemówienie Rogera hr. Łubieńskiego na posiedzeniu Klubu Polskiego w Warszawie dnia 13 Listopada 1916 r.

Zanim jednak dalej w przedmiot mój się zagłębie, muszę wytłomaczyć się z materiału statystycznego, którym się posługiwałem. Przed 40 prawie laty, zabawiałem się pisanem pierwszej większej nieco pracy statystycznej i wtedy uderzony byłem, jak dziwnie dane statystyczne i cyfry, rzeczy na pozór tak suche i nieugięte, można przez właściwe zestawienie i ugrupowanie wyzyskać dla pewnego zamierzonego i z góry powziętego celu. Umocnił mnie w tem przekonaniu mój przyjaciel i kolega Sejmowy, znakomity statysta Otton Hrusner, który mnie pouczał, że w swoich pracach, starał się opierać tylko na urzędowych danych, jako jeszcze przeważnie najmniej stronnicych, bo robionych zupełnie bezmyślnie przez niższych urzędników. Dlatego dzisiaj za podstawę mojej pracy wziąłem po prostu Almanach de Gotha na rok 1914. Dane w nim oparte są na budżetach, składanych urzędownie parlamentom poszczególnych państw. Niewątpliwie muszą tam być niedokładności i naturalnie pewne urzędowe zatajenia, ale wskutek międzynarodowego charakteru tej publikacji, przeciętna musi być prawdziwa, a pewne sprawdziany danych, które potem zastosowałem, wykazują, że mniej więcej do szczerzej prawdy dotrzeć można.

Oczywiście, w poszukiwaniach moich eliminowałem wszędzie koszta marynarki, z którymi na razie budżet Królestwa Polskiego się nie spotka i opuszczałem setki i ułamki, ażeby na okrągłe cyfry tylko Waszą Szan. Panowie zwrócić uwagę.

Przystępujemy więc do odpowiedzi na pierwsze pytanie, ile Królestwo Kongresowe może dzisiaj wystawić wojska? Ażeby mózdz dać zasadniczą odpowiedź, trzeba by najpierw zapytać się, podług jakiego systemu ma być zarządzony pobór do wojska, czy *a)* na ochotnika, *b)* czy podług praktyki państwa Rosyjskiego, *c)* czy podług systemu naprzykład, państwa Niemieckiego, to jest ogólnej, powszechnej, obowiązkowej służby wojskowej.

Z góry wykluczam pobór na ochotnika, czyli dobrowolny, wolontaryuszów. Bynajmniej nie dlatego, ażeby schle-

biać lub zwalczać różnorodne zapatrywania lub rozbieżne przewidywania, ale wyłącznie dlatego, że cyfry mogące stąd wyniknąć nie dadzą się w żaden sposób ustalić i dlatego że ułożenie jakiegokolwiek preliminarza na takie nieokreślone liczby wojska, jest rzeczą przechodzącą siły każdej komisji budżetowej, a to jednak jest drugim zadaniem naszego dzisiejszego badania.

Także nie możnaby się zgodzić na system zastosowany w Cesarstwie Rosyjskiem. Tam cyfra poboru rocznego zależna jest od każdorazowego osobnego ukazu monarchy i potem rozkładana jest sposobem repartycyjnym, podobno mniej lub więcej sprawiedliwym, na pojedyncze gubernie czy okrainy, obłasti i gminy. Na rok 1914 kontyngens nakazany na całe Cesarstwo wynosił 455.000, co w proporcji ludności Królestwa do całego Imperjum, wynosiłoby 32.000 ludzi od nas do wojsk mających być wziętych.

Jedyny system, który możnaby zastosować, przy zmienionych warunkach ogólnych, a prowadzący celowo do wytkniętego zadania, jest pobór powszechny, tak jak jest wykonywany w cesarstwach centralnych Europy. Zbadajmy jaki byłby z tego rezultat.

Ludność Niemiec wynosi	64.000.000
pobór roczny wynosi	215.000

to jest $\frac{1}{3}$ jednego procentu ludności.

Podług tej samej skali weźmy pobór roczny z Królestwa Polskiego.

Ludność Królestwa wynosi	12.000.000
$\frac{1}{3}$ jednego procentu wynosi . . .	40.000

i to jest rzeczywista cyfra tego, co pobór jednoroczny powszechny w Królestwie powinien by dać.

Gdyby zatem teraz naprzykład, przystąpiono do poboru powszechnego, podług tego systemu, spotkano by się w kraju z materiałem rekrutów niepobrany w latach 1915 i 1916

czyli 2 razy po 40.000=80.000. Ale tutaj sędzę musi nastąpić pewna korektywa. Pewną ilość ludności, burza wojenna zapędziła przed uchodzącymi wojskami na wschód daleki. Druga część, nie znajdującą zarobku w domu, pognęła za chlebem na zachód. Trzecia część, wobec ogólnego zamieszania i niemożności ściślejszej władz państwowych tymczasowych kontroli, łatwo by od obowiązku tego potrafiła się uchylić. Tak że jeżeli powyższe 80,000 zredukujemy do 50.000, to zdaje mi się, że bez żadnej przesady, będziemy najbliżej prawdziwej cyfry ludzi, którzy dzisiaj pod broń powołani być mogą.

We wszystkich armiach Europy, stopa pokojowa różni się bardzo znacznie od stopy wojennej, nie mówiąc już o pospolitem ruszeniu. Tak naprzykład w Niemczech:

pobór roczny wynosi	215.000
wojsko na stopie pokojowej . . .	647.000
wojsko na stopie wojennej . . .	6.600.000

I u nas w Królestwie armia na stopie wojennej mogła by być większą, żeby nie to, że wszyscy rezerwiści do przepisanego prawem wieku, służąc w armii rosyjskiej, razem z tą armją kraj opuścili, i są nieobecni. A więc siłą rzeczy, armia w najlepszym razie, musi się redukować do poboru bardzo niekompletnego dwóch lat ostatnich, i wynosić może po koniecznych potrąceniach tylko 50.000.

Z kolei rzeczy, przychodzi drugie pytanie, co by ta armia kosztowała? Koszt utrzymania rocznego żołnierza pojedynczego wynosi w czasie pokoju, przeciętnie, w Rosji 300 rubli, w Niemczech 1.100 marek.

Ale inną jest rzeczą, utrzymanie roczne żołnierzy w czasie pokoju, gdzie wszystko od lat wielu jest przygotowane, budynki całe stoją, magazyny zapasów pełne, koszta hurtowymi kontraktami wieloletnimi, do minimum zredukowane, a inną zupełnie, postawienie na nogi korpusu armii, gdzie wszystko od a do z, trzeba sprawić nowe, i to po cenach wojennych tak niemożliwie wygórowanych. Tak {że znowu

stawiając hipotezę, iż wyekwipowanie całej armii i każdego żołnierza wynosić będzie przynajmniej dwa razy tyle co jednoroczne jego utrzymanie, to jest że każdy żołnierz zamiast 300 rubli będzie kosztować 600 rubli, a armia 50.000 — 30.000.000 rubli—sądzę, że będziemy chyba niedaleko prawdy.

Ale tu są tylko omawiane cyfry stworzenia takiej armii, koszta prowadzenia samej wojny, do innej już rubryki należą. Dokładnie zamknięte rachunki ostatniej wielkiej wojny światowej, rosyjsko-japońskiej, pouczyły nas, że przeciętnie każdy żołnierz, od chwili poboru do powrotu pod domową strzechę, kosztował 10 rubli dziennie. Jeżeli te same cyfry utrzymamy—50,000 armia, kosztowałaby dziennie pół miliona rubli, a jednoroczna kampania, w razie utrzymania, jej na ednolitej cyfrze liczbowej, przez wypełnianie ubytków w szeregach — 180,000.000 rubli, plus powyższych 30 milionów, razem około 210.000.000 rubli.

Trzecie pytanie, jakie postanowiliśmy dzisiaj zbadać, jest, jak mianowicie przypuszczalnie mógłby wyglądać budżet Królestwa Polskiego, w granicach Kongresowych z r. 1815. Należąc od 100 przeszło lat do Cesarstwa Rosyjskiego, stosunki Imperjum tego, musimy uznać za miarodajne:

Ludność Rosyi na rok 1914 podana jest	170.000.000
Budżet ogólny wydatków	3.013.000.000
Budżet ministerjum wojny.	550.000.000

Stosując powyższą skalę do Królestwa Polskiego, następujące cyfry otrzymujemy:

Ludność nasza wynosi ,	12.000.000
Budżet ogólny wydatków około	240.000.000
Ministerjum wojny, potrzebowałoby rocznie około	35.000.000

Szanowni Panowie! Pragnąc sprawdzić raz jeszcze czy moje obliczenia zgodne są z prawdą, postanowiłem wziąć jakieś państwo niezależne i porównać je z Królestwem Polskiem. Oczywiście nie myślałem o Portugalii, Belgji, Niderlandach, Norwegii lub Danii, ale wziąłem państwo z nami

ościenne, i pod wielu względami, w równych znajdujące się warunkach, to jest Rumunię. I tam, jak i u nas, są przestrzenie urodzajnych łąnów, przepaściste lasy, bogactwa mineralne czy to nafty, czy węgla, i ludność przeważnie kmiecia, rolnicza. I dziwnie te cyfry się zgadzają z tem co tu podałem, i czego możemy się u nas spodziewać. Cyfry podają zastosowane do powyższej skali naszej ludności:

	Rumunia	Polska
Ludność	8.000.000	12.000.000
Roczny kontyngens wojskowy	30.000	42.000
Budżet dochodów i rozchodów	536.000.000 fr.	300.000.000 rb.
Koszt utrzymania żołnierza rocznie	800 „	300 „
Koni w czasie pokoju w armii	25.000	37.000

Czy tę liczbę koni potrzebnych dla 50.000 w naszym kraju można by zdobyć, lub skąd je teraz sprowadzić, musi pozostać rzeczą niewyjaśnioną.

Rozważając wszystkie powyższe dane, dwa pytania dodatkowe, jako konkluzja rzeczy całej, domagają się usilnie rozwiązania i poważnej odpowiedzi. Pierwsze jest czy korpus 50.000 może odegrać poważną rolę i zaważyć na placu boju — drugie, czy budżet Królestwa Polskiego może znieść tak poważny wydatek.

Na pierwsze pytanie bardzo trudno mi jest odpowiedzieć, gdyż nie mam wyobrażenia o strategji, nawet jako ochotnik nigdy w wojsku nie służyłem. Przez analogję tylko mogę nieśmiało, odważyć się na wydanie pewnego sądu.

Przy dzisiejszych tak olbrzymich armiach, tak nikła cyfra zdawało by się musi zginąć w tłumach milionowych, przybycie lub utrata nawet takiego korpusu musi przejść zupełnie niepostrzeżenie. W roku 1812, kiedy stosunki były zupełnie inne, milionowa armia Napoleona I rozbitą została w wyprawie na Moskwę, a jednak Bóg wojny walczył jeszcze do bitwy pod Waterloo, a w roku 1870 pod Sedanem wzięto do niewoli 300.000 Francuzów, jednak aż do kapitulacji Paryża wojna nie ustała. W dzisiejszej wojnie, czytamy, że w Przemyślu wzięto 175.000 Austrjaków do niewoli, podobno iż Gen. Brusilow w ostatniej szarży na Wołyniu i wschodniej Galicji stracił 1.700.000, a wojska niemieckie straciły pod Verdun 250.000. Cóż wobec tych cyfr tak zawrotnych, może znaczyć korpus 50.000? Jedyne przypuszczenie które można zrobić, to że nie o pomoc wojskową idzie, ale o wrażenie moralne, tak jak Cavourowi nie zależało w r. 1854 pod Sewastopolem ażeby jego siedemnastotysięczny korpus piemontcki pod Gen. Lumonmora pomógł Anglikom, Francuzom i Turkom, ale ażeby mógł Cavour potem jako równy z równymi, zasiąść do stołu obrad Kongresu Paryzkiego.

Drugie pytanie jest, czy budżet Królestwa może tak poważny znieść wydatek. Jak już przekonaliśmy się, budżet Królestwa w dochodach i rozchodach, może się wahać pomiędzy cyfrą 240 i 300 milionów rubli, a wydatki na ministerstwo wojny wynosić około 35 milionów rubli. Nie ulega zatem wątpliwości że samo postawienie na stopie wojennej korpusu 50.000 wyczerpie odrazu cały kredyt roczny tego departamentu, a na prowadzenie wojny, muszą być zaciągnięte długi państwowe, których wysokość zależna będzie, od długości operacji wojennych i od łatwości zaciągania pożyczek.

Ale obok tego, bez żadnego pesymizmu, wypada bardzo poważnie zapatrywać się na tenże nasz przyszły budżet państwowy.—Cyfry powyżej podane odnoszą się do preliminarza na rok 1914, w którym tak Cesarstwo Rosyjskie jak

i Królestwo Rumunji znajdowały się w stanie zupełnego spokoju. Dzisiaj, i jeszcze jutro, i może pojutrze, Królestwo Polskie będzie w bardzo trudnem położeniu finansowem. Fabryki zamknięte, przemysł zrujnowany, handel zamarł, inwentarz przepadł, rolnictwo sterczy zgłiszczami spalonych domostw, rola wyjałowiona, ogólne zubożenie kraju jest wyraźne. Z drugiej strony, niezbędne nakłady ażeby gospodarka krajowa mogła ruszyć z miejsca, nie dadzą na siebie, ani przez jeden dzień czekać. Trzeba będzie sprawić cały materiał ruchomy na kolejach żelaznych, wybudować setki szkół, zająć się drogami krajowemi, niezapominać o szpitalach i zdrowotności publicznej, odbudować wsie, miasta, zakłady przemysłowe, fabryki broni, arsenały, fortece. O ile zdolność płatnicza podatkowa spadnie niesłychanie, o tyle podniesie się ogromnie suma rozchodów nagłych, koniecznych, nieodzownych. Szkic naszego bilansu może będzie się przedstawiać jak następuje.

Formacja wojska Polskiego; utrzymanie jego podczas wojny; długi państwa które *pre rata parte* będą na nasze barki przełożone; odbudowa i zagospodarowanie kraju; niedobory finansowe kilku pierwszych lat. Wchodzimy niestety w krainę miliardów.

Jak już raz miałem zaszczyt w tej sali powiedzieć, żadna ofiara z naszej strony nie jest za wielka, ażeby zdobyć napowrót całą i niepodległą Ojczyznę. Ta tylko między niektórymi z nas zachodzić może różnica, że gdy młodzi rwą się do szlachetnego boju ze ślepą odwagą, my starsi z całą rozwagą, i z pełną świadomością spełnimy nasz święty obowiązek, i gotowi jesteśmy iść naprzód.

Roger Lubiński.

LIST Z AMERYKI

HENRYKA SIENKIEWICZA.*)

*W wagonie kolei Oceanu Spokojnego,
w stanie Wyoming, na granicy Utah,
dnia 12 marca 1876 roku.*

Szanowna Pani! Postanowiłem sobie po spożyciu ostatniej okruszyny z czekolady Pani napisać do niej list dziękczynny. Otóż stało się to w drodze do Ogden, stacji leżącej w stanie Utah nad brzegiem Słonego jeziora, gdzie mieszkają Mormoni. Przedostatnią tabliczkę dałem na stacji Ketchum wraz z trochę tytoniu Indyjaninowi z narodu Sioux, za co czerwonoskóry pocziwiec oświadczył: „Brat mój jest wielkim wojownikiem, albowiem ręka jego jest otwarta, twarz jego jest blada, ale serce czerwone”. Potem zapewnił jeszcze przez tłumacza francuza, który umiał po angielsku, że topór wojenny między mną i pokoleniem, z którego pochodzę, a Siouxami będzie na zawsze pogrzebany i t. d. Otóż nie tylko czekolada Sz. Pani dostarczyła mi długiego i smacznego pokarmu, ale dzięki jej zostałem wielkim wojownikiem, o czym mi się nigdy nie śniło i zawarłem wieczyste przymierze ze szlachetnym narodem Siouxów. Przymierze to dla mnie tem jest cenniejsze, że u pasa wojownika, z którym rozmawiałem, wisiało kilka świeżo widocznie zdartych skalpów.

Wojowniczy Siouxowie, byli obecni w Ketchum, dla układów z zarządem kolei żelaznej. Bardzo mi się podobali i cała moja sympatya jest po ich stronie. Zato Amerykanie robią jaknajgorsze wrażenie. Cuda będę opisywał o nich w gazecie. Piszę teraz w wagonie, który strasznie trzęsie, dlatego tak bazgrzę, że na okręcie było sto razy gorzej, oto

*) Do ś. p. Pani Stefanji z Zielińskich Leo, żony redaktora „Gazety Polskiej”, a będący własnością jej córki p. Anny Leo-Rose.

więc powód, dla którego nie napisałem dotąd korespondencji. Jestem teraz odległy o całe tysiące mil już nie od Warszawy ale od New-Yorku. Okolice przez którą przejeżdżam pusta jest i dzika. Ziemia nie należy do nikogo. Z okien widać umykające przed pociągiem antylopy, żubry i skunksy, które nie pachną okropnie i wonią swoją napełniają całą okolicę. W Utah czyli w Ogden zatrzymamy się parę godzin. Skorzystamy z nich, aby wyjść na polowanie, tu i tam obfitość zwierzyny, a preryja zaczyna się zaraz za stacją.

Tymczasem kończę i całuję rączki Pani, jeszcze raz powtarzam podziękę za czekoladę.

Henryk Sienkiewicz.

UWAGI W SPRAWIE ODBUDOWY WSI POLSKIEJ.

Brzemię wojny nie wszystkie okolice Ziemi polskich dotknęło z jednakową siłą. Spotykamy całe przestrzenie kraju, gdzie działania wojenne wprawdzie odbywały się, lecz większych szkód, a przynajmniej takich, któreby od razu się w oczy rzucały, nie wyrządziły. Natomiast w innych miejscowościach już zdala widzimy całą grozę wojny. Pola i łąki pożłobione okopami — na miejscu dawnych dworów, chat i zabudowań gospodarczych jeno stosy zgliszcz i spalenizny sterczą. Ludność albo na wygnaniu dalekiem, albo też bieduje w barakach i lepiankach ziemnych. Bo i to sobie uprzytomnić musimy, że o ile znośnie, a nawet względnie dobrze układają się warunki dla rolników nieposzkodowanych przez wojnę, lub którzy ucierpieli w mniejszym stopniu, o tyle nie

do pozadzroszczenia jest położenie tych, których wojna dotknęła w całej swej surowości.

Prędzej więc czy później trzeba będzie zakasać rękawy schwycić do ręki młot czy topór i piłę, by na pogorzeliśkach nowe wznieść mieszkanie, nowe obejścia. Nim więc weźmiemy się do pracy, nim młot o cegłę zastuka i zazgrzyta piła, postawmy sobie pytanie w jaki sposób powinna się wieś polska odbudowywać, by połączywszy wzory dawne z wymaganiem dnia dzisiejszego, wznieść możliwie tanio budowle trwałe, praktyczne i piękne.

Przedewszystkiem, zanim postawimy nowe budynki, musimy bezwzględnie usunąć szachownicę. Ziemia w drobnych porozrzucanych działkach, jest najcięższą kulą u nogi postępu gospodarczego. Czyż może być mowa o jakiejś racjonalnej i postępowej uprawie pól, gdy w 12-morgowym gospodarstwie ziemia jest rozrzucona w kilku lub kilkunastu działkach, szerokich zwykle na kilka kroków, zato długich na wiorsty całe. Czy na takich zagonach i grzędach można uprawiać lepsze gatunki zbóż, zaprowadzić płodozmian, używać nawozów sztucznych, zastąpić kosiarzy maszyną. (Wł. Iszew Stański „Myśli w sprawie wychowania szkolnego“). Winniśmy więc wykorzystać sposobność, wykorzystać tę drugą stronę nieszczęśliwego położenia naszych rolników, by nowe zabudowania wznieść już pośrodku ich własnej ziemi.

A dalej należy zachować odpowiednią odległość pomiędzy poszczególnymi budynkami tak na zewnątrz w stosunku do sąsiadów, jak i na wewnątrz w stosunku do budowli własnych. Chodzi o to, by w razie pożaru uniemożliwić przedostawanie się płomieni z jednego budynku na drugi. Rokrocznie Towarzystwa Ubezpieczeń w Królestwie Polskiem wypłacają 4½ miliona rubli odszkodowań, a czy pokrywają one w zupełności straty wywołane przez pożary? Stanowczo nie. Wiemy na jakich zasadach opiera się taksa ubezpieczeniowa i ile procent faktycznej wartości obiektów wynosi. Że więc wypłacano 4½ miliona odszkodowań, to zaledwie połowa, a conajwyżej $\frac{2}{3}$ rzeczywistych strat. Za ileż więc

miljonów pracy ludzkiej idzie corocznie z dymem! Nie należy do narodów bogatych ekonomicznie, byśmy mogli pozwalać sobie na podobną rozrzutność, na podobne marnotrawstwo. Zresztą to świadczy o naszej niezaradności. Nowe więc zabudowania muszą być wzniesione w takich odstępach, by płomienie nie mogły przedostać się na dachy sąsiednie—by tych dachów sąsiednich nie było. Przez odpowiednie rozmieszczenie zabudowań powiększymy podwórza naszych włościan — z czego ci, naturalnie, początkowo będą bardzo niezadowoleni — bo przecież na większym podwórzu trzeba się więcej nachodzić, lecz w stosunkowo krótkim czasie ocenią to należycie.

Bo ileż to przeklinań i złorzeczeń, ile daremnego męczenia się chociażby np. przy zawracaniu wozem w dzisiejszych ciasnych podwórkach. Pozatem dalej od domu będzie leżał obornik — a to tylko na zdrowie wszystkim pójść może; gdy podwórze będzie większe, to prędzej, przypuszczam, znajdzie się miejsce na urządzenie „gnojówki“, a więc może mniej, niż dzisiaj, będzie błota w obejściu.

Następnie domy w nowej wsi polskiej nie mogą leżeć tuż przy samej drodze — boć to przecież nie karczmy, nie kramy tandetne, któreby każdemu przechodniowi świeciły swemi wnętrzami, każdego wabiły swą zawartością. Mają to być ogniska cichej, spokojnej pracy domowej, winny się też ukrywać w cieniu drzew owocowych, w warkoczach naszej przepięknej brzozy płaczącej — pod konarami potężnych dębów i grabów — za zielonym parawanem lip, kasztanów, akacji. Pod oknami winny jaśnieć przepychem barw i kształtów, i orzeźwiać balsamicznymi zapachami zmęczoną ludność wieśniaczą grządki kwiatowe, a nie kałuże i ścieżki przydrożne. Musimy dać prawdziwe piękno poetom, malarzom, by nas nie zanudzali, sławiąc koślawość załamanych dachów czy zerwanego stropu „piękne linje“ walących się ścian, „urok“ powyrywanych okien i poszczypanych drzwi! Łamiemy ręce z rozpaczą, że ludność wiejska nie wietrzy swych mieszkań, nie roztwiera okien—jakbyśmy przypuszczali,

że powietrze idące od kupy nawozu, rozkładającego się tuż pod oknami lub od śmietnika z przed drzwi wejściowych może być czystsze, bardziej zdrowe. Wsie więc nasze winny się zaszyć w gęstwą wzorowo urządzonych sadów, by młodzież nie potrzebowała zakradać się po nocach do dwora—byśmy zagranicą nie płacili rokrocznie milionów za owoce i przetwory owocowe.

Czwartym nie mniej ważnym warunkiem odbudowujących się wsi jest, by droga przez nie prowadząca była twarłą — wyżywowaną lub wybrukowaną — byśmy nie potrzebowali się rumienić, gdy pierwszy lepszy przybysz ze Wschodu czy z Zachodu mówić nam będzie, że nasze dzieci, nasze młode pokolenia, wychowują się w błocie razem z prosiętami. Osobiście znam wsie na ziemiach gliniastych i ilastych. Proszę sobie wyobrazić, co się tam dzieje podczas roztopów na wiosnę lub w czasie deszczów jesiennych. Ni przejść, ni przejechać. A ileż się tam nałamie w wybojach kół i rozwór ile się narozrywa, naniszczy uprzęży i żywizny. Ileż to wiorst nieraz trzeba nadłożyć, by taką przekłętą wieś ominąć? Mamy wprowadzić radykalny nasz własny, bo nigdzie indziej nie używany środek na zaradzenie złu. Gdy już ostateczność przygniecie wysyła się 5, a w najlepszym razie 8 wozów po kamienie, których się narzuca w wyboje — no i sprawa załatwiona „chocieszwa przecie całą wieś reparowali“. A że doły na drodze jak istniały, tak i istnieją — mało tego, porozwłóczono po całej wsi kołami kamienie, gdy się przejeżdża, nawet i najzdrowszego człowieka o bole żołądka przyprawić mogą, cóż to mieszkańców danej miejscowości może obchodzić. Wszak oni się w tych warunkach urodzili, wychowali, tak było za ich ojców i dziadów, żyli się więc z tem, no i dobrze im jest. Drogi więc we wsiach winny być utrzymane w takim stanie, byśmy na ich podstawie jedynie pochlebny sąd mogli wydać o kulturze mieszkańców.

Z kolei wypadnie powiedzieć słów kilka o miejscach, skąd mieszkańcy naszych wsi czerpią wodę do kuchni i pi-

cia. I znowu jedna z bolączek — zwłaszcza jeżeli wsie leżą w miejscowościach niżej położonych.

Najczęściej rzeczka lub struga, w której kilkoma poruszeniami rydla wykopało się pewne zagłębienie, dostarcza wody zarówno dla ludzi, jak i inwentarza, — a również bardzo często służy jako miejsce kąpieli dla gęsi i kacząt. Studni spotykamy niewiele, a i te są za małe, by dostarczały wody czystej nie zawierającej błota i minerałów, jak żelazo, wapień i t. d. A jeżeli weźmiemy pod uwagę, że podwórza naszych gospodarzy są małe, że studnie, o ile wogóle istnieją, muszą znajdować się blisko obór i chlewów, a często i śmietników, wyróbimy sobie pojęcie, jaką pod względem czystości jest w nich woda. A w razie pożaru ilużby to strat można było uniknąć, gdyby studnia z odpowiednią ilością wody była pod ręką. Widzimy więc, że w nowopowstających wsiach nie można zapominać o rzeczach, jakimi są studnie. Nie wiele poświęcamy energii na zwalczanie chorób na wsi — ale, niestety, jeszcze mniej, by zapobiegać ich powstawaniu.

O ile się nie mylę, przeważa dzisiaj zdanie, że wyrazem dawnego polskiego budownictwa jest drzewo.

Ja — osobiście byłbym innego mniemania. Jako spuściznę po wiekach przeszłych tyleśmy przecież odziedziczyli zabytków sztuki oprócz z drzewa, z cegły i kamienia — tyle murowanych kościołów i pałaców, dworów i siedlisk drobno szlacheckich po zaściankach o cechach i charakterze tak wybitnie polskim — nigdzie indziej nie spotykany, że z czystym sumieniem możemy powiedzieć, że wyrazem budownictwa polskiego jest zarazem drzewo, jak i cegła. Przy wznoszeniu więc zniszczonych zabudowań, gdy pod uwagę brać będziemy stronę architektoniczną nie powinniśmy się ścieśniać w wyborze budulcu, a korzystać z tego, jaki po cenie stosunkowo przystępniejszej jest pod ręką. Nie będę tu mówić o zewnętrznym estetycznym wyglądzie — zaznaczę jedynie, że nie powinniśmy żałować światła zarówno w mieszkaniach, jak i w oborach. Okien jaknajwięcej — oto moja

dewiza. Bo im więcej światła wewnątrz, im widniejsze będą mieszkania tym trudniej dadzą się ukryć przed okiem brud i nieporządki, tym prędzej i częściej zajrzy słońce do środka, a pod jego złocistymi promieniami być może zakwitną uśmiech i zadowolenie na twarzach mieszkańców. Jedno tylko koniecznie chciałbym poruszyć, to sprawę wewnętrznego rozkładu domów. Tradycyjnym — po przodkach dziedziczonym — jest rozmieszczenie krzyżowe, to znaczy: przez środek puszcza się sień poprzeczną, zaś po jej obydwu stronach urządzi się po dwie izby, oddzielone od siebie wzdłuż idącą ścianą. Prosty jest to rozkład mieszkania, ale czy praktyczny? Przyjrzyjmy się! Zwyczajnie w jednej połowie domu od strony podwórza urządzi się kuchnia — zaś druga izba w tejże samej połowie tworzy tak zwane „tamto mieszkanie“ albo też „pokój“; kuchnia to najważniejsza część domu. Tu gotuje się jedzenie dla rodziny, przyrządza karmę dla trzody chlewnej i drobiu, poidło dla krów, tu odbywa się pranie, pieczenie chleba, codzienne mycie się, tu wychowują się młode pokolenia, sypia część albo i cała rodzina, spożywa się potrawy — słowem w kuchni załatwia się wszystkie czynności gospodarstwa przydomowego i znaczną część funkcji życiowych. Prócz tego na wiosnę i w lecie tu wykluwają się kurczęta, gęsi i kaczki, tu na noc siaduje drób, tu od rana do wieczora brzęczą much całe roje, a przy kominie leży stos chrustu lub torfu. A jeżeli zwrócimy uwagę i na to, że zmiatanie odbywa się najczęściej dwa razy dziennie — po śniadaniu i przed udaniem się na spoczynek, a gruntowne szorowanie i czyszczenie mieszkania, połączone z bielaniem ścian wapnem raz, a czasem dwa razy do roku — będziemy mieli obraz, jaka w tej kuchni musi być czystość — jak zdrowe powietrze! Ileż tam się wciąga kurzu, ile zarazków chorobotwórczych do płuc. Nic więc dziwnego, że nasze młode latorośle, dopóki nie zaczną biegać w słońcu podwórza, są tak wątłe, takie bladziutkie, tak ob-sypane krostami i wyrzutami jakiemś i tyle ich śmierć nieli-kościwa kosi.

A również i najstarsze pokolenie, zazwyczaj niedługo już pozostaje z nami, gdy wiek i chłody nie pozwolą mu wygrzewać kości na przyzbie. Zapytacie, do czegoż więc służy reszta domu? W pokoju przyjmuje się sąsiadów i gości, tam sypia starsze rodzeństwo — jest mniej much, trochę więcej porządku i czystości — ot i całe jego przeznaczenie. W drugiej połowie domu—o ile nie mieszkają komornicy to izba od podwórza spełnia funkcje dawnych lamusów — jest mały „pociejów”. Zaś jakie jest zastosowanie czwartej izby to trudno określić. Zdaje mi się, że nie będę dalekim od prawdy, gdy powiem, że izba ta najczęściej z jednym, jedynym stołem pośrodku, jest tylko poto, by było gdzie postawić święcone na Wielkanoc, a na Boże Narodzenie by można było w tajemnicy przed dziećmi ubrać choinkę.

I jest to rzeczą najzupełniej zrozumiałą, że ta część domu nie może mieć innego zastosowania gdyż oddzielona ciemną i zimną sienią od reszty mieszkania, jest zbyt niedostępna—za bardzo na uboczu leży, by życie rodziny mogło służyć i na nią rozciągać. Widzimy więc że przy budowie domu musimy i rozkład wewnętrzny wziąć pod uwagę — musimy go zmienić w ten sposób, by całość była wykorzystana, a nie tylko jej część. Być może spotkam się tu z zarzutem nowatorstwa bo występuje przeciw tradycji. Tak ale przecież i wiele innych rzeczy otrzymaliśmy w spuściznie, jak naprzykład polskie drogi i mosty a chyba niedługo weźmiemy się za burzenie tej tradycji. Zresztą w swoim czasie było to dobre i najzupełniej odpowiadało stawianym wymaganiom — dziś jest złe i nieodpowiednie i winno być zastąpione przez to, co nam duch czasu niesie, by nie zaślepiac się w formach przeżytych, w formach wieków przeszłych. Trzeba więc opracować taki rozkład domu by sień poprzeczna nie rozbijała go z góry na dwie części gdy wtenczas jedna—jakeśmy to widzieli będzie stać bezużyteczna. Również i spiżarni nie może zabraknąć w nowopowstających domach. Nie wystarczy przeznaczyć na to jakąś ciemną komorę, jak się to dzisiaj dzieje, w której pająki, stonogi i t. p. zoo-

logia pomiędzy bochnami chleba, a dzieżkami z mlekiem, pomiędzy porozwieszoną słoniną, a workami mąki i krup posiada swe mateczniki. Duży dostęp światła wlewającego się przez gęstą siatkę w oknie, w ścianach haki i ćwieki, to znowuż półki na drobniejsze produkty gdzieby wszystko umiejętnie mogło być porozmieszczane dla każdej nawet drobnostki przewidziane miejsce — oto jak powinna wyglądać spiżarnia w każdym nawet i w najmniejszym domu. A wtenczas można będzie żądać czystości i porządku. A dalej zabudowania gospodarcze winny w zupełności odpowiadać wielkością i rozgrodzeniem danej posiadłości, dla której są wznoszone, winny przewidywać jej naturalny rozwój i rozrost by gospodarz wiedział, gdzie każdą sztukę umieścić, każdą rzecz przechować, a nie dopiero wrazie potrzeby łamał sobie głowę nad tem gdzież to dany przedmiot leży, lub gdzie go położyć. Musimy przyzwyczajać naszych włościan do utrzymania porządku w obejściu, a to będzie możliwe dopiero wtenczas, gdy już w czasie wznoszenia budynków każdemu obiektowi z góry przeznaczymy swoje miejsce.

Z kolei wypada poruszyć sprawę środków za które odbudowa ma się dokonać. Na czoło wysuwa się kwestja pieniężna. Ogólnie się mówi, że wieś gotówkę posiada, i to w nadmiarze, że w nią opływa. Jest to słuszne, ale do pewnego stopnia. Wskutek masowego popytu, wywołanego działaniami wojennemi, na produkty rolne i inwentarz żywy, musiała nastąpić — często, a nawet najczęściej pomimowoli samych rolników—i zwiększona podaż. Wyprzedano więc nie tylko nadmiar, ale także i tę część inwentarza i produktów, która w rolnictwie tworzy kapitał zakładowy. Inaczej mówiąc, nastąpiło tutaj tylko przesunięcie się systemu posiadania, zamiana jednej części aktywów na inną.

Prawda, że wymiana odbywała się po cenach wyższych, niż te, jakie udawało się uzyskać przed wojną. Możliwe więc mniemać, że ogólny stan aktywów się powiększył. Lecz podobne przypuszczenie byłoby błędne. Jeżeli zwrócimy uwagę na ceny, które dzisiaj są bezporównania wyższe,

niż w chwili wyzbywania się części kapitału zakładowego rolników, jak również i na to, że ceny wobec przeciągania się wojny będą ustawicznie wzrastać, a nie zmniejszać się i to wzrastać w postępie geometrycznym i że nawet z chwilą zawarcia pokoju ceny jeszcze przez długi czas będą utrzymywać się na poziomie dosyć wysokim, zrozumiemy, że stan czynny w rolnictwie nie powiększy się, a jeżeli wzrósł chwilowo, to tylko fikcyjnie. Przecież tą niezbędną część żywego kapitału zakładowego, jaką przedstawia inwentarz, z czasem trzeba będzie nabyć i to po cenach wyższych, niż te, jakie się za swój otrzymało. Jeżeli więc zmieni się ogólna suma aktywów w rolnictwie, to tylko na minus, a nie na plus.

Tak się rzecz przedstawia w gospodarstwach nie zniszczonych. Natomiast zupełnie inaczej stoi sprawa tam, gdzie zawierucha wojenna obesła się z mieszkańcami bardziej bezwzględnie, gdzie zabudowania, zbiory i inwentarz martwy spłonęły, a żywy w zamęcie bitew, w zamieszaniu cofających się i postępujących naprzód armji rozgrabiono. Tam dzisiaj zaledwie koniec z końcem wiążą, a i to najczęściej tylko dzięki doraźnej pomocy miejscowości nie zniszczonych. I nierozsądkiem byłoby mówić o nadmiernej ilości zapasów pieniężnych w gospodarstwach zrujnowanych. Widzimy więc, że na tą obfitość gotówki, jaka jest na wsi polskiej, przy odbudowie kraju liczyć nie można, gdyż będzie ona z powrotem zamieniona na kapitał zakładowy rolników, a w najlepszym razie przy znanem dążeniu naszych właścian do zaokrąglania swych sched unieruchomiona w ziemi. Wprawdzie pewną część tych kapitałów możnaby było zużyć do celów odbudowy — ale tylko w tym wypadku, gdyby się rozporządzało sprawną i sprężystą organizacją instytucji oszczędnościowych, której jednakże nasze Wzajemne i Drobne Kredyty, niestety, nie przedstawiają. Zbyt wiele uwagi bowiem zwracały one w czasach przedwojennych na skup weksli, badając li tylko solidność podpisów, z zupełnem natomiast pominięciem strony moralnej pożyczającego, jak

również i celu zaciąganego długu. Wobec tego nie stworzyły one z siebie nawet w czasach normalnych tego twórczego ośrodka, wokół którego zakwitaby nowe życie — w formach bardziej doskonałych i o barwie narodowej. Tym mniej będą zdolne uczynić to obecnie. Na wydatniejszą zaś pomoc z zewnątrz trudno liczyć. Wprawdzie mówi się o udzielaniu pożyczek na wzniesienie zniszczonych budynków — lecz gdyby nawet i doszło do tego, to pożyczone pieniądze pójdą w pierwszej linii na spłatę długów i zobowiązań. Ludność więc będzie musiała korzystać z usług wszędzie obecnych pośredników, którzy nigdy nie zasypiają i naturalnie będą starali się wykorzystać sytuację, by na niebezpieczeństwie innych dobrze zarobić. I gdy jedne ich sfery zaoferują wyniszczonej ludności na wysoki procent gotówkę — inne, bardziej usługowe, zgłoszą się z dostawą czy to za wypożyczone przez pierwszych pieniądze, czy też na kredyt — materiałów budowlanych naturalnie wątpliwej wartości i po cenach niezmiernie wyśrubowanych. Zaś rolnikom nie zostanie nic innego, jak tylko z łaskawych usług z wdzięcznością skorzystać.

Z powyższych uwag wynika, że sprawa racjonalnej odbudowy polskiej wsi nie jest rzeczą tak łatwą, jak by się to na pierwszy rzut oka wydawać mogło. Niedostateczna ilość budulca zarówno ziemnego, jak i drzewnego, jak również i nieuczciwa spekulacja temi pierwszemi potrzebami z jednej strony, zaś niebywały dotąd popyt z drugiej — wpłyną na znaczne podniesienie cen na żelazo, drzewo, cegłę i wapno, że już pomijam ceny niezbędnych dodatków, jak: okuć, gwoździ, szkła, koszta urządzeń wewnętrznych i ceny robocizn.

Wyniszczona więc przez wojnę ludność nie będzie w możności wnieść własnymi środkami wygodnych i przestronnych zabudowań, a nie mówię już o stronie architektonicznej. Będzie więc lepić i kleić byle co i byle jak, jedno obok drugiego — aby taniej — aby prędzej. Zresztą chociażby wieśniak i chciał postawić wzorowo urządzone zabu-

dowania, zawsze mu stanie coś na przeszkodzie, czy to będzie brak niezbędnych wiadomości, czy odpowiednich materiałów, czy też co innego. Najlepszym dowodem słuszności zdań powyższych jest sposób, w jaki już dzisiaj odbudowuje się wieś polska. Bo nie możemy się ludzić, że z chwilą kiedy wyszkolimy kilkudziesięciu instruktorów czy techników budowlanych, to już tem samem wsie i miasteczka nasze dźwigną się i zabudują wzorowo. Wszak już i do chwili obecnej wszystkie nasze miasta prowincjonalne posiadały własnych budowniczych, którzy „czuwali“ nad ich estetyczną i higieniczną stroną — a jakież rezultaty? Czy mogą być bardziej oplakane? Czy można sobie przedstawić miasta jeszcze bardziej nieestetyczne, ciasne, niewygodne i drogie — jeszcze bardziej brudne, bardziej woniejące od naszej prowincji. Każdy, kto choć raz jeden miał sposobność być w miasteczku, w mieście powiatowem lub gubernialnem, przyzna że nie! O zaspakajaniu zaś przyzwyczajęń i wymagań kulturalnych, a tembardziej o komforcie i mówić nie warto.

Widzimy więc, że gdy sprawa odbudowy kraju pozostawiona będzie ludności naszej — chociażby pod kierunkiem i dyrektywą nowowyszkolonych instruktorów i techników, to wypuścimy z rąk jedyną bodaj sposobność przyczynienia się, by naszą wieś, naszą prowincję uszlachetnić i uestetycznić, a co za tem idzie, podnieść na wyższy stopień kultury. Bo nie ulega najmniejszej wątpliwości, że z chwilą, gdy wieśniak będzie posiadał jasne, wygodne, ładne i praktyczne mieszkanie, a nie zabudowanie gospodarcze, inaczej będzie się starał prowadzić swe gospodarstwo. Chętniej też będzie przesiadywał u siebie w domu — a tem samem mniej będzie na wsi polskiej pijaństwa i karciarstwa, mniej swarów i kłótni domowej — natomiast prędzej, być może, zagnieździ się oświata, zamożność i dobrobyt, większego szacunku nabierze rodzina — miłszem i znośniejszym stanie się, być może, to ciężkie, mozolne i pełne trosk życie ludności robotczej.

II.

Dotąd rozpatrywaliśmy, jaką winna być i jak powinna wyglądać nowoobudowana wieś polska, i czy jest rzeczą możliwą, by ludność samodzielnie — na własną rękę prowadząc odbudowę, mogła tym zasadniczym wymaganiom zadość uczynić. Z kolei nasuwa się pytanie, jak akcją pokierować, co uczynić wypada — jakie przedsięwziąć środki by powstać mające budowle były trwałe, swojskie, miłe dla oka, praktycznie rozmieszczone i urządzone, i co jest rzeczą nie mniej ważną tanie, słowem, ażeby w nowych wsiach polskich nowe pełniejsze zakwitnąć mogło życie.

Wiele może być sposobów ku wypełnieniu rozważań powyższych jak wogóle zawsze jest dróg, prowadzących do celu. Ale jak z pośród wielu dróg jedna jest najprostszą i najkrótszą, tak i przy odbudowie kraju jeden tylko sposób może być najbardziej racjonalny, najbardziej praktyczny.

Niebywałe dotychczas, niecodzienne są straty jakie w obecnej zawierusze wojennej ponieśliśmy i ponosimy — a więc i nie szablonowemi, nie przeciętnemi muszą być środki dla usunięcia, a chociażby tylko złagodzenia klęsk przedsięwziąć się mające. Z rozdziału pierwszego widzieliśmy, że przy odbudowie zniszczonych wsi miast i miasteczek winni obok siebie stanąć do pracy nietylko robotnicy ziemni, murarze, cieśle i ich pomocnicy, ale i architekci i inżynierzy, bankowcy, towarzystwa ubezpieczeniowe, handlowcy — i całe, całe zastępy braci rzemieślniczej. Każdy z tych pracowników powinien z zaparciem samego się siebie wypełnić tą cząstką pracy jaka jemu przypada w udziale — a wtenczas tylko idea zamieni się w czyn — wtenczas ze zgliszczu i popiołów powstaną nietylko nowe, ale i doskonalsze niż przedtem siedliska.

Otóż podług mnie tym najwłaściwszym środkiem, jakiego przy odbudowie zniszczonych wsi, miast i miasteczek na ziemiach Polskich chwycić się trzeba, jest założenie na

zasadach współdzielczości opartego Towarzystwa Odbudwy Kraju.

Z góry jednek zastrzegam się, że nie chcę być źle rozumianym. Z przykrością wyznać muszę, że szczytna idea współdzielczości u nas w Królestwie, a jeszcze bardziej w Galicji została spaczoną już, w zarodku — sprowadzoną do poziomu zwykłego kramarstwa, którego celem w pierwszej linii dobro jednostki, a dopiero później — jeżeli to interesom prywatnym nie przeszkodzi — „poświęcanie” się dla ogółu. Bo z ręką na sercu przyznać musimy, że w dzisiejszych kooperatywach u nas sprawa stanowisk „naszych blizkich” odgrywa bodaj czy nie najgłówniejszą rolę. Zbyt często bowiem dochodzi naszych uszu to ważkie: Ja albo wcale, a że ku temu nie ma odpowiednich wiadomości zawodowych, że zbywa nam na zdolnościach twórczych a często i na organizacyjnych, że nie umiemy wnieść do pracy szerszego polotu, zatoczyć wzrokiem szerszych horyzontów — cóż to ma za łączność z ideą współdzielcza. Kto porównywał chociażby spółki w Królestwie i w Galicji z podobnemi kooperatywami w Danji i Anglii, lub chociażby w Poznańskim i na Górnym Ślązku, ten przyzna mi słuszność. Bo podczas gdy w „Banku Przemysłowców“ w Poznaniu różnica pomiędzy procentem pobranym a wypłaconym wynosi 1 do 2%, w Królestwie i Galicji ta różnica zaczyna się od 3% dopiero. I gdy tam pożyczka zaciągana nie we wspólnie jest droższą, to u nas rzecz się ma przeciwnie. Jeżeli więc pomimo wszystko wyrażam przekonanie, że najwłaściwszą drogą do odbudowy kraju jest założenie przedsiębiorstwa współdzielczego, to dlatego jedynie, że nie utożsamiam kooperatywy z kramarstwem.

Naturalną jest rzeczą, że zarówno powołanie do życia instytucji, któraby w postaci całego szeregu kół i kółek rozszerzyła się na wszystkie zniszczone tereny Ziemi Polskich, jak i roztoczenie nadzoru nad jej działalnością, to sprawa obchodząca kraj cały a nie tylko pewną część jego mieszkańców. I dlatego koniecznem jest by się kraj cały w tej

sprawie wypowiedział. Jako członkowie wejść by musieli do powyższego stowarzyszenia pracownicy wszystkich kategorii, których współdziałanie przy odbudowie zniszczonych siedzib jest niezbędne — a więc od najbardziej wykwalifikowanych architektów, inżynierów i handlowców—do najprostszych dostawców cegieł i kopaczy ziemnych. Każdy z członków powinien wnieść odpowiedni do swego stanowiska udział, z których wkrótce zebrałyby się miliony na kapitał zakładowy towarzystwa. Na liście członków również istnieć winni wszyscy posiadacze terenów leśnych, cegielni, fabryk i warsztatów rzemieślniczych produkujących przedmioty przy odbudowie wsi i miasteczek koniecznie. A wtenczas nietylko wszystkie prace od najprostszych do najbardziej skomplikowanych wykonywaliby wyłącznie członkowie stowarzyszenia, ale i używając własnych materiałów do odbudowy, posiadałoby ono jeszcze i tą pewność, że dostarczony budulec zajmuje pierwsze miejsce co do jakości, a ostatnie co do cen. Pozatem wszelkie zyski osób trzecich pozostałyby wewnątrz spółki.

Towarzystwo odbudowy kraju, jako jednostka prawna zawierałoby z poszkodowanym umowy, podejmując się według przedstawionych danemu rolnikowi, czy mieszkańcowi miasteczka i wybranych przezeń planów wznieść własnym kosztem, z własnych materiałów i własnymi ludźmi zabudowania i odpowiednio urządzić je wewnątrz, by w możliwie krótkim czasie mógł już zupełnie gotowe oddać je do użytku.

Poszkodowany z góry wpłaca Towarzystwu w gotówce na swój rachunek od $\frac{1}{5}$ — $\frac{1}{2}$ należności zaś na resztę płatną w kilku ratach, daje pokrycie $\%$ czy to w wekslach, czy też w ziemi. Wszelkie budowle obowiązkowo powinny być ubezpieczone i Towarzystwo Odbudowy pozostaje ich prawnym właścicielem aż do chwili w której poszkodowany ostatnią ratą wyrówna swój rachunek. Naturalnie za wszelkie powikłania i niewypełnienie zobowiązań przez jedną ze stron odpowiada ona sądownie. Przypuszczalnie odszkodowania wojenne za zniszczone budynki i inwentarz martwy, jak róż-

wnieź i przyznane poszczególnym jednostkom, czy nawet wsiom całym zapomogi na odbudowanie i zagospodarowanie się winny być wpłacone do Towarzystwa Odbudowy Kraju, która odpowiednimi sumami uznaje rachunki poszczególnych osób. Jednakże jako zasadę należałoby przyjąć, że zapomogi ze strony kraju, jak również i ulgi w postaci kredytowania części należności za wzniesione budynki przez Towarzystwo, mogą być przyznawane jedynie tym, którzy posiadają ziemię w całości, ewentualnie zgadzają się na przeprowadzenie, by nareszcie za jednym zamachem skończyć z szachownicą. Za pracę swą członkowie mieliby płacę odpowiadającą dziennym zarobkom, plus tantjema i plus w ten lub inny sposób rozdzielona reszta przypuszczalnych zysków w których wielkości każda jednostka, każdy członek byłby wtenczas bezpośrednio zainteresowany — a więc rażniejszą i wydatniejszą byłaby praca.

Pod tym względem poszczególne koła mogłyby korzystać z pewnego rodzaju samorządu—gdyż jeżeli nie wszystko. to większa część wykazanych przez nie zysków, byłaby ich własnością.

Ażeby mózdz skuteczniej i szybciej wypełnić swe zadanie, Towarzystwo Odbudowy powołuje do życia własną instytucję bankową, albo też opiera się na którymś z istniejących już banków, chociażby np. na Banku Towarzystw Spółdzielczych, który wtenczas musiałby zcentralizować w sobie wszystkie Towarzystwa pożyczkowe nadać im odpowiedni kierunek na zewnątrz i ujednostajnić ich pracę wewnątrz. Bank ten zajęłby się finansową stroną Towarzystwa, a więc przyjmowałby wszelkie wpływy i regulował należności, redyskontował otrzymane przez towarzystwo weksle, wypłacał pensję wszystkim bez wyjątku pracownikom spółki. Jednym z niemniej ważnych obowiązków banku, byłoby umieć przyciągnąć do kas swych ów nadmiar w jaki opływa wieś polska, by zużytkować gotówkę do celów odbudowy. Za wykonywanie powyższych czynności bank pobierałby pewien % prowizji od obrotu, którego minimum zgó-

ryby się ustalało zaś po przekroczeniu maximum, obliczałoby się prowizję według mniejszej stopy %. Ponieważ część należności za wzniesione zabudowania Towarzystwo otrzymałoby dopiero po upływie kilku lat od chwili ich wzniesienia—jest więc rzeczą zrozumiałą, że samo musiałyby korzystać z tego lub innego rodzaju kredytu. Najwłaściwszem byłoby, by płaciło ono swym dostawcom, a zwłaszcza właścicielom terenów leśnych i większym fabrykantom część należności w gotowiznie, zaś resztę otrzymanami od poszkodowanych weksłami. Dalej musiałyby mieć przyznany pod zastaw otrzymanych weksli kredyt w banku Krajowym, czy Narodowym, jaki prędzej czy później założony być musi — i będzie. A dalej winnoby się ono starać ściągnąć kapitały z zagranicy, umieszczając tam swoją pożyczkę w tej czy innej postaci.

Wszystkie zobowiązania Towarzystwa Odbudowy zabezpieczałyby się solidarną odpowiedzialnością jego członków i razem wzięte nie mogłyby przekraczać ogólnej sumy poręczeń do zapewnienia których wszyscy udziałowcy byłiby obowiązani. Przytem poręka członków powinna być bezwarunkowo ograniczona ażeby ludzie średnio a nawet i bardziej zamożni bez narażenia się na utratę całego mienia, mogli zostać członkami Towarzystwa Odbudowy Kraju.

I znowuż podkreślić muszę że jako myśl przewodnia powyższej spółki nie mogłyby być w pierwszej linii zyski. Chęć zarobku ewentualnie chęć innych osobistych korzyści jak cień nieodstępnie towarzyszy większości — jeżeli nie wszystkim naszym czynom. Ale musimy dołożyć wszelkich naszych usiłowań, by to dążenie ten cień schodziły na dalsz plan dopiero, a nie zasłaniały nam oczu na to co jest naszym głównym celem, naszym głównym obowiązkiem.

I podług mnie tylko w ten sposób zapatrując się na współdzielczość i wogóle na pracę społeczną ludzie mogliby stanąć na czele podobnej instytucji mieliby prawo ująć w swe ręce ster szafowania milionami, ale też i podźwignięcia milionów.

Szerokie pojęcie obowiązków względem Ojczyzny musi się tu jednoczyć z dużym zasobem wiadomości zawodowych ze ścisłym przestrzeganiem i wypełnianiem swych powinności, a nadewszystko z olbrzymim talentem twórczym. Wierzę, że zrealizowanie powyższego projektu może i musi napotkać znaczne przeciwności, gdyż ogół nie lubi wznosić się myślą zbyt wysoko—ale tem nie mniej jest przekonany, że znajdzie się grupa ludzi, którym dobro i piękno Polski leży na sercu—ci więc mam nadzieję staną do apelu!

Wł. Staniszewski.

Kutno, październik—listopad 1916.

KARTA POCZTOWA.

(FRAGMENT Z NOWELI).

Około północy sen wkroczył do niskiej szopy, w której na rozesłanem sianie, otuleni szaremi płaszczami i derkami, udręczeni śmiertelnem znużeniem, pokładli się żołnierze.

Sen przygasił światło wiszącej na haku latarni i miękkimi rękami przytknął oczy młodych wojaków.

Jeden tylko leżał z otwartymi oczami. Po cichu, na palcach, przysunął się do latarni, której dla niego sen nie przygasił, wydobył z zanadru zmiętą kartę pocztową i czytał:

„Mój drogi chłopcze! Tęskno nam bez ciebie i smutno, ale pocieszamy się, że może Bóg dobry powróci nam ciebie niedługo. W ogródku już puśto, dziewczęta poblady, czasem zanuci która, ale i tak łzy się kręą. — Janka przychodzi często, zawsze pyta o ciebie.

Całuję cię i błogosławię

Matka.”

Żołnierz czytał i czytał i wpatrywał się w zmiętą kartę. Nierówne, trochę niewprawne litery poczęły się do niego uśmiechać, zdawało mu się, że te drobne, czarne znaczki żyją, że go tulą i rozgrzewają, — że wyraźnie w nich widzi smutny, rzewny uśmiech matki... I słyszy głosy sióstr i szczekanie Burka na dworze, i szum suchych gałęzi w pustym ogródku... i słyszy wyraźnie lekkie kroki po żwirze, i widzi na progu matczynej izby smukłą postać dziewczęcia, jej cudne, ciemne oczy...

Sen, który przyczał się pod pułapem, zsunął się po belce, miękkimi rękami opasał szyję czytającego; zmęczoną jego głowę pochylił na zmiętą kartę, na czarne znaczki, wypisane ręką matki.

Sen dobroczynny, pełen miłości dla utrudzonych i cierpiących, rozsunął błogi, słodki uśmiech na wynędzniałej twarzy młodego żołnierza.

Zofia Seidlerowa.

SKARGA.

Szła na drogi i bezdroże
Rozelkana nasza skarga...
Wichr drzewami w boru targa,
Krwia serdeczną płyną zorze...

Aż nadeszła u rozstaju
Do stojącej Bożej Męki,
Gdzie akacyi kwitną pęki,
Gdzie akacya kwitnie w maju.

Ale dawno zawieruchy
Postrząsały kwietne kiście
I zielone spadły liście,
Uniesione w złe podmuchy.

Zostały się jeno ciernie
Naszej skardze na koronę,
Z Bożej Męki opuszczone,
Czekające na nią wiernie...

Jadwiga Lipińska.

LWICA.

W niedużej klatce, odosobniona
Od innych zwierząt żelazną kratą,
Siedziała młoda lwica skulona,
Pokryta rudą, wytartą szatą.

Lecz ze snu śmiech ją szyderyczy budzi,
Więc łeb podnosi, patrzy przez chwilę
Na ów za kratą wielki tłum ludzi,
Co tak urąga złamanej sile.

Nagle powstaje, siada na zadzie,
Wściekle ogonem bije po boku,
Łeb zwolna spuszcza, na łapach kładzie,
Gniew znać, pogardę w królewskim oku.

Potem opuszcza ciężką powiekę
Sen jej ukróci chwile niedoli.

Zasnęła lwica. W ciasnym więzieniu
Sni o tej dawnej, tej dobrej doli.

Znów jest w ojczyźnie, lasów władczyni,
Widzi zdaleka rzek srebrne paski,
Widzi jak słońce wschodzi w pustyni,
Złocąc te drobne, te lotne piaski.

Wtem słyszy blisko ryk, jak huk gromu!
Wstrzymał się w locie orzeł i stoi,
Cała natura wokół martwieje —
Lwica się tylko jedna nie boi.

I dumnie słucha, boć to jest przecie
Lew jej towarzysz, a władca ziemi,
Zaś ryk potężny na wiatru grzbiecie
Popłynął wdal — jękami głuchemi.

Lecz ona wie, to dla niej pobudka,
Opuszcza złom, gdzie legła na czatach,
Sunęła naprzód.... W niedużej klatce
Lwica nieżywa, a krew na kratach.

DZWON.

Słońce zachodzi i cisza w okół
Tylko wysoko krąży tam sokół,
Przepiórka ćwierka gdzieś niedaleko,
Bekas się śmieje w błotach nad rzeką...

Wtem, hen z daleka, z kościelnej wieży,
Echem przeciągłem, co wskroś przenika,
Dzwon dziewięć razy głucho uderzy:
— Za Warneńczyka, za Warneńczyka

Umilkły ptaki, jakby zdziwione,
Sowa przerwała swoje hukanie
A smukłej brzozy w białej koronie,
Przeciągłe, tęskne słychać szemranie.
Lecz dzwon już umilkł i urok znika —
Tylko las szepce... za Warneńczyka...

Natalja Lubomirska.

JESIENNY DZIEŃ

DŹDŻYSTY I ŁZAWY...

Jesienny dzień dżdżysty i łzawy,
Kroplami deszcz po szybach spływa,
Po polach krążą duchów zjawy
I coś się kończy, dogorywa!

Zali to wizje takie smętne,
Zali przeczucia to zwodnicze,
Zali to myśli niepojęte,
Zali dzisiejszych dni to, znicze?

Jesienny dzień we łzach skąpany,
Bez światła, ciepła, iskry słońca,

W bóle, pożogi dziś odziany,
Rwie się, opada, tli bez końca.

Jesienny dzień, smutny jak życie;
Jesienny czas w łzach krwawych tonie
I słyhać jeno wicherów bicie,
Gdy coś w milionach ludzi płonie.

Zali nastaną takie chwile,
Że się pochodnia znów zapali
I Ta, co cierpi wieków tyle,
Stworzona będzie z serc i stali?

Jesienny dzień, dżdżysty i łzawy,
Kroplami deszcz po szybach spływa,
Po polach krążą duchów zjawy
I coś się kończy, — dogorywa...

Marta Kazimiera Podlewska.

SYLWETKA WOŁYNIAKA.

W Paryżu wśród emigrantów ciekawą i arcy miłą była postać Hr. Narcyza Olizara. Biały jak gołąb, czyściutko ogolony, trzymający się prosto. Dziwny łagodny smutek przebijał się w głębokiem spojrzeniu jego ciemnych oczu. Może w pół uśmiechu rysującym się w kącikach ust był i cień goryczy, lecz owładnięty wolą, prawa do zupełnego obywatelstwa nie mógł uzyskać. Natomiast w wyrazie twarzy było jakieś dziwne bezgraniczne wyrozumienie i tęsknota bezbrzeżna... nie do opisania. Lecz o tem nie mówił, wi-

dać, że czuł dostojęstwo bólu, — a rząd jego wewnętrzny był silny — i bronił przystępu do owego wewnętrznego królestwa. Na zewnątrz zaś starał się w miarę być rozmownym, pozornie wszystkim się interesował — umiał być aktualnym, i był, jak mówiono dawniej, łatwym gościem do zabawienia. Nie lubił mówić o kolejach, które przeszedł; były to minione chwile dla niego zanadto rozdzierające. Jakże było smutne to wegetowanie na beznadziejnym posterunku i dla byłego milionera uganianie się za pracą na chleb powszedni... A nieraz sobie przypominał, że krótkowidztwo i niedołość swoich uniemożliwiły udanie się projektu, który on sam podał rządowi Polskiemu w 1831 r.

Senator Olizar, piastujący urząd kasztelana, będąc czynnym członkiem Towarzystwa Kosynierów, umyślił przeprowadzić organizację powstania Wołyńskiego. Sprawa, której wróżyć można było całkowite powodzenie i która, według wszelkiego prawdopodobieństwa, musiała się udać, na nieszczęście w samym zarodku została zniszczoną. Odżałować nie można, że nie sam Olizar rządził, — brak sprężystości u władzy, którą zastał, zwlekania bez końca, zamiast czynu ciągle bezowocne narady — to wszystko sparaliżowało, zdaniem znawców, ów plan idealny, który — inaczej urzeczywistniony — stał by się nieprzewidzianą i znakomitą dywersją, zrobioną wojskom rosyjskim i ogromną pomocą dla armji Królestwa Kongresowego.

O tem wszystkim milczał. W pamiętnikach tylko to opisuje i szczerym nad wyraz będąc ze sobą, radby część winy w tem niedołęznem prowadzeniu wziąć na siebie, z której czytelnik nieparcyalny zupełnie jego rozgrzesza.

Jego działalność na Wołyniu przygód jest pełną.

Kilka razy w więzieniu nie może sobie darować chwili wzruszenia wobec tych, którzy go wtedy otaczali i nie byli godni widzieć łzy, — gdyż na straży bólu, jak wyraża się Olizar, powinna stać duma męczennika-patryoty.

W pamiętnikach jego jest ciekawa odyseja rozmaitych przejść więziennych. Ostatni etap dość ciekawy.

Dawniejszy ordynans hr. Olizara, późniejszy kamerdyner jego, Alzatzczyk rodem, niejaki Krantz, prośbą błagalną zmusza poniekąd swego pana do ucieczki. Sam zaś ów wier-ny domownik zajął jako niby obłożnie chory łóżko kasztelana. Rosyane wzięli Krantza za Hrabiego Olizara i na Syberyę go wysłali. Tam się ożenił — i w kilka lat później, gdy poznano pomyłkę, wrócił z tego wygnania z dwojgiem dzieci i doznał gościnnego przyjęcia przy wyznaczonem zajęciu u siostrzeńca Olizara u hr. Mieczysława Przeździeckiego. Tam cichy i nieznany bohater zakończył życie.

Pan Narcyz pędził życie czynne, żonaty poraz wtóry z Despotzenowiczówną, pragnął swą pracą przyczynić się do otrzymania trochę dobrobytu dla małżonki. Ślicznie malował szczególnie widoki Wołyńskie, — te bywały sprzedawane po wystawach i malarz dawał utrzymanie wygnańcom, albo jak mówiono utrzymywał pisarza, — bo wcale nieźle kasztelan Olizar pisywał — kreślił z humorem obrazki w młodości widziane. Wyszły z pod jego pióra „Pamiętniki oryginala”, potem pamiętniki poważne z r. 1831.

Skończył sumienny i pracowity żywot w Poznańskiem w Sadach w 1862 roku — wtedy, gdy wydawało się, że znowu wolność zaświeci na ziemi Polskiej.

Co najwięcej nas w nim uderza, to ten hart ducha, który mu nie pozwolił poddać się apatyi i melancholii. On walczy z temi chorobami, ale je zwycięża, bo wierzy, iż każda ofiara dla kraju, to siew potrzebny — który w przyszłości setnym plonem ojczyznę obdarzyć może. Chwila porywu jest krótka... ale poryw utrwalić, dać mu formę stałego nigdy nie żalowanego poświęcenia — jest prawdziwem bohaterstwem.

Cześć takim ludziom — oni są dźwignią ducha narodowego... i im kiedyś zawdzięczyć będzie mogła Ojczyzna lepszą przyszłość.

Marja z Przeździeckich Walewska.

AFORYZMY I PARADOKSY.

PRZEZ PRAWDĘ DO JEDNOŚCI.

L'union c'est la force.
La vérité c'est l'union.

W chwili, gdy świta jutrzienka wolnej Ojczyzny, w rozbitym społeczeństwie słyszymy głosy, nawołujące do jedności. Lecz czy jedność czynu możebna jest tam, gdzie nie ma jedności myśli, i czy jedność myśli jest do osiągnięcia bez dążenia do prawdy? Gdy jednostki ludzkie nie gonią za prawdą, lecz olśnione zwodniczymi blaskami błędzą po bezdrożach fałszu, drogi ich rozchodzą się. Prawda jest jedna i dążność do niej zbliża jednostki ludzkie. Jedność osiągniemy, gdy wszyscy dążyć będziemy do prawdy i sprawiedliwości, która jest prawdą myśli i czynu.

Manswet Ciemniowski.

Jeśli skołatany trudami zmuđenego życia wpadniesz w zwątpienie i w ciemności szukać zaczniesz światła, wtedy pomyśl, że życie w rękach Opatrzności jest igraszką, a jego trud cały w obliczu wieczności jedną chwilą, jeśli natomiast uśmiech szczęśliwej fortuny ci zabłyśnie i przez pryzmat chwili upojen życie sądzić zechcesz, wtedy uważnie spojrzysz wstecz, a w przeszłości nie jedną chwilę gorzkości znajdziesz, która drogo okupiła chwilę szczęścia i z tą myślą przystępuj dalej do życia...

Prawdziwy gentleman nie powinien nigdy kłamać, lecz jeśli mu się to zdarzy, to powinien bezwzględnie zachować

wszelkie pozory prawdy: ujawnienie kłamstwa jest największym policzkiem dla człowieka honoru.

Bronią słabych i tchórzliwych istot jest kłamstwo, gdyby go jednak nie było — żyć by niepodobna!

Życie ludzkie najczęściej wtedy nabiera wartości, gdy ją już straciło.

Kobieta zyskuje na wierności, gdy traci na powodzeniu.

Jeżeli kobieta mówi ci, że cię kocha, zastanów się dla czego? a czy cię kocha naprawdę sam sobie wtedy odpowiesz.

Jeśli ci się kobieta podoba, a pragniesz oprzeć się jej urokowi, szukaj w niej wad koniecznie, a następnie uwierz, że to są wady kardynalne.

Prawdziwą miłość można naprawdę dopiero wtedy ocenić, gdy odeszła.

Nigdy nie szukaj u innych miłości
Jeśli w Twem sercu obojętność gości
Lecz jeśli pragniesz kochaną być szczerze
To również kochaj i w słowach i w wierze.

Uczucie rodzi się w spojrzeniu, kołyską są mu pierwsze słowa. pierwszy pocałunek o jego dalszym życiu stanowi.

Do puszczy dziewiczej pełnej niespodzianek, porównać można pierwszy pocałunek, nigdy nie wiadomo, co zanim się kryje.

Najwięcej myśleć trzeba przed zwierzeniami, najwięcej czynić po ich wypowiedzeniu.

Zwierzaj się tylko wtedy, gdy milczeć już nie możesz.

Namiętność i miłość są uczucia obce, choć najczęściej jedno jest ojcem drugiego, trudno tylko prawa ojcostwa ustalić

Jeśli chcesz filozofować, rób to bezpośrednio po chwili szału, gdy natomiast szaleć chcesz, zapamiętaj, unikaj bezwzględnie filozofji.

Jeśli pozbyć chcesz się współzawodnika, wtedy z uznaniem podkreślaj jego śmieszności, a ośmieszy się on sam już postara.

Najlepiej poznać ludzi może ten, kto ich potrzebuje.

Nasza głębokość lub płytkość umysłowa, najczęściej zależy od przenikliwości patrzącego!

Umiłować trzeba pracę, by mózgi pracować pożytecznie, lecz ideał trzeba ukochać, by żyć pracowicie.

Praca jest pożyteczną, lecz najszkodliwsi są głupcy pracowici.

Malarz, który maluje dla siebie—jest egoistą, ten który tworzy dla ludzi — groszorem; jak więc należy malować? z rozumem uczuciem!

Żeniąc się pamiętaj, że nigdy zbyt dobrze nie poznasz swej przyszłej, przeto zbyt nie czekaj, a spiesz się jaknajprędzej, bo szkoda uczuć napróżno posianych, a droga rozczarowań tak wielka!

Niema miłości ani pieśczoćy, któreby mężczyźni naprawdę zastąpić mogły radości życia i młodości; natomiast nie ma szczęścia i radości dla kobiety, które by jej zastąpiły chwilę miłości i pieśczoćy.

Co winien uczynić ten, kto po latach oszołomienia i ślepoty spostrzegł nagle, że popełnił głupstwo? Powinien postąpić jak człowiek honoru i rozumu, zachowując nadal pozory głupca.

Michał Podlewski.

WOŁYŃ PODCZAS OKUPACJI.

Okupowana przez sprzymierzone armje Austryjacko-Węgierską i Niemiecką część Wołynia przedstawia dziś kraj pusty i bezludny. Napewno żadna z części Polski, która doświadczyła na sobie tego co to jest wojna i to wojna Europejska dwudziestego wieku, nie przedstawia tak smutnego obrazu jak ten zakątek Wołynia, na który składają się pow. Włodzimierski i Kowelski. W jednym powiecie Włodzimierskim z 400,000 ludności została zaledwie $\frac{1}{3}$ część. Reszta

ewakuowała się wraz z wojskiem rosyjskim. To też przez całą zimę dziesiątki wsi stały pustkami i z chat opuszczonych patrzyły czarne paszcze ram okiennych. Można było przejechać czasami po kilkanaście i kilkadziesiąt wiorst i nie spotkać człowieka. Ruch cały po drogach i gościńcach ustał gdyż zamarło całe życie gospodarcze i tylko na tyłach wojsk walczących na froncie zrzadka przejechał jakiś tabor wojskowy, znacząc drogę szerokim śladem wozów wojskowych. Nic też dziwnego, iż wśród pustki tej życie społeczne bujnie rozwinać się nie mogło.

Stosunki ludnościowe zasadniczo się zmieniły i punkt ciężkości przesunął się do polaków i żydów, gdyż znaczna większość ludności rosyjskiej wywędrowała na Wschód. I co smutniejsze to to, że wraz z nimi emigrowała część nader liczna inteligencji polskiej składającej się jak prawie wszędzie na Kresach Rzeczypospolitej z obywatelstwa wiejskiego. Nie miejsce tu na dociekanie przyczyn tej dobrowolnej emigracji, nie pora dziś na sądy, stwierdzić tylko należy, że oddziało to bardzo ujemnie na wzniesienie życia narodowego na Wołyniu, który przez kilkadziesiąt lat polityki rusyfikacyjnej prawie że zupełnie zatracił swój charakter polski. A przecież o tem zapominać nam nie należy, że Wołyń, szczególnie zachodnia jego część sąsiadująca z jednej strony z Galicją a z drugiej z Kongresówką to naturalny teren naszej ekspansji narodowej na Wschód. I to teren już wypróbowany i posiadający poważny zaczątek osadnictwa polskiego. Pomimo bowiem szalonych utrudnień ze strony rządu (zakaz nabywania i dzierżawienia ziemi przez mieszkańców Królestwa) imigracja polska na Wołyniu stale wzrastała i to szczególnie w ostatnich trzydziestu latach. Gros emigrantów stanowili włościanie polacy z Galicji i Królestwa, którzy osiadali na dzierżawionych małych parcelach ziemi należących naogół biorąc do większych właścicieli ziemskich polaków. Dzięki tej emigracji procent polaków w powiecie Włodzimierskim wynosił przed wojną 14—15% dziś zaś po ewakuacji rusinów podniósł się do 35—40. Dziś są na Wołyniu

całe okolice czysto polskie jak np. koło Lubomla, jak pas od Biudugi nad Bugiem na wschód w kierunku Turzypaska i t. d. Jest więc za Bugiem materiał nad którym inteligentniejsza część społeczeństwa polskiego powinna i ma obowiązek roztoczenia opieki i to dzisiaj podczas wojny gdy stosunki narodościowe jeszcze się nie skrytalizowały i gdzie pomimo utrudnień spowodowanych tem że Wołyń należy do t. zw. ścisłego terenu działań wojennych — praca narodowa jest możliwą.

Polska inteligencja miejscowa, jak to już wspomniałem, jest nader nieliczną, jednak—choć późno bo w kilka miesięcy dopiero po ustąpieniu rosjan—zorganizowała we Włodzimierzu (w grudniu r. 1915) Komitet Obywatelski, następnie później Komitet Ratunkowy pow. Kowelskiego i Chrześcijański Komitet Ratunkowy m. Kowla.

Zakresem działania Komitetu Włodzimierskiego jest :

- a) reprezentacja interesów ludności wobec władz wojskowych;
- b) czynienie starań i przeprowadzenie akcji mających na celu podniesienie życia gospodarczego;
- c) ocena strat spowodowanych przez wojnę;
- d) akcja dobroczynna.

Komitet Włodzimierski w ciągu swego kilkumiesięcznego istnienia wniósł cały szereg memorjałów do władz w najróżnorodniejszych kwestjach, mających związek z życiem ekonomicznem ludności i niektóre z tych memorjałów osiągnęły skutek dodatni, pośredniczył między władzami a ludnością przy wnoszeniu podań o wypłatę kwitów rekwizycyjnych, która to sprawa na przednówku była sprawą nadzwyczaj pilną ułatwiał nabywanie zboża na zasiew na wiosnę. Oceny strat spowodowanych przez wojnę dotychczas nie można było przeprowadzić, opuszczone majątki wzięły w swoją administrację władze wojskowe. Akcja dobroczynna Komitetu polega głównie na wydawaniu zapomóg w naturze lub też

w gotówce. Dotychczas z pomocy Komitetu korzystało kilkaset osób.

Urządzona w Czerwcu na całym terenie Królestwa Polskiego kwesta p. t.: „Ratujmy dzieci” odbyła się też pod tym samym hasłem w pow. Włodzimierskim i pomimo że przypadała na czas czerwcowej ofensywy rosyjskiej, wtedy kiedy działania wojenne odbywały się o kilka mil od Włodzimierza i armia rosyjska parła naprzód,—przyniosła kwesta do dwóch i pół tysiąca koron, które zostały przekazane do Głównego Komitetu Ratunkowego w Lublinie.

Najwięcej absorbuje Komitet dział aprowizacyjny. Stosunki bowiem w tej dziedzinie były szczególniej zimą dzięki spekulacji — fatalne. Cukier, nafta i sól dochodziły do bajecznych cen. To też uzyskawszy z G. K. R. pierwotnie 25,000 kor. na akcję aprowizacyjną, Komitet przystąpił do zorganizowania szeregu sklepów komitetowych w różnych częściach powiatu i dzięki temu w znacznej mierze unormował ceny. Za czas od końca marca do 1 listopada sprowadzono towarów za sumę do 100,000 koron. Jedną z pierwszych czynności zarówno Komitetu Włodzimierskiego jakoteż i Kowelskiego było nawiązanie szerokiej łączności z Organizacjami Ratunkowymi w Kongresówce. Na początku lutego na Zjazd G. K. R. w Lublinie zjawili się delegaci Wołynia z propozycją przyłączenia organizacji wołyńskich do Ogólnej Organizacji Komitetowej w Kongresówce mianowicie do G. K. R., gdzie też zostali nadzwyczaj serdecznie przyjęci i od tego czasu biorą stały udział w zjazdach G. K. R., który ze swej strony wydatnie finansowo popiera komitety wołyńskie.

Niedawno powstały Chrześcijański Ratunkowy Komitet m. Kowla zorganizował sklep z najniezbędniejszymi artykułami spożywczymi w Kowlu oraz zajmuje się udzielaniem wsparć biednej ludności.

Tak mniej więcej w ogólnych zarysach przedstawia się ten dział pracy społecznej na skrawku Wołynia zajęтым przez armje sprzymierzone.

Szkolnictwo polskie na Wołyniu prócz kilku tajnych szkółek za czasów rosyjskich naogół biorąc nie istniało; dziś zaledwo budzi się do życia. Jednakże i na tem polu pomimo krótkiego przeciągu czasu są już rezultaty. Przy minimalnej pomocy Galicji i Królestwa powstał już w pow. Włodzimierskim cały szereg szkół polskich. I tak Włodzimierz posiada czteroklasową szkołę koedukacyjną, Uściług nad Bugiem — trzyklasową, Lubomil — dwuklasową — szkoły te istnieją już drugi rok. Pozatem jest kilka szkół jednoklasowych i liczba ich byłaby znacznie większą, gdyby było więcej inteligencji oraz gdyby komunikacja z kongresówką była ułatwiona. Brak sił nauczycielskich uniemożliwia otwarcie nowych szkół tam, gdzie po temu jest paląca potrzeba, przyznać też trzeba, że wiele ze szkół pod względem kwalifikacji ich kierowników i nauczycieli nie stało na wysokości zadania, ale to są rzeczy w dzisiejszym stanie nieuniknione. Ważnem jest to, że pewna ilość (obecnie w szkołach jest około 500 dzieci) wdroży się do pracy szkolnej, że nauczy się czytać i pisać w języku ojczystym, gdy dotychczas musiała uczyć się do szkół cerkiewnych i zaprzętać mózgi cyrylicą.

Na tem polu społeczeństwo polskie na Wołyniu ma prawo oczekiwać od Kongresówki i Galicji czynnego poparcia swych usiłowań i to poparcia nie tylko moralnego ale i materalnego.

Nie wiemy jeszcze jakie będą losy wojny, co będzie z tym skrawkiem Wołynia o którym mowa, lecz to jest pewnem, że w naszym interesie narodowym jest wzmocnienie polskości na kresach, stworzenie tej strefy która będzie Macierzą od zapędów wrogich nam czynników i przygotowywać grunt pod dalsze rozszerzenie się naszego stanu posiadania na wschodzie. Potężnym środkiem po temu jest szkoła polska na kresach.

Z. Dołęga.

11 Listopada 1916 r.

STOSUNKI GOSPODARCZE I SPOŁECZNO - ROLNE W OKUPACJI NIEMIECKIEJ KRÓLESTWA POLSKIEGO.

Brak inwentarza roboczego, utrudniona komunikacja, spalone obejścia gospodarskie i brogi, zniszczony lub unieruchomiony prawie zupełnie przemysł i wogóle to wszystko, co się mieści w pojęciu wojna, zadało ciężką, dojemną ranę naszemu dobrobytowi rolnemu, ale nie ranę śmiertelną.

Niemieckie władze okupacyjne już od pierwszych swych zarządzeń kładły wielki nacisk na uruchomienie za wszelką cenę warsztatów rolnych, iżby nie dopuścić widma głodu do kraju i iżby dla własnej armji zyskać możliwie najwyższą ilość prowiantu. W następstwie braku inwentarza pociągowego sprowadzono z Niemiec pługi parowe, które wynajmowano ziemianom do uprawy pola po cenach przystępnych, gospodarstwom zupełnie zniszczonym pożyczano nasienia do siewu, pieniędzy na zakup inwentarza. Często uciekano się nawet do kar, stosowano przymus, byleby tylko gospodarstwa były uruchomione, odłogi uprawione i rola oczekiwane wydawała plony.

Grupa ludzi, którym chodziło o to, by na posiedzenia kongresów pokojowych mieć wartościowe dowody poniesionych strat przez ziemian wskutek działań wojennych i otrzymać dzięki temu odszkodowanie, ustanowiła statut rejestracji tych strat, uzyskała zatwierdzenie tego sta-

tutu przez władze okupacyjne i, potworzywszy na całym obszarze ziem okupowanych odnośne komisje, w danej chwili jest na ukończeniu podjętej żmudnej pracy.

Władze niemieckie w swej okupacji na wzór pruskiego samorządu ziemskiego już z wiosną r. b. wprowadziły sejmiki powiatowe.

W następstwie tego okupacja niemiecka w Królestwie Polskim podzieloną została na 30 powiatów znacznie większych od powiatów przedwojennego porządku, na całość jednego powiatu obecnego stanu rzeczy składają się często dwa lub trzy powiaty dawniejsze.

Każdy z nowopowstałych powiatów posiada własny sejmik. Na czele sejmiku jako przewodniczący stoi naczelnik powiatu.

Skład sejmiku stanowią:

- 1) przedstawiciele większej własności ziemskiej,
- 2) przedstawiciele mniejszej własności ziemskiej,
- 3) przedstawiciele miast.

Ordynacja powiatowa nakłada sejmikowi w pierwszym rzędzie obowiązek wypełnienia następujących zadań:

- 1) opiekę nad rodzinami powołanych do wojska,
- 2) zdrowie publiczne,
- 3) budowę dróg.

Szkolnictwo zaś, popieranie przemysłu i handlu postawione są na dalszym planie.

Dochody sejmików pochodzą:

- 1) z dodatków do podatków państwowych,
- 2) z monopolów artykułów pierwszej potrzeby,
- 3) z podatków od psów, z kar, dobrowolnych składek i t. p.

Jeżeli przejrzymy tegoroczne budżety istniejących już sejmików (w powiatach znajdujących się blisko frontu rzą-

dzi sam naczelnik), przeciętny budżet dochodów sejmiku powiatowego wynosi około 800 tysięcy marek. Najwyższe dochody posiada sejmik będziński — (około 3 milionów marek).

Ponieważ zniszczone powiaty (naprz. ostrowski, mazowiecki, rawski) dają b. małe dochody, a często mają stosunkowo większe potrzeby, kasa centralna w Warszawie, pozostająca pod Zarządem Szefa Administracji, stara się drogą opodatkowania sejmików i udzielania im zasiłków normować ich budżety.

Sejmiki te z entuzjazmem społeczeństwa nie spotkały się dla tego, że w ustroju ich głos decydujący mają nie przedstawiciele społeczeństwa, lecz rządu. Niezależnie jednak od tego przyczyniły się w znacznej mierze do ruchu gospodarczego. Sumy jednak przeznaczone na zapomogi dla rodzin rezerwistów, obciążające budżety sejmików, w stosunku od 20 do 35% rozchodów powinny właściwie obciążać skarb państwa, a nie mieszkańców powiatu. W myśl też tego zupełnie słusznie członkowie sejmiku pułtuskiego zaoprotokulowali, że sumę tę wypożyczą sejmik rządowi rosyjskiemu na ręce rządu niemieckiego.

Sumy w budżetach sejmików, przeznaczone na cele podniesienia rolnictwa i na szkolnictwo stanowią zaledwie 2 do 5% rozchodów.

Centr. T-wo Rolnicze nie posiadając sum, które mu się należą z Departamentu Rolnictwa przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych Rosji, i otrzymując składki swych członków w znacznie mniejszej mierze, zmuszone było dla tych i innych powodów chwilowo osłabić swą działalność. Urządzone jednak z niemałymi trudnościami w r. b. dwa większe zjazdy ziemian w Warszawie dały możliwość porozumienia się rolnikom w sprawach zawodowych.

Dzięki wystosowanym memorjałom, C. T. R. zdołało uzyskać szereg ułatwień od władz dla gospodarki krajowej, dało tym władzom poważny materiał do właściwych z naszego punktu widzenia zarządzeń.

Z tej też instytucji ludzie, w następstwie nowych wzrastających potrzeb kraju, powołali do życia nowe organizacje: Tymczasowa Samopomoc Ziemiańskich, Bank Ziemiański, Związek Ziemiańskich, szereg zawodowych szkół rolniczych i leśnych i w porozumieniu z Radą Główną Opiekunczą w kilku miejscowościach kursy budownictwa wiejskiego.

Tymczasowa Samopomoc Ziemiańskich miała na celu pośpieszenie z pomocą materialną rolnikom, tej pomocy najczęściej potrzebującym. Fundusze Związku stanowiły przeważnie dobrowolne opodatkowania się ziemiańskich miejscowych, ofiary od rolników z Poznańskiego (przeszło 400 tys. rb.) i wynosiły około 1 mil. rb.

Tymczasowa Samopomoc Ziemiańskich w lipcu r. b. przekazała dalszy ciąg swej pracy „Związkowi Ziemiańskich“.

Nowa ta instytucja nosi charakter organizacji trwałej, opartej o statuty i udziały pieniężne, i ma za zadanie służyć w imię dobrobytu naszego, głównie interesom większej własności ziemiańskiej.

Związek ziemiańskich rozszerzył już swą działalność na poszczególne powiaty i działa w porozumieniu z Bankiem Ziemiańskim, instytucją wytworzoną przy T-wie Kredyt. Ziemiańskim i mającą na celu udzielanie pożyczek większej własności ziemiańskiej na warunkach znacznie przystępniejszych, niż na to pozwala ustawa T-wa Kred. Ziemiańskiego. W bilansie ostatnim Banku Ziemiańskiego już widzimy sumę przenoszącą 7 mil. rb.

W dziedzinie szkolnictwa rolnego powstał bardzo cenny i zasługujący na gorące poparcie projekt prof. Moczarskiego utworzenia w Warszawie równorzędnej uniwersytetowi i politechnice Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, któraby posiadała sześć samorządnych wydziałów: meljoracyjny rolniczy, ogrodniczy, leśny, weterynaryjny i ekonomiczno-społeczny. Trwanie nauki od lat 3 do 5. Po ukończeniu dyplomu zawodowca, po ogłoszeniu pracy naukowej — stopień doktora „rerum rusticarum“. Utworze-

nie takiej szkoły nie przedstawia większych trudności zwłaszcza, że chodziłoby tu na razie o scalenie i zreformowanie istniejących już w Warszawie odnośnych wyższych zawodowych uczelni.

Cent. T-wo Rolnicze powołało do życia dwie nowe szkoły leśne w Warszawie: Wyższą przy Kursach Naukowych i Szkołę Średnią leśną (Krakowskie Przedmieście róg ul. Miodowej).

W dziedzinie zawodowego szkolnictwa niższego zakładane są uczelnie o kursie jednorocznym, mające na celu kształcenie dorastających synów drobnych gospodarzy na rolników, którzy będą gospodarować na ojczystym zagonie i będą tem samem w rodzinnej wsi rozsadnikami kultury.

Tego typu szkoły istnieją w Liskowie, Sobieszynie, Pszczelinie, Mieczysławowie, Krzyżewie.

W dziedzinie drobnych Wiejskich Stowarzyszeń Pieniężnych należy podkreślić jako wyraz rozwoju tej pracy powstanie nowej instytucji pod nazwą „Związek Kooperatyw Pieniężnych“. Związek ten ma na celu pomoc techniczną w drobnych stowarzyszeniach pieniężnych i pieczę nad ich prawidłowym rozwojem.

Należy się spodziewać, że stosunki te niebawem się zmienią przy reformach, wprowadzających w życie niepodległość Królestwa Polskiego. W każdym razie przed rolnikami, których społecznym zadaniem jest zaspakajanie tej najniezbędniejszej potrzeby życia — dostarczanie pokarmów społeczeństwu, leży w danej chwili większa przyszłość, niż przed tak licznymi i różnorodnymi rozgałęzieniami naszego przemysłu i handlu.

Radostaw Krajewski,

Instruktor Rolnictwa przy C. T. R.

O DZIAŁALNOŚCI RADY GŁÓW- NEJ OPIEKUNCZEJ W OKUPACYI NIEMIECKIEJ.

Całe lato trwająca na naszym terenie akcja wojenna, bardziej zaś jeszcze niszczycielskie zapędy rosjan przy odrocie, doprowadziły całe okolice do ruiny, skazały całe masy ludności (do 1½ miliona) na gorzki chleb wygnańczy, pozostałej odebrały nieraz możność zaspokojenia najprymitywniejszych potrzeb. Nagłe wreszcie pozbawienie kraju łączności z państwem, będącym neutralnym odbiorcą bardzo rozwiniętego przemysłu Królestwa odrazu skazało na nędzę liczne w przemyśle i handlu zatrudnione rzesze ludności.

W tych warunkach ludzie dobrej woli nie mogli pozostać bezczynni. I oto już w grudniu 1915 r. powstaje Rada Główna Opiekuńcza celem, jak mówi ustawa nowej instytucji, „ulżenia nędzy w Polsce”. Prezesurę jej objął p. St. Dzierzbicki, Zarząd stanowią pp.: A. hr. Ronikier, Stan. Staniszewski, W. hr. Rostworowski, L. Górski i A. Olszewski.

Rada ta, złożona z ludzi doświadczonych na polu pracy społecznej (większość b. członków b. C. K. O.) już w ciągu kilku pierwszych miesięcy istnienia potrafiła objąć całość kraju (poza Warszawą, pozostającą pod opieką własnego zarządu miejskiego, później magistratu) ramami swej organizacji. W każdym powiecie utworzone zostały z najświetlejszych jednostek prowincji (duchowieństwo, ziemiaństwo oraz inteligencja miejska) Rady Opiekuńcze Powiatowe, których najpierwszym zadaniem było zorganizowanie we wszystkich możliwie gminach Rad Opiekuńczych miejscowych, organów ściśle wykonawczych. O niezwykłym powodzeniu prac R.G.O.

na polu organizacji świadczy fakt, iż mimo ogromnych trudności, spowodowanych ewakuacją do Rosji znacznej części ziemiaństwa i inteligencji zawodowej, mamy teraz w kraju pokaźne cyfry 43 Rad Powiatowych i 626 Rad Miejskowych.

Niesienie przez R. G. O. pomocy ludności od początku skierowane być musiało przede wszystkim ku doraźnemu zapobieżeniu straszному niedostatkowi, szerzącemu się, szczególnie w zimie 1915 r., wśród najuboższej, bądź najbardziej przez wojnę dotkniętej ludności. W tym celu już w pierwszych odrazu miesiącach zorganizowano po wszystkich prawie miastach i miasteczkach prowincjonalnych jadłodajnie i herbaciarnie, wydające nędzaczom darmo codzienną porcję zupy lub herbaty z chlebem, które stanowiły niejednokrotnie jedyne ich pożywienie. Większe miasta, jak Kalisz, Włocławek, posiadają ich po kilka. Po gminach w miejscowościach zniszczonych udzielano przez Rady Miejskowe zapomóg żywnościowych w naturze na zasadzie formowanych list potrzebujących (bywały powiaty np. Kolneński, gdzie potrzebujących liczono na tysiące), zapomóg w gotówce udzielano tylko w ostateczności. Zorganizowano wreszcie rozdawnictwa opału oraz nadsyłanej z Poznańskiego odzieży.

Dla najnędzniejszych, dla starców i kalek pootwierano szereg przytułków i schronisk, subsydując jednocześnie wszystkie tego rodzaju instytucje, istniejące już dawniej, jak Tow. Dobr. zakłady filantropji prywatnej etc. Mimo szczupłych funduszy, które nie pozwoliły R. G. O. na rozwinięcie szerszej akcji sanitarnej w kraju, udzielano jednakże miesięcznych subsydjów kilku szpitalom w bardziej zagrożonych miejscowościach, oraz niesiono pomoc ludności na tem polu przez zapomogi na lekarzy i lekarstwa.

Nawet w Warszawie chociaż stała ludność, korzysta z opieki samorządu miejskiego, R. G. O. musiała się zająć wszystkimi mieszkańcami prowincji, zapędzonymi do stolicy przez wojnę. Udzielano im tutaj zapomóg w żywności i odzieży, ułatwiano powrót do miejsc rodzinnych, pourządzano

schroniska, bursy dla młodzieży i t. d. Niejednokrotnie również wypadło R. G. O. udzielać pomocy ludności ewakuowanej z frontu wschodniego.

Specjalną opieką otoczyła R. G. O. dzieci w całym kraju. Rozumiejąc, iż w tych najbardziej narażonych maleństwach spoczywa przyszłość kraju, R. G. O. czyniła i czyni wszystko, co jest tylko w jej mocy dla zapobieżenia jej śmierci, degeneracji i zepsuciu. Pokryto więc cały kraj, ze ze szczególnem uwzględnieniem najbardziej zniszczonych miejscowości, ochronami (liczba ich wynosi 1372), w których dzieci prócz opieki i nauki otrzymują zwykłe gorące pożywienie. W dużych miastach i osadach fabrycznych zorganizowano „Kroplę mleka“, oraz żłobki dla niemowląt; gdziekolwiek pootwierano nawet przytułki położnicze. Dzieci w największych skupieniach fabrycznych mają już własne stacje opieki lekarskiej, szpitaliki dziecięce, przytułki przeciwgruźlicze, kąpiele i t. p., dla sierot i dzieci zgubionych rodziców pootwierano specjalne schroniska, dla starszych 12—14-letnich urządzono zakłady wychowawcze, ogniska i sale zajęć. Podczas lata wreszcie całemi partjami wysyłano dzieci z miast na wieś. Ogólna liczba dzieci pod opieką R. G. O. wynosi przeszło 73.000. Zaznaczyć również należy, iż staraniem organizacji R. G. O. w czerwcu 1916 r. odbyła się na całym terenie okupacji 1-sza kwesta Ogólnokrajowa pod hasłem „Ratujcie dzieci“. W kweście tej, która stała się prawdziwym narodowym świętem, wzięły gorliwy udział wszystkie warstwy ludności; rezultat jej zarówno moralny, jak materialny przekroczył wszelkie oczekiwania. Ogółem zebrano prawie pół miliona rubli.

Tyle uczyniła i nadal czyni R. G. O. w zakresie niesienia doraźnej pomocy ludności klęską wojny dotkniętej. Uważając jednak, iż prace te nie wyczerpują całości jej ogromnego zadania, brała R. G. O. udział we wszystkich sprawach i wysiłkach, dążących do ulżenia wyniszczonemu przez wojnę krajowi i do przywrócenia normalnego życia, bądź biorąc na siebie inicjatywę tych poczynań, bądź przez swe ucze-

stnictwo w rozpoczętych już pracach, kierując je na drogę ogólnonarodowej celowości i pożytku.

Z prac pierwszego rodzaju, zainicjowanych i samodzielnie przez Radę prowadzonych, na pierwszym miejscu postawić wypada czynione przez nią wysiłki w kierunku aprowizacji prowincji, szczególniejsz miast i miasteczek prowincjonalnych. Nie mogąc zarówno z powodu szczupłości swych środków, jak i względów od nich niezależnych, objąć w swe ręce całości akcji aprowizacyjnej, R. G. O. wszystkimi siłami dążyła stale do zwalczania szerzącej się wraz z niedostatkiem karygodnej spekulacji żywnościowej. W tym celu założony został cały szereg hurtowni prowincjonalnych, które w zbawienny sposób regulują ceny artykułów pierwszej potrzeby, przynosząc tem samem znaczną ulgę ludności i ciesząc się ogromną wśród niej popularnością. W wielu miejscowościach przez Rady Powiatowe i Miejskowe uskutecznianym bywa sprawiedliwy podział między ludnością towarów sprowadzanych przez władze, co usuwa tyle szkodliwe w chwili obecnej pośrednictwo; w ostatnich wreszcie czasach Rady te ujmują niejednokrotnie w swe ręce monopole pewnych artykułów, wyjmując je w ten sposób z pod wpływu spekulacji.

Myślą o przyszłości cechowane są prace R. G. O. na polu odbudowy kraju, ogniskujące się w jej Wydziale Budowlanym, pozostającym pod kierunkiem arch. J. Heuricha. Wydział ten opracowuje przepisy budowlane, stwarzając zaczątki prawodawstwa polskiego w tym kierunku; tworzy plany regulacyjne zniszczonych miast i miasteczek, projektuje racjonalną odbudowę wsi polskiej; kształci i przygotowuje siły fachowe do przyszłej odbudowy; organizuje biura porad budowlanych na prowincji, udziela chętnych i wyczerpujących wskazówek na miejscu — słowem, zgrupowawszy w swym łonie i koło siebie wytrawnych architektów polskich, dzięki swej energii i inicjatywie sprawia, iż wszelki ruch racjonalnej odbudowy kraju odeń wychodzi i w nim się, jako w naturalnym tych poczynań ośrodku, skupia. Pod-

nieść należy, iż specjalną uwagę poświęcono ratowaniu od zagłady starożytnych pomników naszego budownictwa.

R. G. O. podjęła również i wprowadza w czyn myśl rejestracji strat wojennych, w miastach, przemyśle i handlu, celem uzyskania ewentualnych odszkodowań po wojnie. Pomyślny przebieg tej olbrzymiej pracy, również ześrodkowanej w specjalnym wydziale, pod przewodnictwem mec. K. Olszowskiego, da z czasem, łącznie z dokonaną już poważnie rejestracją strat w rolnictwie, dokładny obraz poniesionej przez kraj klęski materialnej i pozwoli na wyciągnięcie niezbędnych dla pomyślniej przyszłości wniosków.

Z prac, w których R. G. O. brała udział celem skierowania ich na tory narodowego pożytku, wymienić należy projekt utworzenia krajowej instytucji emisyjnej, oraz powstania Macierzy i Rady Szkolnej Krajowej; ogólnie zaś rzecz można bez przesady, iż nie było w tym czasie ważniejszej sprawy krajowej, któraby pozostała obcą R. G. O. Z biur jej wychodziły całe szeregi memorjałów do władz, niejednokrotnie wywierających znaczny wpływ na stosunki w różnych dziedzinach (że przypominamy tylko osiągnięte przez R. G. O. ulgi w dziedzinie ułatwienia komunikacji); zasypywana przez ludność mnóstwem listów i podań, stała się R. G. O. naturalną orędowniczką ludności wobec władz okupacyjnych. Ścisły ten stosunek opiera się na wzajemnych informacjach o przedsięwziętych poczynaniach i najchętniejszej wymianie usług.

Na zakończenie wypada podnieść, iż wszystkie te przez R. G. O. przedsięwzięte i wykonane prace, cały ten długi szereg utrzymywanych przez nią zakładów dobroczynnych, cały ten ogrom zadań, nigdy prawie przez jedną instytucję społeczną nie podejmowany, opierał się i opiera nadal na środkach niezwyklej wprost szczupłości. Już samo pochodzenie tych środków ze źródła wyłącznie prawie filantropijnych (Kom. w Vevey, Kom. Pozn.), wskazuje na ich znikomość; finansowe przedsięwzięcia samej R. G. O., w pierwszym rządzie kwesta Ogólnokrajowa i loterja R. G. O.,

w sumie nie dała nawet miliona rubli. Nic też dziwnego, że braki finansowe krępowały działalność R. G. O. od samego początku, teraz zaś grożą zupełną likwidacją tej tyle niezbędnej instytucji. Zdumieniem za to przejmuje fakt, iż zamożniejsze warstwy ludności przyjmują tę groźbę z obojętnym spokojem. Ofiarności zamożnych warstw na R. G. O. prawie nie było i niema. W ostatnim dopiero miesiącu uchwały ziemian kilku powiatów wskazują na to, że R. G. O. to nie stracony posterunek społeczny i że są obywatele w kraju, co na jej ratowanie i ratowanie przez nią nędzy choćby czastkę swych dochodów poświęcą.

P. Ch.

O DZIAŁALNOŚCI GŁ. KOM. RATUNKOWEGO W OKUPACYI AUSTRYACKIEJ.

Niedawno upłynął rok od chwili rozpoczęcia działalności przez instytucję, posiadającą niezmiernie doniosłe znaczenie dla części Królestwa Polskiego, okupowanej przez władze austriacko-węgierskie,—jako organizacja, mająca na celu umożliwienie ludności przetrwania czasu wojny, oraz utrzymanie prawidłowego biegu życia zarówno prywatnego jak i publicznego. Instytucją tą jest Główny Komitet Ratunkowy w Lublinie, którego organizacyjne posiedzenie odbyło się w dniu 11 listopada 1915 roku w sali miejscowej Dyrekcji Szczegółowej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Zagałęł je przemówieniem J. E. Generał-Gubernator baron Diller, (następnie zaś Komisarz Rządowy Dr. Marjan Sobolewski odczytał obszerny referat w sprawie organizacji Komitetów Ratunkowych. Zadaniem Głównego Komitetu Ratunko-

wego stało się wykreślenie ogólnych zasad dla całej akcji ratunkowej, udzielanie w tych sprawach wskazówek Komitetom Ziem, naczelne kierownictwo i administracja środkami pieniężnymi, obmyślenie sposobów uzyskania tych środków, nadanie najpraktyczniejszego kierunku akcji odbudowy spalonych miejscowości, wogóle inicjatywa na polu dobroczynności ekonomicznej i społecznej, wreszcie pośredniczenie między władzami, a poszczególnymi Komitetami i przekładanie Zarządowi Wojskowemu petycyi w tych wszystkich sprawach.

Organizacyjne posiedzenie G. K. R. odbyło się przy udziale 19-tu delegatów Ziem: Lubelskiej, Radomskiej, Kieleckiej i Piotrkowskiej oraz 3-ch delegatów Komitetu Księcia Biskupa Krakowskiego. Pierwszym prezesem G. K. R., wybranym na tem posiedzeniu, był ś. p. Henryk Dembiński; od chwili jego śmierci godność tę pełni Juljusz hr. Tarnowski. Na Wice-prezesa G. K. R. obrany został p. Jan Stecki, na członków Prezydjum pp.: Andrzej Garbiński, Jan Kowerski, Henryk hr. Potocki, Stanisław Śliwiński i Józef Targowski.

Przy G. K. R. istnieją następujące Wydziały: Ogólny Rolniczy, Sanitarny, Dobroczynny, Budowlany, Przemysłowo-Handlowy, Kredytowy oraz Sekcja Miejska.

Na obszarze okupacji Austro-Węgierskiej działają 4 Komitety Ziem: Lubelski, Radomski, Kielecki i Piotrkowski, 27 Komitetów Powiatowych i 495 Komitetów Gminnych. Zasada podziału Komitetów jest terytorjalna. Najniższą jednostkę stanowi Komitet Gminny lub Miejski, następnie idzie Komitet Powiatowy, poczem Komitet Ziemi,—najwyższą wreszcie instancją jest Główny Komitet Ratunkowy. Komitety miast: Lublina, Radomia, Kielc i Piotrkowa są, jako instancje, równoznaczne z Komitetami Powiatowymi. Wszystkie Komitety pracują według regulaminu, zatwierdzonego przez ogólne zebranie G. K. R.

W skład Głównego Komitetu Ratunkowego wchodzi: delegaci Komitetów Ziem—od 4-ch do 6-ciu z każdej ziemi, 2-ej członkowie Komitetu Biskupiego Krakowskiego, członek

Komitetu Austro-Węgierskiego, dwaj członkowie Rady Zjazdów Przemysłowców Górniczych i Hutniczych oraz członkowie, kooptowani na przedstawienie Prezydium przez Ogólne Zebranie G. K. R.—Prezisi lub Wice-prezisi Komitetów Powiatowych mają prawo uczestniczenia z głosem doradczym na wszystkich zebraniach ogólnych i wydziałowych G. K. R.

Ogólne posiedzenia G. K. R. odbywają się zasadniczo raz na miesiąc. Są one dwojakie: sprawozdawcze i wnioskodawcze. Na pierwszych Prezydium składa sprawozdanie z swych czynności oraz z działalności wszystkich Wydziałów, istniejących przy G. K. R.—Na posiedzeniach wnioskodawczych referenci poszczególnych Wydziałów przedstawiają do zatwierdzenia ogólnego zebrania wnioski swych Wydziałów.

Działalność G. K. R., jako najwyższej instancji przedstawicielskiej i wykonawczej—zrzeszonej w celach samopomocy ludności części kraju, znajdującej się w okupacji Austro-Węgierskiej, — obejmuje przede wszystkim sprawy, mające znaczenie dla ogółu. W ciągu rocznej działalności G. K. R. jego Prezydium zwracało się do Władz Naczelnych nie tylko w całym szeregu kwestji o charakterze ekonomiczno-społecznym, mających związek ze zniszczeniem lub skutkami zniszczenia danej miejscowości kraju,—w celu możliwie sprawnego i szybkiego usunięcia zła, lecz usiłowało również w miarę możliwości wpływać na najbardziej pomyślne rozstrzygnięcie każdej donioślejszej dla kraju sprawy.

Z wielu spraw, które stanowiły przedmiot zabiegów G. K. R., należy wymienić akcję w kierunku zwalczania pijactwa, organizowanie stałej bądź czasowej pomocy sanitarnej w najszerszym tego słowa znaczeniu, przede wszystkim zaś prowadzenie aprowizacji bezrolnej ludności w nader trudnych warunkach, przy wykonywaniu tego ciężkiego obowiązku obywatelskiego napotykanym.

Uważając za wytyczną swojej działalności łagodzenie nędzy wśród ludności naszego kraju, G. K. R. popiera zakładanie nowych i podtrzymuje istniejące: ochrony, przytuł-

ki, schroniska, tanie kuchnie, ambulatorja i t. p. — Ogółem w obrębie okupacji Austro-Węgierskiej istnieje około 250 Instytucji filantropijno-społecznych, bądź założonych, bądź też wspomaganych przez Komitety Ratunkowe, działające pod egidą G. K. R.

Zawdzięczając pomocy Komitetu Biskupiego Krakowskiego G. K. R. zakupuje dla uboższej ludności znaczne ilości materiałów ubraniowych i bieliznianych, sprowadza również—dzięki pomienionemu Komitetowi—mleko skondensowane, dostarczając je przedewszystkiem instytucjom, których zadaniem jest żywienie dzieci.

Dążąc do uregulowania handlu produktami pierwszej potrzeby i udostępnienia ich najszerszym warstwom ludności po cenach możliwie najniższych, G. K. R. powołał do życia instytucję, która zorganizowała się jako Towarzystwo Akcyjne pod nazwą „Polska Centralna Handlowa” i której zadaniem jest urzeczywistnienie powyższych zamierzeń G. K. R.

Za pośrednictwem Wydziału Budowlanego G. K. R. zapoczątkował akcję w kierunku odbudowy zniszczonych miejscowości kraju. Przystąpiono już do wykonania planu odbudowy miasta Puław. Postanowiono uruchomić kursa dla pomocników mierniczych i rysowników, zamierzone jest również zorganizowanie wykładów dla włościan w sprawie odbudowy. Od chwili rozpoczęcia działalności przez G. K. R. po 1 listopada r. b. najważniejsze pozycje dochodów G. K. R. przedstawiały się jak następuje: wpływy z Książęcego Komitetu Biskupiego i z Vevey — 1.600.000 Kor., z Jeneralnego Gubernatorstwa Wojskowego — 60.000 K., z innych źródeł 341.692 K., fundusz na Wydział Budowlany — 40.000 K., fundusz na odbudowę spalonych miejscowości — 50.000 K., na prace statystyczne 6.000 K., na ewakuowanych z Wołynia 840 K., na ratownictwo dzieci 150.000 K.

W maju r. b. G. K. R. zorganizował kwestę pod hasłem „Ratujmy dzieci”, która przyniosła 175.264 K.

Wydatki w powyżej wskazanym okresie wynosiły: sumy, wypłacone Komitetom Ziem, — 1.623.870 K., zapomoga dla ewakuowanych z Wołynia 17.000 K., Wydziałowi Dobroczynnemu—11.763 K., Sanitarnemu—23.073 K., Budowlanemu — 18.260 K. Koszty handlowe i inwestycje wyniosły kwotę 26.172 Kor.

Dla zasilenia swych funduszków G. K. R. przyjął udział w Loterii Dobroczynnej, zorganizowanej w październiku r. b. przez Radę Cłowną Opiekuńczą w Warszawie.

Oprócz działalności na terenie 4-ch ziem G. K. R. zasiliał pozatem funduszami Komitety Ratunkowe: powiatu Kowelskiego i Włodzimiersko-Wołyńskiego, udzielił również zapomogę Komitetowi w Nowogródku oraz przyjął udział w akcji ratunkowej dla jeńców Polaków, znajdujących się w Turcji.

Głównem źródłem, które dotychczas zasilalo fundusze G. K. R., jest Komitet Biskupi Krakowski. Ponieważ jednak wpływy z K. B. K. zmniejszają się ustawicznie—w niedalekiej już przyszłości nadejść może chwila, kiedy społeczeństwo będzie zmuszone liczyć wyłącznie na własne siły i środki. Przewidując to, Prezydium G. K. R. wydało w ostatnim czasie odezwę, przedstawiającą ogółowi naszemu istotne ekonomiczne położenie kraju oraz całą grozę tego położenia i nawiązującą do wzmożenia ofiarności.

Wydając powyższą odezwę, G. K. R. uczynił to w przeświadczeniu, iż znajdzie ona przychylny oddźwięk wśród najszerszych warstw społeczeństwa i przyczyni się do pozyskania środków, niezbędnych dla umożliwienia przetrwania obecnych tak ciężkich czasów ludności, dotkniętej klęskami długiej wojny.

PO IRTYSZU I OBI W 1866 R.

KILKA KART RĘKOPIŚMIENNYCH ZE WSPOMNIEŃ WOŁYNIAKA.

Po tygodniowym pobycie w Tobolsku w połowie lipca 1866 r. nadszedł nareszcie dzień wyjazdu w dalszą drogę. Wyprowadzono z zamku więziennego moich towarzyszy i mnie na brzeg rzeki Irtyszu, którym mieliśmy płynąć na północ, aż do ujścia jego do Obi. Było około siódmej wieczór, parostatek holował ogromne barże, jedną napełnioną towarami, drugą tak zwaną arestancką. Z współtowarzyszy moich Jachimowicz i Masałow, jako jadący z żonami, otrzymali miejsce na parostatku, Oborski zaś, Żeromski, Żytyński i ja, jako bezzenni, umieszczeni zostaliśmy na barży, wraz z uwolnionymi z aresztanckich rot i udającymi się na posielenia. Dobrze się już ściemniło, gdyśmy się do niej dostali, była pokryta pomostem a całe jej wnętrze przecięte było wązkim korytarzem do którego po drabinie trzeba było schodzić, a wzdłuż którego dla więźniów cały dół podzielony był na dwa piętra, jakby obecne spalne wagony, gdy się wyższe łóżka podniesie.

Cała ta przestrzeń była podzielona przepierzeniami na trzy części: w środkowej pomieszczeni byli więźniowie polityczni, po prawej stronie były kobiety kryminalistki a po lewej ich koledzy płci męskiej. Wszystkich razem było nas przeszło pięćset osób. Ponieważ u góry było daleko goręcej, położyłem się na dole, lecz tam okazały się rozmaite niedogodności o których wolę nie wspominać, a które spowodowały, że przeniosłem się na górę pod okienko barży wielkości małej szyby od okna. Tam urządziliśmy sobie z Ludwikiem Żytyńskim zupełnie elegancki pokoik, z dwóch jego stron powiesiliśmy dywaniki, które mieliśmy z sobą a które stanowiły jakby ściany, oddzielające nas od towarzyszy podróży, między naszymi posłaniami, postawiliśmy ogromny

plaski kufer Zytyńskiego, który nam służył za stół i byłoby nam wcale niezłe, gdyby nie konieczność ciągłego leżenia lub siedzenia. Chcąc stanąć na nogach, trzeba było zejść na korytarz i tyle chodząc po nim lub na pomoście, można było sobie przypomnieć, że się ma nogi. Był między nami francuz Dumoulin, którego tytułowaliśmy kapitanem, lecz zdaje mi się, że w swoim kraju zajmował daleko skromniejsze stanowisko podoficera. On zajmował się naszą kuchnią, odbierał od oficera prowadzącego etap nasze karmowe pieniądze, wynoszące dziennie po 15 kop, od osoby i za nie urządzał dla nas obiady z pewnym dla siebie małym zyskiem. Czy one były dobre czy złe, już dziś nie pamiętam, dwie tylko rzeczy obrzydliwe zostały mi w pamięci, po pierwsze wymiona krowie, a po drugie ciele, przed urodzeniem ugotowane, to ostatnie szczególnie było okropne. Przy wyjeździe z Tobolska, naładowano na barzę bydło, mające służyć na nasze pożywienie, aż do miejsca, gdzie znowu by je można było nabyć. W drodze naturalnie nie było ono karmione, to też szczególnie pod koniec, mięso było bardzo złe. Z pomiędzy kolegów minorum gentium, wybraliśmy sobie jednego młodego chłopaczka, który za bardzo skromne wynagrodzenie, podjął się nastawiać nam nasz własny samowar, czyścić obuwie i ubranie i oddawać różne drobne posługi. Gdyśmy pili herbatę Oborski przyszedł nas prosić o gorącą wodę z samowaru, w której drobił kawałki wydawanego nam czarnego chleba i taką papkę zjadał na śniadanie. Dowiedziałem się, że to robi z powodu braku wszelkich funduszy na kupno cukru i herbaty, poszedłem więc zaproponować mu małą pożyczkę, odmówił przyjęcia, twierdząc, że niema żadnej pewności, aby mógł ją kiedykolwiek zwrócić, lecz gdy zacząłem nalegać, zgodził się ostatecznie na przyjęcie 25 rubli, które zresztą po przybyciu do Irkucka, gdzie zastał czekające na niego pieniądze, najsumienniejszym zwrócił. Później gdy zostałem ulaskawiony i przybyłem do Warszawy, szukając mieszkania do wynajęcia, zaszedłem do domu na Nowym-Świecie, na którym wisiała karta o niezajętym mie-

szkaniu, bardzo mi się ono podobało, lecz mając mało pieniędzy, musiałem się liczyć z wydatkami, zaszedłem do właścicielki domu P. Rakowskiej, proponując jej za nie 200 rubli rocznie, na co za nic nie chciała się zgodzić, twierdząc że mieszkanie jest daleko więcej warte, co zresztą było zupełnie słusznem; tłumaczyłem jej, że tylko co wróciwszy z Syberyi, mało mam pieniędzy i więcej na mieszkanie wydać nie mogę wtedy spytała się mnie o nazwisko, a gdy się o niem dowiedziała w ten moment wynajęła mi oglądane przezemnie mieszkanie, nie tylko za ofiarowaną cenę, lecz za co zechcę sam płacić, mówiąc, że uratowałem życie Jej brata i że czuję się szczęśliwą, że choć w części może się za to odwdziaczyć, Pokazało się, że była siostrą Oborskiego, którego listy do rodziny były przepelnione wdzięcznością dla mnie, za okazaną mu w drodze Sibirskiej przysługę.

Od Tobolska, płynęliśmy ciągle na północ, dopiero wpływawszy na Obie, skierowaliśmy się na południe. Brzegi Irtyszu i części północne Obi szkaradne, same błotniste tundry, porosłe jak zajeździe było można okiem, bujną trawą, wśród której od czasu do czasu widniały jakieś mizerne krzaczki. Na nadbrzeżnych piaskach widzieliśmy jurty kocujących Ostiaków. Jak tylko parostatek się zbliżał, podjeżdżali doń na swych czółenkach, podwożąc ryby na sprzedaż nie za pieniądze, lecz zamiennym sposobem, za potrzebne sobie przedmioty. Ryby były wyśmienite, o jakich w Europie mało mamy pojęcia: sterlety, szelmy, moksury: nie mówiąc już nic o łososiach, jesiotrach i t. d. Zjeść wszystko to co było podwożonem było niepodobniestwem, to też cały pomost był zawalony rybami rozplatanemi i zawieszonemi na słońcu aby wyschły i już wysuszone, mogły służyć za pokarm na przyszłość. Manipulacja ta zresztą bardzo praktyczna, zatruwała nam powietrze, gdyż na całym pomoście, rybę tylko czuć było. Z dziwną zrzecznością Ostiacy nam tę rybę podwozili, parostatek wcale się nie zatrzymywał i całą zamianę trzeba było załatwiać akrobatycznemi sztukami, gdyż wysokość barży nie pozwalała na

bezpośrednie zetknięcie się z łódkami Ostiaków, przyczem ruch jej ciągle je przewracał i co chwila widzieliśmy ich wpadających do wody i zaraz z niej wyskakujących.

Jednej nocy mieliśmy ogromną emocję, około drugiej godziny obudzeni zostaliśmy silnem wstrząśnieniem naszej barży, z ogromnym trzaskiem przechyliła się i zdawało się że tonie, wszyscy powyskakiwali z pościeli aby się jakkolwiek ratować, barża się zatrzymała pochyłona na bok i w tej pozycyi do rana została. Wtedy pokazało się, że w tem miejscu, rzeka pod bardzo ostrym kątem zaginała się na prawo a że parostatek nas holujący za blisko brzegu płynął, nasza barża na końcu płynąca zrobiła za wielki łuk i weszła na brzeg zalany wodą lecz zarośnięty rozmaitemi drzewami i krzewami, wśród których łamiąc je w około, zatrzymała się, z rana parostatek się zawrócił i wyciągnął nas na koryto rzeki i bez szwanku puściliśmy się w dalszą drogę.

Pierwszego dnia oficer nas konwojujący przyszedł zawiadomić, że naczelnik wewnętrznej straży zachodniej Syberyi, jadący parostatkiem, zwiedzi naszą barżę, prosił więc aby usunąć wszystko co mogło by być uważanem za niedozwolone więziennym regulaminem. Zastosowaliśmy się do jego żądania i rzeczywiście po południu łódką podpłynął do naszej barży. Gdy wszedł, zaraz poznałem w nim dawnego mego znajomego z Kijowa Jerakowa, był tam dyrektorem miejscowego korpusu kadetów w czasie mego pobytu w Uniwersytecie. W położeniu w jakim się znajdowałem, nie miałem żadnej ochoty mu się przypominać lecz on także mnie poznał i ubolewając nad moim losem, zaczął się bardzo serdecznie witać i zapraszać na parostatek, na którym z powodu braku miejsca, chciał swoją osobistą kajutę, ze mną podzielić. Nie chciałem opuszczać moich towarzyszy, lecz tak nalegał, że obiecałem mu, któregoś dnia, do niego się na jakie parę dni przenieść. Tak płynąc dotarliśmy do Surgutu, miasteczka na brzegu Obi położonego, tam mieliśmy się kilka godzin zatrzymać dla nabrania bydła i drzewa na opał dla parostatku. Oficer zaproponował nam, jeśli mamy ochotę

zwiadzić tę miejscowość ;po tygodniu przeszło braku wszelkiego ruchu, przyjeśliśmy z radością zrobioną nam propozycję i we trzech łódką, wybraliśmy się na ekspedycję. Dziwne to było miasteczko, ten Surgut, otoczone ze wszech stron tundrami na setki a może i tysiące wiorst, bez jakiegokolwiek komunikacji ze światem oprócz rzeki Obi. Przybywszy na brzeg, zacząłem szukać jakichś miejscowych wyrobów, aby je nabyć na pamiątkę, lecz nic nie znalazłem; gdy tak błądziłem po ulicach, porośniętych po pas bujną trawą, ktoś przez okno mnie zapytał, czy jestem polityczny przestępca a gdy mu potakująco odpowiedziałem, zaprosił do siebie na śniadanie, przyjąłem zaproszenie pod warunkiem, że przeprowadzę z sobą mego kolegę, bardzo chętnie się zgodził i po chwili przyprowadził z sobą Żytyńskiego. Dał nam doskonałej wódki i rodzaj pasztetu z ryby w cieście; było to wcale niezłe. Przy śniadaniu asystowały dwie jego córki, które posłał do ogrodu po coś słodkiego na deser dla nas, przyniosły dwie rzepy, które musieliśmy zjeść, aby nie urazić tak gościnnego gospodarza. Wszystko to zabrało nam dość czasu, tak że przyszedłszy na brzeg, nie zastaliśmy już naszej łódki, która z powrotem, do barży odpłynęła, pozostała jeszcze druga, należąca do barży towarowej, ulokowaliśmy się na niej z kilkoma należącymi do niej robotnikami. Na nieszczęście byli oni zupełnie pijani i zaczęli od tego, że chcieli nas zmusić do wiosłowania, czemu się stanowczo oparłem mówiąc że bardzo chętnie bym im w pracy dopomógł, gdyby o to uprzejmie prosili, lecz na łajania i groźby, wcale uwagi nie myślę zwracać. W ciągłych kłótniach, dopłynęliśmy do barży, na którą pijany zupełnie sternik wprost naszą łódkę kierował, zamiast podpłynąć bokiem, jak się należało. Z barży wołali na nas radząc abyśmy obezwładnili sternika, gdyż on nas wszystkich potopi i zaczęli już rzucać sznury abyśmy mieli za co się chwycić w chwili przewrócenia się łódki. Wtedy jeden z naszych towarzyszy mniej od innych pijany rzucił się na sternika, chcąc go od steru usunąć, gdy zaczęli się szamotać, pochwyliłem tego ostatniego

za nogi, upadł a wtedy wyrwano mu rudel z ręki, łódź gwałtownie się skręciła, woda zupełnie nas oblała ale byliśmy uratowani i zupełnie przemoczeni dostaliśmy się jako tako na barżę. Na drugi dzień, gdy sternik i drudzy robotnicy będący z nami w łodzi się wytrzeźwili, przyszli do mnie z prośbą o interwencję do naszego oficera, który ich skazał na plagi, lecz odmówiłem im z powodu ich grubijańskiego postępowania z nami, zrobiłem tylko wyjątek dla tego który zwalczył sternika i on jeden został ulaskawiony, wszyscy inni zostali cielesnie ukarani. W parę dni po tem zajściu, zaproszony ponownie przez Jerakowa, przeniosłem się na kilka dni na parostatek; było mi na nim bardzo wygodnie. Jerakow dał mi swoją strzelbę i całemi godzinami czatowałem na przelatujące po nad parostatkiem ptactwo, często przelatywały całe stada gęsi lub kawek, nieraz ciągnęły łabędzie a na brzegach rzeki siadywały na gałęziach zwieszających się nad wodą, duże ptaki, które tu nazywano bakłanami. Jak naukowo się nazywają, zupełnie nie mam pojęcia ale bardzo przypominały później przezemnie spotykane kormorany. Muszę jednak przyznać, że w ciągu jazdy parostatkiem, najmniejszego powodzenia jako myśliwy nie miałem i ani jednej sztuki nie udało mi się zabić. Na parostatku miałem wszelkie wygody, lecz stół wkrótce mi obrzydł, kucharz ciągle nas karmił sterletami pod najrozmaitszemi postaciami zacząwszy od zupy, prowizje wzięte z Tobolska zostały na barży i nie miałem możności jakkolwiek urozmaicić moich śniadań i obiadów, to też sterlety i wszelka ryba tak mi obrzydły, że nawet patrzeć na nie nie mogłem.

Po kilku dniach pobytu na parostatku, powróciłem na barżę do kochanego Ludwika Żytyńskiego, który w dalszym ciągu odczytywał mi swoje poetyczne utwory. Zapomniałem powiedzieć, że chcąc zająć czemś długie chwile naszej wodnej podróży. rozpoczął nie znając wcale angielskiego języka, tłumaczenie za pomocą tylko dykcyonarza Manfreda Byrona. Musiałem to wszystko słuchać co szczerze mówiąc, bardzo mnie nudziło, szczególnież że nie znosił jakiegokolwiek krytyki.

Najprzyjemniejsze chwile były wieczory spędzone na pomoście w dnie pogodne, gdy więźniowie kryminaliści chórem rozpoczynali śpiewy. Wogóle śpiewali bardzo dobrze a tęskne i rzewne ludowe rosyjskie pieśni, jak naprzykład „tam na puti sieło bolszoje“, „krasnij sarafan“ i inne tyle mają uroku, że z największą przyjemnością można było w ten sposób parę godzin przepędzić, przytem i krajobraz się zmienił; opuściliśmy tundry i błota a natomiast pojawiły się brzegi pagórkowate i lasem porośnięte, niektóre miejscowości były bardzo ładne, jak naprzykład tak zwana „Newelskia protoka“. Tak dopłynęliśmy do Narymu, osady w rodzaju Surguta, lecz w daleko ładniejszym położeniu, tam znowu otrzymaliśmy pozwolenie zwiedzenia miasta, przybyliśmy wieczorem, gdy już zaczynało zmierzchać, tak że gdyśmy się na brzeg dostali, było już zupełnie ciemno. Wysiedliśmy zupełnie nie wiedząc gdzie jest Narym i jak się do niego dostać, światełka migające w pewnem oddaleniu i dość wysoko świecące, wskazywały niby jego położenie, poszliśmy w tym kierunku lecz wkrótce natknęliśmy się na rzekę płynącą w kierunku Obi. W nocy wydała nam się szeroką i dość głęboką, na brzegu stało czółno ale bez wiosła. Po krótkiej naradzie, zdecydowaliśmy się je użyć. aby się dostać na drugą stronę, lecz ponieważ wiosła nie było, namówiliśmy jednego z naszych kolegów Rychlika, który umiał pływać aby się rozebrał i pchał przed sobą czółno, na którym pomieściliśmy się, póki będzie mógł iść a następnie to uczynił, płynąc; tak się też i stało; pokazało się, że rzeka była zupełnie płytka i on mając wodę tylko po pas przepchał nas szczęśliwie na drugi brzeg, tam się ubrał i ruszyliśmy dalej aż pod górę piaszczystą, na której widać światła, pod samą górą usłyszeliśmy głosy i ktoś zapytał po rosyjsku, czy niema między nami Masałowa, gdy odpowiedziano że jest, krzyknął „Nikołaj Grigoriewicz pójdź w moi objatja“. Przyjaźń tak go widocznie wzruszyła że zapomniał o górze i spadł na nas, przewracając kilku a między innymi i samego Masałowa bardzo niezadowolonego z tego tak za nadto serdecznego powita-

nia. Gdyśmy się wdrapali na górę powiedział nam, że to jest dzień przyjęcia u zesłanych Polaków i ofiarował się nas do nich zaprowadzić, gdy Masałow jako rosjanin się wzdrażał, obawiając się być nętrnym, oświadczył mu, że tu w Narymie, wszyscy rosjanie czy polacy żyją z sobą jak bracia i że wszyscy będą mu bardzo radzi. Poszliśmy więc za nim i trafiliśmy na całe ich grono; przyjęli nas bardzo serdecznie, było ich kilkunastu a w ich liczbie dwóch księży z których jeden był gospodarzem mieszkania w którym było zebranie; napoili nas herbatą i nakarmili kolacją, którą na przędcę przyrządzono, były ryby i pierogi z jagodami, wszystko bardzo smaczne i całą noc spędziliśmy na bardzo miłej pogawędce. Nad ranem dopiero wróciliśmy do naszej barży, bez jakichkolwiek już przeszkód. Bardzo żałuję, że obecnie już nie pamiętam nazwisk tych poczciwych rodaków, którzy nas tak serdecznie ugościli, lecz raz ich tylko w życiu spotkawszy, po tylu latach, zupełnie ich sobie przypomnieć nie mogę.

Po kilku jeszcze dniach wodnej podróży. przybyliśmy do Tomska, przy ujściu rzeki Tomki do Obi, w przedpołudniowych godzinach. Ponieważ Tomsk jest o kilka wiorst od Obi oddalony, musieliśmy je piechotą przebyć i tam mnie spotkało jedyny raz w życiu „podajanie“, czyli po naszymu jałmużna: jakiś dorożkarz, omijając nas dał mi 40 groszy, długo je chroniłem jako pamiątkę, lecz ostatecznie, gdzieś mi przepadły. Przyszedszy do więzienia, zastaliśmy już Jera-kowa, który na nas czekał. Zaprezentował nas, to jest Zytyńskiego, Żeromskiego i mnie smotritieliowi więzienia jako swoich własnych osobistych przyjaciół i zażądał aby nas jako takich traktowano. Skutek był taki że „smotrytiel” wyniósł się z żoną i z dziećmi z własnego mieszkania i nam je ofiarował. Umieściliśmy się w niem bardzo wygodnie oczekując terminu wyjazdu w dalszą drogę.

Włodzimierz Czetwertyński.



BIURO BUDOWLANE
STEFAN DOMARADZKI i S^{KA}

WARSZAWA, SMOLNA 5/7, TELEFON 97-38.

Całkowite przedsiębiorstwa robót budowlanych,
jak również oddzielnie
roboty: murarskie, żelazo-betonowe, stolarskie,
ciesielskie, ziemne i inne.

Własne zakłady stolarskie, ciesielskie i beto-
niarskie.

Płyty chodnikowe betonowe.

Stopnie żelazo-betonowe.

Stropy patentowane żelazo-betonowe „SFINKS”
w płytach.

PROJEKTY. — KOSZTORYSY.

INSTYTUT SZCZEPIENIA OSPY

Dr. I. Tchórznickiego.

Sprzedaż Krowianki i Szczepienie. ——— Daniłowiczowska 8.

Drukarnia—Litografja

B. GRABOWSKIEGO

Warszawa, Moniuszki 6 (róg Jasnej).



Firma istnieje
od 1883 r.

J. RUSZCZYŃSKI

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 145.

BRYLANTY, PERŁY, RUBINY, SZMARAGDY

ORAZ WYKWINTNA BIŻUTERJA.



FABRYKA POWOZÓW

M. HIEROPOLITAŃSKI

w Warszawie, Marszałkowska № 81 B.

(róg Hożej). Telefon 107-78.

Posiada na składzie
wielki wybór powozów
wszelkiego rodzaju;
przyjmuje obstalunki
i reparacye.

Wydawnictwa GEBETHNERA I WOLFFA w Warszawie.

WIEŚ I MIASTECZKO.

Zbiór 532 reprodukcji najwybitniejszych typowych zabytków budownictwa rodzimego, w znacznej części już nieistniejących lub zniszczonych przez zawieruchę wojenną.

Wieś i miasteczko obejmuje 27 arkuszy druku in folio na papierze wykwiętym.

Cena . . . Rb. 8.—

w oprawie „11.—

Wydanie zbytkowne na papierze kredowym . . . Rb. 12.—

w oprawie „15.—

Chłedowski K. ROKOKO WE WŁOSZACH. Ludzie, literatura, sztuka. Wydanie wykwiętne 245 ilustracji.

Cena . . . Rb. 8.—

w oprawie „12 i 15

ANTOLOGIA BAJKI POLSKIEJ, opracował i wstępem opatrzył J.

Ejmond . . . Rb. 1.50

w opr. . . „ 2.50

W „BIBLIOTECZCE PAMIĄTEK NARODOWYCH“ wyszły:

Rok 1830 i 1831 Wspomnienia i obrazy. Kop. —.75

Wielki tydzień polaków, czyli Opis pamiętnych wydarzeń z dnia 29 Listopada do 5 Grudnia 1830 r. Kop. —.50

Manifestacje Warszawskie w 1861 r.

z dodatkiem „**ŚPIEWÓW NABOŻNYCH**“ Kop. —.70

Pamiętka narodowa, uzupełniona współcz. ilustracjami.

ROK 1863. Obrazy i wspomnienia. Kop. —.90

CYTADELA WARSZAWSKA. Obrazy i wspomnienia Kop. —.75

ETAPAMI NA SYBERYĘ. Obrazy i wspom. Kop. —.75

SYBIR. Obrazy i wspomnienia. Kop. —.75

Każda z książek niniejszych poprzedzona jest przedmową Artura Oppmana (Dr-Ota).

PROMIENIŚCI, Filomaci - Filareci.

Zebrał i objaśnił H. MOŚCICKI. Kop. —.75

TRZECI MAJ. Z dodatkiem **KATECHIZMU NARODOWEGO (1791)**

Z przedmową H. Mościckiego (gark. druku). Kop. —.75

Zd. Dębicki: **Książka i człowiek** Rb. 1.—

Jan Stan. Bystroń: **Człowiek i książka.** Rb. 1.30

Ważnoważa powieści:

Reymont W. S. Nil desperandum. Rok 1794, cz. II. Powieść historyczna Rb. 3 —

Weysenhoff J.

Puszcza. Powieść Rb. 2.40

Ligocki E. (Laguna Morta) Sambrzy: Moczy czl . . . Rb. 2.40

Perzyński Wt. Idylle wojenne i pokojowe troski. Rb. 1.40

Perzyński Wt.

Wróg wojny Rb. 1.80

Rodziewiczówna M.

Barbara Trynianka. Powieść. Rb. 1.80

Rodziewiczówna M.

Czarny chleb. Powieść . . . Rb. 1.80

Gliński K. Mąż

krwawy. Powieść historyczna z czasów Kaz. Wielkiego.

Rb. 1.60

DOM HANDLOWY

K. WASILEWSKI

Skład Nasion i Maszyn Rolniczych

WARSZAWA, ul. ROMUALDA TR AUGUTTA 4

związany z Wołyniem długoletnimi stosunkami handlowymi, uprzejmie poleca i w przyszłości Szanownym Klientom chętne swoje usługi.

Ziemiańskie Biuro Rachunkowości Rolniczej

dawniej Biuro Rachunkowe Rolnicze przy C. T. R.

Wykonywa wszelkie prace, wchodzące w zakres rachunkowości rolniczej
KONTROLE i REWIZYE. SKŁAD KSIĄŻEK i DRUKÓW.

Warszawa, ul. Kopernika 30, Gmach C. T. R.

BIURO TECHNICZNO-BUDOWLANE „ODBUDOWA”

Towarzystwa F. K. zrzeszenia techni-
ków i przemysłowców budowlanych

w WARSZAWIE,

Krak.-Przedm. № 69.

WYKONYWA: Budowę i odbudowę: Kościołów,
gmachów użyteczności publicznej, domów do-
chodowych, dworów, domów wiejskich, zabudo-
wań gospodarskich i budowli przemysłowych.

Kanalizację, wodociągi, ogrzewanie i osuszanie
instalacje elektryczne.

Budowa i renowacja kolejek podjazdowych, szos i dróg, z kamie-
nia polnego, oraz wszelkiego rodzaju bruków i chodników.

Na żądanie oferty, kosztorysy, projekty.

Dostawa artykułów technicznych i materiałów budowlanych.

JOHNA wanny żelazne i stalowe, emaljowane i cynkowane.

JOHNA piecyki kąpielowe.

JOHNA maszyny do prania „CAŁĄ PARĄ”.

JOHNA nasady kominowe.

TOW. AKC. J. A. JOHN

WARSZAWA,
MOKOTOWSKA 18.

SPÓŁKA ROLNIKÓW „ROLA”

MATERJAŁY PIŚMIENNE, DRUKI I KSIĄŻKI
DO RACHUNKOWOŚCI ROLNICZEJ

DRUKARNIA I INTROLIGATORNIA

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT № 69

w sklepie „Zjednocz. Kupców Warszawskich”.

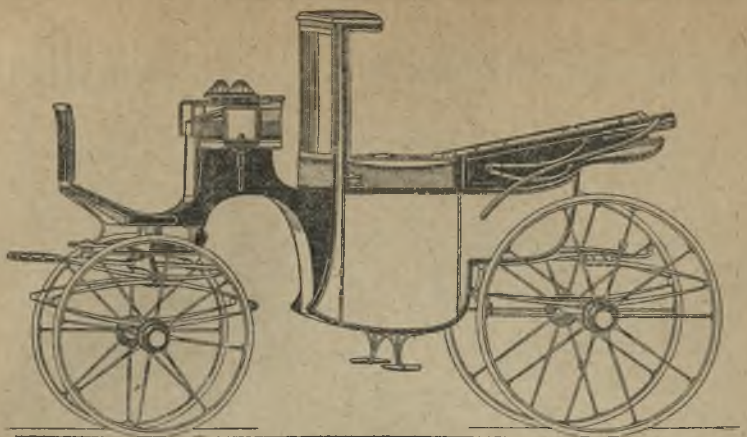
FABRYKA I MAGAZYN PRZYBORÓW PODRÓŻNYCH,
WYROBÓW SKÓRZANYCH, ZAPRZĘGÓW I SIODEŁ

JÓZEF KUCZMIEROWSKI

Edgystyle
od 1860 r.

W WARSZAWIE,
MARSZAŃKOWSKA 108,
róg Chmielnej.

Filij nie posiadam.



FABRYKA
POWOZÓW

JÓZEF RENTEL I S^{KA}

pod zarządem WŁ. OSTROWSKIEGO

WARSZAWA,

25 LESZNO 25.

CUKIERNIE

B. ŻMIJEWSKIEGO

W WARSZAWIE

KRAKOWSKIE-PRZEDM. № 1. Tel. 39-39.

Vis à Vis Kopernika.

NOWY-ŚWIAT № 4. Tel. 183-93.

FABRYKA Ś-to Krzyska № 11. Tel. 245-36.



Wyroby platerowane

Tow. Akc. Norblin, Br. Buch & T. Werner

Magazyny własne: Krak. Przedm. 67 — Marszałkowska 127.

Kutnowska Fabryka Maszyn „ALFRED VAEDTKE“



egzystuje od lat 28, jest dziś jedną z poważniejszych fabryk w kraju, która zdobyła szerokie uznanie wśród odbiorców, rozpowszechniając swoje maszyny i narzędzia rolnicze w całej Polsce.

SPECJALNOŚĆ FABRYKI:

I. Maszyny Rolnicze, dla potrzeb średnich i małorolnych gospodarstw, jako to: Młocarnie szerokomłotne do prostej słomy, Młocarnie sztytłowe i cepowe, Maneże konne, Sieczkarnie i Śrótowniki.

II. Maszyny do obróbki żelaza, dla potrzeb egzystujących, lub przy odbudowie kraju nowopowstających warsztatów i zakładów mechanicznych: Tokarnie pociągowe od 1 do 7 metrów długości.

Fabryka bez względu na wojnę jest czynną i wysyła swoje wyroby do wszystkich stacji kolejowych. Listy i zapytania adresować:

**Biuro Kutnowskiej Fabryki „ALFRED VAEDTKE“
w Warszawie, ul. Chmielna № 26.**



M. BIENKOWSKI

w WARSZAWIE,

TYLKO

Senatorska № 10.

Telefon № 112-63.

Gazeta Świąteczna,

2 r.

Pismo tygodniowe dla mieszkańców wsi i miast, założone przez
Konrada Prószyńskiego (Promyka) i wydawane w Warszawie
 od lat 37. *Kosztuje na rok 2 ruble, a z przesyłką 3 ruble.*

3 r.

Można też opłacać częściami: półrocznie lub kwartalnie zgóry.
 „Gazeta Świąteczna“, wydawana starannie, a pisana najrozumialej ze
 wszystkich pism polskich, -- służy ku zdrowej oświacie, uczciwej zabawie, du-
 chowemu i cielesnemu pożytkowi tych wszystkich, którzy czytać umieją lub
 choćby tylko słuchać czytania mają.

Podaje: Nowiny krajowe z miast, wsi, gmin i parafii; Nowiny z dalszego
 świata; Opisy historyczne i naukowe; Żywoty; Powieści; Wskazówki i rady dla
 gospodarzy, pszczelarzy, handlujących; dla członków zebrań gminnych i t. d.

Adres redakcji: **ulica Warecka, liczba domu 12, w Warszawie.**

Najlepiej sprowadzać „Gazetę Świąteczną“ wprost z redakcji; całoroczni
 przedpłatnicy w takim razie w dodatku do „Gazety“ otrzymują różne upominki.

Wydawnictwa „Gazety Świątecznej“ i Księgarni Krajowej KONRADA PRÓSZYŃSKIEGO (PROMYKA).

Promyk Kazimierz. Obrazowa nauka Czytania i Pisania do użytku szkolnego,
 domowego i jedyne prawdziwa dla **Samouków**. Z dokładnymi objaśnieniami dla
 nauczycieli, z mnóstwem obrazków i czytankami na końcu dla wprawy w czytaniu.
 Wydanie 15. Cena 40 groszy, a w opr. 50 groszy. (Zużyto już tej książki 385,000 egz.).

— **Pierwszy wykład nauki czytania i pisania** obrazowym sposobem K. Pro-
 myka, 47 tablic kolorowanych i czarnych, z objaśnieniami. Cena 6 r., podklejone
 tektura 10 r. Nauka przy pomocy tych obrazów rozpoczynana idzie z nieznaną
 przedtem nigdzie łatwością, szybkością i pożytkiem dla umysłu uczących się. Jak
 ten pierwszy wykład czytania i pisania prowadzi, czyz szczegółowo książeczka
 K. Prószyńskiego: **Czytelność i nieczytelność narodu**; cena jej 40 groszy.

— **Pierwsza książeczka** dla wprawy w czytaniu, złożona z drobnych powia-
 stek, piosnek, zagadek i t. p. 10 groszy.

— **Prawdziwe opowiadania** czyli **Druga książka** do czytania. Zawiera opo-
 wiadania z historii, wiadomości pouczające i t. d. Cena 16 groszy.

— **Elementarz** — na którym nauczysz się czytać w 5 albo 8 tygodni. Cena
 10 groszy. Tenże elementarz z nauką pisania 12 groszy. Rozeszło się już tego
 elementarza **miljon i 360 tysięcy** egzemplarzy.

— **Nauka poprawnego pisania**. Cena 30 groszy, a w oprawie 40 groszy. Kto
 umie już trochę jako-tako pisać, to na tej książce nauczy się pisać **poprawnie**.

— **Wprawy w piękne pisanie piórem** (wzory kaligraficzne przenośne wraz
 z objaśnieniami, jak uczyć kaligrafii). Cena 10 groszy.

— **Opisanie Świata** stopniowo i w krótkości ułożone, z obrazkami i map-
 kami. Cena 30 groszy.

— **Ciekawe zjawiska w świecie**. Wydanie 9-te. Cena 30 groszy.

— **Nauka przepowiadania pogody** Przez K. Promyka. Cena 30 groszy.

— **O księdzu Stanisławie Staszycu**. Wydanie 7-e. Cena 10 groszy.

— **Jak się żywimy, a jak żywić się i o co starać się trzeba**. Opracował
 i napisał K. Prószyński (Promyk). Cena 40 groszy.

— **Budowanie z plasku i Krycle budynków**. Opisał K. Prószyński (Promyk).
 Z rysunkami budowli podług tychże wskazówek wzniesionych. Cena 50 groszy.

— **Rocznik Gospodarski**, rolniczy, ogrodniczy i pszczelniczy. 50 groszy.

— **Jak uprawiać ziemię**, siał i sprzątać z pola, przez Prawdzica, 50 groszy.

— **O łąkach**, przez Prawdzica. Cena 40 groszy. I wiele innych książek.



ISTNIEJE OD 1864 ROKU.

FABRYKA WAG

KAROL NEUMANN i S-ka

Właściciele: KAROL NEUMANN i KAROL WALERJAN SOMMER

WARSZAWA, CHŁODNA № 19, TELEFON 30-12.

POLECA:

Z NOWYM STEMPLEM

WAGI BELKOWE, STOŁOWE, DZIESIĘTNE,
SETNE I WOZOWE.

CIĘŻARKI ŻELAZNE.

PRZYJMUJE DO REPARACJI I STEMPLO-
WANIA WAGI I CIĘŻARKI.

Wykonywa ściśle odpowiadające wy-
maganiom Urzędu Miar st. m. War-
szawy.



Hugon Fried

WARSZAWA, ul. Moniuszki 4.

Wykwintne Żyrandole

elektryczne, gazowe i spirytusowe.

FABRYKA KOSZULEK ŻAROWYCH.

SKŁAD HURTOWY I DETALICZNY:

wszelkich artykułów do oświetlenia elektrycznego, gazowego, spirytusowego oraz naftowo-żarowego.

ZAKŁAD LECZNICZO-GINEKOLOGICZNY

WARSZAWA-MOKOTÓW, 5 NOWO-ALEKSANDRYJSKA 5.

Przyjmuje z wszelkimi chorobami (bez zakaźnych) sekretne i panie spodziewające się słabości.

Urządzenie zakładu nowoczesne i z komfortem. Specjaliści lekarze na miejscu.

Fabryka i Magazyn Wyrobów Jubilerskich

L. L I P I Ń S K I

Egzystuje od roku 1875

w Warszawie, ulica Wierzbowa № 7 (Plac Teatralny)

Telefon № 75-12.

PRACOWNIA PRZY MAGAZYNIE.

Najlepsza imitacja w świecie

w szczerozłotej i srebrnej oprawie

VARSOVIE, rue Nowy-Świat № 45.

MAGASIN FRANÇAIS

G. BARGOIN

Telephon 72-08.

WYROBY
JUBILERSKIE

M. KOZŁOWSKI

WARSZAWA,
Krak.-Przedm
№ 5.

PIEKARNIA NOWA A. Ł.

w Warszawie, Nowy Świat № 68.

egzystująca od roku 1869.

POLECA SVOJE WYROBY CUKIERNICZE.

„GŁOS NARODU”

najważniejsze w Krakowie codzienne pismo polityczne bezpartyjne,

które jako program postawiło sobie:

wpracowywanie rodzimych sił w narodzie, a w szczególności dźwignięcie i rozwój żywiołu chrześcijańsko-społecznego w naszych miastach, oraz uzdrowienie i rozwój życia gospodarczego.

Wobec wojny światowej „Głos Narodu” stanął na wysokości dziennikarskich zadań, dając Czytelnikom swym bogaty i z najważniejszych źródeł czerpany materiał informacyjny w telegramach, listach i artykułach i pełne odzwierciedlenie całego ogromu zdarzeń, jakie niesie przełomowa chwila obecna. Na tle tego przełomu wyłaniająca się na nowo **sprawa polska** w swem szerokim międzynarodowym znaczeniu jest od początku wojny przedmiotem szczególnie baczonej uwagi „Głosu Narodu”, który notuje wszechstronnie fakty i objawy rozwijania się i zapisuje skrzętnie głosy opinii obcej, mogące być wskaźnikiem dla ukształtowania się przyszłości. Równoległe z tem „Głos Narodu” najwyższą uwagę poświęca **odbudowie krajo** nawiedzonego zniszczeniem wojny i opiece nad ludnością dotkniętą jej klęskami, łącząc troskę o dzień dzisiejszy z wyczerpaną czujnością wobec jutra.

„Nic nad dobro narodu!“. Temu wskazaniu pozostaje wiernym dziennik który nigdy nie stał na usługach partji i koteryj, który zawsze oceniał zjawiska naszego życia pod kątem interesu całości i w służbie najczystszych ideałów narodowych, upatrywał swą rację istnienia.

Założenie to odbija się w doborze piór i talentów, które stale lub przygodnie grupują się przy „Głosie Narodu”. W ciągu wojny zabierali głos w różnych sprawach lub zamieścili swe prace

Henryk Sienkiewicz oraz następujący autorzy:

Mec. Dr. Klemens Bąkowski, Prof. Fr. Bujak, Konstanty Buszczyński, X. Prof. A. Bystrzanowski, X. Dr. Caputa, Sylweryusz, Chmurkowski, Antoni Choleńewski, prof. Ignacy Czrzanowski, dr. Fr. Duda, Fr. Rawita Gawroński, dr. Jerzy Rawita Gawroński, dr. T. S. Grabowski, Jan Grzegorzewski, poseł Cezary Haller, Karol Hołekska, prof. Zdz. Jachimecki, X. Janicki, prof. Stan. Jentys, Henryk Juszkiewicz, dr. Wilhelm Kahl, Jan Kasprowicz, X. Ludwik Kasprzyk, prof. W. Klecki, prof. L. Kolanowski, doc. dr. A. Korczyński, X. prof. dr. Korzonkiewicz, Stanisław Koźmian, Fr. Sal. Krysiak, prof. Adam Krzyżanowski, prof. St. Kutrzeba, dr. Maryan Lang, poseł. Zyg. hr. Lasocki, Jan Matyasik, prof. Leon Marchlewski, prof. J. Michalski, dr. Wal. Momidłowski, prof. K. Morawski, dr. J. Muczkowski, red. W. Noskowski, St. Nowiński, Franciszek Pecenka, X. dr. Pęczkowski, Józef St. Pietrzak, prof. Kaz. Rogoyski, prof. Eugeniusz Romer, Jaroslav Rozvoda, prof. M. Rostworowski, dr. Mikołaj Rudnicki, prof. W. Rubczyński, doc. dr. Roman Rybarski, Adam Grzymala Siedlecki, prof. Michał Siedlecki, Tadeusz Żuk Skarszewski, Tadeusz Smarzewski, dr. K. Szczepański, prof. Wacław Sobieski, dr. Starowiejski, prof. Stanisław Starzyński, prof. S. Surzycki, dr. Henryk Szarski, prof. dr. J. Ujejski, prof. L. Wachholz, dr. H. Wielowiejski, X. Adam Woroniecki, red. Roman Woyczyński, Edmund Zechenter, X. prof. Kazimierz Zimmermann.

Biuro reprezentacji warszawskiej: Boduena 3
przyjmuje prenumeratę miesięczną (2 ruble)
i „Korespondencję rozdzielonych“ (1 rb. 90 kop.).

Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseverwaltung.
Warschau, den 23/I 1917. T. № 4251. Dr. № 7.



TOWARY ŻELAZNE. Okucia do drzwi i okien. Klamki. Łyżwy. Hacele. Narzędzia. Artykuły rolnicze. Naczynia kuchenne.

Restauracja „ALKAZAR”

ul. Królewska № 11.

GABINETY. — Koncert do godz. 1-szej w nocy.

Pod zarządem Henryka Herbsta.

Warszawskie Towarzystwo Akcyjne

— „MOTOR” —

MARSZAŁKOWSKA № 23.

POLECA:

ŚRODKI LECZNICZE,
WODY MINERALNE SZTUCZNE,
LEKI PATENTOWANE.

Istniejące od 1805 roku

ZAKŁADY OGRODNICZE

C. ULRICH

WARSZAWA — CEGLANA № 11

POLECAJĄ:

NASIONA

WARZYWNE,

KWIATOWE,

ROLNE,

DRZEWA i krzewy

OWOCOWE

I

OZDOBNE,

ROŚLINY

DONICZKOWE,

NARZĘDZIA

OGRODNICZE

KWIATY

CIEŃE,

W WIELKIM

WYBORZE.

KATALOGI NA ŻĄDANIE ROZSYŁANE

==== SA BEZPŁATNIE. ====

Geprüft und freigegeben Presseverwaltung Warschau, d. 16/I 1917.

Drukarnia „Rola“ Jana Buriana, w Warszawie, Nowy-Swiat 69.

<http://rcin.org.pl>

F.
24.278